Grochmalski o ataku Tuska na prof. Cenckiewicza

Jak dokładamy się do emerytur niemieckich urzędników

Szara strefa migrantów nad Wisłą

GAZETAPOLSKA.PL

Strefa Wolnego Słowa

GAZETA POLSKA

#TYGODNIK NIEPODLEGŁEGO POLAKA #W KAŻDĄ ŚRODĘ W TWOIM KIOSKU



BRUTUS CZAI SIĘ NA TUSKA

CENA 10.90 PLN (w tym 8% VAT) www.gazetapolska.pl indeks 320919 #35 (1669) 27/08/2025

OKŁADKA: FAFIK

ISSN 1230-4581

Numer w sprzedaży do 02.09.2025

Wspieraj Media Strefy Wolnego Słowa

Dla wolnej i niezależnej Polski!

GAZETA POLSKA · Gazeta Polska codziennie · niezależna.pl · REPUBLIKA · NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO · radio REPUBLIKA

REPUBLIKA

Numer konta: **90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**
Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz TV Republika**

Konto do wpłat zagranicznych: **PL 90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**
SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Telewizja Republika S.A. Plac Bankowy 2, 00-095 Warszawa

SKANUJ KOD

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA

Numer konta: **62 1240 1053 1111 0010 5517 7864**
Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz Fundacji Niezależne Media**

Konto do wpłat zagranicznych: PL 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Fundacja Niezależne Media ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

FUNDACJA REPUBLIKA

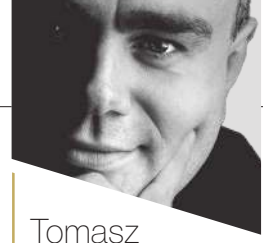
Numer konta: **23 1090 1883 0000 0001 5859 5543**
Tytuł przelewu: **Darowizna na wolne media**

Adres: Fundacja Republika ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa



FELIETON { WRÓG LUDU }

ROSJA MUSI SIĘGNĄĆ PO REZERWY



Tomasz **Sakiewicz**

Rozmawiając o Rosji i ewentualnie warunkach zawarcia z nią pokoju, warto rozumieć jej realną sytuację. Gospodarka, demografia i zdolności produkcyjne przemysłu zbrojeniowego w coraz większym stopniu będą motywować Kreml.

Rosja mogła rozpocząć wojnę, gdyż przez ponad 20 lat krwawych rządów Putina Zachód, a szczególnie Europa, dostarczały Moskwie ogromne ilości dewiz – rzędu setek miliardów dolarów rocznie i uzależniając swoje gospodarki od tamtejszych węglowodorów. W tym czasie Putin za pieniądze Zachodu umocnił swoją pozycję wewnętrzną i zmodernizował część gospodarki oraz, jak sądził, przebudował armię.

Jednocześnie zaczął tworzyć rezerwy finansowe sięgające dzisiaj 680 mld dolarów. Te rezerwy jeszcze kilka miesięcy temu rosły. Wydaje się więc, że Rosja może prowadzić wojnę długie lata, bo ma na to pieniądze.

Prawda jest nieco inna. Prawie połowa rosyjskich rezerw to aktywa zamrożone na Zachodzie, które najprawdopodobniej nie wrócą do właścicieli. Druga połowa to dosłownie góra złota. Aż 65 proc. rezerw, którymi Rosja realnie dysponuje, ulokowano w tym szlachetnym kruszcu. I na tym właśnie polegał ostatnio cud wzrostu rosyjskich rezerw. Wartość złota w ostatnich miesiącach podwyższyła się o około 20 proc. Realnie Rosjanie najprawdopodobniej już konsumują swoje rezerwy i tylko ze względu na wzrost wartości złota tego po prostu nie widać. Jeżeli zaczną je masowo sprzedawać, mogą zachwiać jego wartością na rynkach i wtedy szybciej pozbawią się rezerw. A dochodzą właśnie do momentu decyzji. Sytuacja demograficzna Rosji robi się równie nieciekawa. W ciągu ostatnich pięciu lat kraj ten skurczył się o trzy miliony osób. To nie pozbawia go, jak się okazuje, „mięsa armatniego", ale coraz bardziej utrudnia pracę przemysłu. Muszą importować tanią siłę roboczą z krajów azjatyckich z wszelkimi tego niebezpiecznymi konsekwencjami. Szczególnie ubytek widać wśród młodych mężczyzn zdolnych do poboru, którzy po prostu uciekają z kraju.

Przemysł obronny, mimo że jego „wzrost" zdumiał świat, raczej też ma poważny problem. Dobrym przykładem są tu rosyjskie czołgi. W ciągu trzech lat Rosja ze swoich fabryk dostarczyła na front około dwóch tysięcy czołgów. To naprawdę dużo porównując do zdolności produkcyjnych NATO – nawet kilkakrotnie więcej. Problem w tym, że tak naprawdę nowych czołgów Rosja wyprodukowała mniej niż 200. Zaledwie kilkadziesiąt rocznie. I więcej nie jest w stanie. Cud masowej produkcji polega przede wszystkim na reaktywacji modernizacji starego sprzętu sprzed nawet 60 lat. To powoduje, że jest on łatwy do zniszczenia i zwiększa śmiertelność rosyjskich żołnierzy. Czołgi to jeden z przykładów. Rosja ma wiele innego sprzętu, który importuje z Chin, Korei Północnej i Iranu. To jednak kosztuje. I cena za utrzymywanie wojny będzie rosła coraz szybciej.

Musimy o tym pamiętać, bo to Zachód ma przewagi, z których może teraz skorzystać dokręcając śrubę Putinowi. Niezależnie od tragicznej sytuacji Ukrainy, która niestety pod każdym względem jest jeszcze bardziej wykrwawiona. **GP**

Rafał **Zawistowski**



W numerze

KRAJ

6 **Brutus czai się na Tuska**
 # Piotr Lisiewicz

10 **Niemiecki fundusz emerytalny zarobi na wynajmie mieszkań Polakom**
 # Grzegorz Wierzchołowski

12 **Polacy nie chcą wiatraków nawet w lasach**
 # Jacek Liziniewicz

14 **Czyżby wstydzili się interwencji? Policjanci żądają ogromnych pieniędzy**
 # Grzegorz Broński

18 **Przegrała konkurs, została szefem urzędu ścigającego mafie śmieciowe**
 # Piotr Nisztor

20 **Szara strefa migrantów w Polsce**
 # Hubert Kowalski

PUBLICYSTYKA

30 **Duży i mały szatan**
 # Dawid Wildstein



32 **Na głęboką wodę. Trump, Tusk i wyzwania, jakich nie widziała historia**
 # Wojciech Mucha

38 **O większość konstytucyjną w następnym Sejmie**
 # Jakub Maciejewski

40 **Atak Tuska na prof. Cenckiewicza to zastępcza wojna z prezydentem**
 # Piotr Grochmalski

ŚWIAT

46 **Dlaczego Ukrainie brakuje żołnierzy?**
 # Antoni Rybczyński

48 **Trump pomiędzy pokojem a wściekłością**
 # Maciej Kożuszek

HISTORIA

64 **Do szarży marsz, marsz…**
 # Tomasz Panfil

ŚRODOWISKO

78 **Surrealistyczny czworonóg**
 # Jacek Liziniewicz





Polskie niebo dziurawe jak sito. Drona można było zestrzelić
Grzegorz Wszołek

Stałe

1 Tomasz Sakiewicz
4 ZYZIU NA KONIU HYZIU
17 Witold Gadowski
26 Jacek Liziniewicz
26 Krzysztof Karnkowski
27 Dawid Wildstein
28 W INTERNETACH
35 Marcin Wolski
35 Tomasz Łysiak
44 OBRONNOŚĆ
51 WIEŚCI Z UE
55 ROSJA ABSURDEM STOI
58 GOSPODARKA
62 KLUBY „GAZETY POLSKIEJ”
67 Tadeusz M. Płużański
67 Józef Wieczorek
71 NAUKA



82 KULINARIA
84 PODRÓŻE
89 Katarzyna Gójska



Kryzys rodzi kryzys. Coraz gorzej w Polsce Tuska
Krzysztof Wołodźko



Jak zostałem aresztowany w Afryce
Tomasz Duklanowski



Przechodniu, powiedz Polsce…
Tomasz Łysiak

REPUBLIKA

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczymy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA



Piotr
Lisiewicz

ZYZIU NA KONIU HYZIU

Na pochyłe drzewo każda koza skacze. Wymyślone przeze mnie hasło „Nie bać Tuska” realizowane jest dziś z nawiązką, a mianowicie wszyscy Tuska… olewają. Olewa go prezydent Trump. Olewają liderzy „koalicji chętnych” z UE. Olewa Szymon Hołownia, mówiąc, że ktoś (ciekawe kto?) namawiał go do zamachu stanu. Olewa senator Michał Kamiński z PSL, który przedstawia Tuska jako głównego autora porażki Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich, i nic mu się nie dzieje. Olewa nawet jakiś nieznany poseł Ćwik z Polski 2050, który sugeruje, że w sprawie Tuska i braku dymisji Barbary Nowackiej trzeba łączyć kropki. Nawet niemiecka prasa olewa Tuska, gdy „Der Spiegel” pisze: „Donald Tusk był uważany za promienną postać, liberała, który pokazał, jak pokonać prawicowych populistów w Europie. Dwa lata później wydaje się bezsilny. Premier wydaje się przygnębiony i apatyczny. Nie spełnił oczekiwań reformatorskich, które rozbudził swoimi 100 propozycjami”. A i minister Żurek się ewidentnie nie sprawdza. Wszyscy olewający Tuska, od Trumpa po redakcję „Spiegla”, powinni już dawno siedzieć.

Posiadanie dużej ilości pieniędzy nie stanowi o wartości człowieka, a już szczególnie pod naszą szerokością geograficzną. Targowiczanin Stanisław Szczęsny-Potocki był ponoć najbogatszym człowiekiem w Europie. Miał jeszcze więcej kasy niż Jan Kulczyk. W książce „Sto zabobonów” genialny o. Józef Bocheński umieścił ekonomizm na liście tychże zabobonów. Rozprawiał się z nim także jeden z najważniejszych publicystów „GP”, śp. Jacek Kwieciński. Dlatego nie czuję się ani odrobinę zafascynowany Sławomirem Mentzenem, od którego w życiu wypiłem z pewnością więcej piwa. Z tą różnicą, że ja zawsze piłem w dobrym, choć często przerażającym dla mieszczańskich kołtunów towarzystwie.

Bartłomiej Sienkiewicz za pierwszej wojny Tuska z kibicami szedł po kibiców Jagiellonii Białystok, z których media robiły faszystów. Nie jest dobrze, bo w 2025 roku oklaskiwany był przez nich najczęściej znany polski nacjonalista Afimico Pululu. Teraz chcą go kupić inne kluby mające prawicowych kibiców. Straszny musi być ten polski rasizm!





Karol Nawrocki to być może pierwszy prezydent na świecie, który mógłby ochraniać własnych... ochroniarzy

„Rafał Trzaskowski daje jednak do zrozumienia, że wciąż nie powiedział ostatniego słowa”
Rafał Kalukin, Polityka.pl

Czym „GP” różni się od „Do Rzeczy”? Tym, że my walczymy z rosyjskimi i niemieckimi wpływami, natomiast naczelny „Do Rzeczy” ma inne priorytety. W czasie, gdy w imię niepodległości walczymy o budowę Międzymorza, połączonego interesami z Ameryką, postanowił podjąć walkę z „chrześcijańskim syjonizmem”. Tak mu przypadkiem wyszło, ot, normalna, przypadkowa, intelektualna fascynacja.

Zabawne spostrzeżenie jakiegoś internauty: Karol Nawrocki to być może pierwszy prezydent na świecie, który mógłby ochraniać własnych… ochroniarzy. Żeby nikt na tych biedaków nie napadł, pomoże wprawa prezydenta w szlachetnych walkach zwanych ustawkami.

News z najlepszego polskiego serwisu plotkarskiego: „BlaskOnline przyłapał ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego (62 l.) i jego żonę Anne Applebaum (61 l.) w ekskluzywnym hotelu w Juracie. Na otwarciu hotelu Bryza bawił sam Edward Gierek, a kurort był jednym z ulubionych miejsc wypoczynku KC PZPR”. Nie ma to jak awans, Sikorski nie jest gorszy niż jakiś tam Piotr Jaroszewicz czy inny Albin Siwak.



Rafał Kalukin w „Polityce”: „Obolały po dotkliwej klęsce, obciążony wizerunkowo, zmarginalizowany we własnej partii. Rafał Trzaskowski daje jednak do zrozumienia, że wciąż nie powiedział ostatniego słowa. Czy niedoszłego prezydenta może jeszcze czekać kolejne polityczne życie po życiu?”. Oby! Bardzo byłoby to korzystne z punktu widzenia naszego obozu niepodległościowego.

„»Trzecia izba parlamentu« w Pałacu Prezydenckim? Karol Nawrocki chce wyjść poza ramy swojego urzędu” – napisał Tomasz Nyczka w „Gazecie Wyborczej”. No więc wyjaśniam, że to nie Karol Nawrocki chce, ale ludzie chcą. W sondażu Pollster dla „Super Expressu” 52 proc. badanych uznało, że prezydent powinien mieć z Polsce więcej władzy niż premier. Przeciwnego zdania było tylko 38 proc.

„Gazeta Wyborcza”: „Decyzji lokalizacyjnej dla pomnika smoleńskiego na pl. Piłsudskiego nie wolno było wydać – stwierdził wojewoda mazowiecki. Upadł dokument, na podstawie którego go zbudowano. Czy jest teraz samowolą budowlaną?”. Nie, to wy i wasi czytelnicy poststalinowskiej gadzinówki jesteście samowolą sowieciarską wymierzoną w Polskę. Wydana w imieniu narodu polskiego decyzja lokalizacyjna w waszej sprawie jest taka, że wszyscy powinniście wynosić się do Moskwy. To jest wasza wciąż aktualna lokalizacja.

Hiobowe wieści z działu Wyborcza.biz: „Cena pół litra wódki wzrośnie co najmniej o 4 zł. Ministerstwo Finansów ogłosiło ogromne podwyżki stawek akcyzy”. Śmierć wrogom ojczyzny!

Agnieszka Kublik w „Gazecie Wyborczej”: „Oskarżony Sławomir Cenckiewicz jest szefem prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Oskarżona Agnieszka Glapiak – przewodniczącą Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. To ciała konstytucyjne, teraz osłabione, skoro zasiadają w nich oskarżeni. Kto im zwróci uwagę, że powinni natychmiast podać się do dymisji? Bo nie prezydent Nawrocki, który – teoretycznie – stoi na straży konstytucji”. Prezydent Karol Nawrocki został wybrany po tym, jak opisaliście, że był na pielgrzymce kibiców, na której skandowano: „Raz sierpem, raz młotem, w czerwoną hołotę”. To hasło wykrzykiwane było otwarcie i prezydent jest teraz zobowiązany przez demokrację, by je wcielać w życie. Jeśli nie będzie tępił czerwonej hołoty, utraci demokratyczny mandat.

Onet o psiarni u Antoniego Macierewicza: „Funkcjonariusze Żandarmerii Wojskowej pojawili się w piątek w domu byłego ministra obrony, aby wręczyć mu wezwanie do prokuratury na przesłuchanie. Prawdopodobnie sprawa dotyczy działalności podkomisji smoleńskiej, której Antoni Macierewicz był przewodniczącym. Polityka PiS nie było jednak w domu. Obecna była tylko jego żona, która odmówiła odebrania dokumentu”. Gdyż pani Hania ma ogromne doświadczenie w odmawianiu jakichkolwiek praw bolszewikom. Na szczęście wszystko wskazuje na to, że bardzo krótko już będzie trwał świat, w którym jacyś kretyni mogą ścigać Macierewicza, zamiast pokornie oddawać cześć kawalerowi Orderu Orła Białego. **GP**

Mirosław **Andrzejewski**
{ RODZINA WACIAKÓW }



FOT. MIKOŁAJ BUJAK/KPRP FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA



Piotr
Lisiewicz
Z-CA RED. NACZELNEGO „GP”
albicla.com/PiotrLisiewicz

BRUTUS CZAI SIĘ NA TUSKA

SCENARIUSZ ROZPADU KOALICJI 13 GRUDNIA

Rozpad koalicji 13 grudnia to prawdopodobny scenariusz wydarzeń w najbliższych miesiącach. – Szymon Hołownia nie znosi, a pewnie trafniej byłoby powiedzieć, że nienawidzi Donalda Tuska. Jeśli zostanie szeregowy posłem, oznacza to koniec jego politycznej kariery i rozpad jego ugrupowania. Dlatego jest gotowy na każdy scenariusz, który pozwoli mu się w polityce utrzymać, w tym na koalicję z PiS i PSL – twierdzi nasz informator, polityk rządzącej koalicji. Inna jest sytuacja Władysława Kosiniaka-Kamysza, ale według naszych rozmówców z PSL, jeśli Tusk będzie widowiskowo się kompromitował, także lider PSL okaże się gotowy wyjść z koalicji 13 grudnia – o ile uzna, że to pomoże PSL dostać się do Sejmu w 2027 roku.



WYLINIAŁY LEW I HIENY

Szymon Hołownia wiele razy mimochodem przemycał przekaz, że nie boi się Tuska. Pytany przez dziennikarzy o okrzyk „Nie bać Tuska” wypalił: „To całkiem trafne hasło”.

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

Przypomnijmy, że Marek Juniusz Brutus, elokwentny mówca i pisarz rzymski, był jednym z przywódców spisku przeciwko Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi, a potem jednym z zabójców dyktatora. W tradycji imię Brutusa stało się symbolem zdrajcy, który jako tyranobójca walczył w słusznej sprawie. Czy Tusk ma w koalicji Brutusa, który chce doprowadzić do politycznej śmierci lidera koalicji 13 grudnia?

Jedyna możliwa inna koalicja: PiS-Polska2050-PSL

Zwycięstwo w wyborach prezydenckich Karola Nawrockiego, do którego przyczynił się w ostatnich dniach kampanii swoimi nieudanymi wypowiedziami Donald Tusk, postawiło premiera w bardzo trudnej sytuacji. Prezydent Nawrocki ma silny mandat, by przeciwstawiać się nielegalnej imigracji, Zielonemu Ładowi czy podporządkowaniu Polski Niemcom. W każdej z tych spraw działający na rzeczy obcych interesów Tusk będzie musiał mu się przeciwstawiać, a to grozi mu totalną kompromitacją.

Czy istnieje scenariusz, w którym w obecnym Sejmie powstałaby inna niż obecna koalicja? Rozmowy pomiędzy politykami PiS, Polski 2050 i PSL na różnym szczeblu w ostatnich tygodniach trwają. I nie dochodzi do przecieków do mediów, jak wtedy, gdy Jarosław Kaczyński spotkał się z Szymonem Hołownią w mieszkaniu Adama Bielana. – Wszyscy już wiedzą, że nie można rozmawiać przy oficerach Służby Ochrony Państwa, dlatego przecieków nie ma – śmieje się jeden z naszych informatorów.

Zdaniem naszych rozmówców jedyna możliwa koalicja w tym Sejmie to koalicja PiS–Polska 2050–PSL, być może także z Wolnymi Republikanami Marka Jakubiaka. PiS ma 185 posłów, Polska 2050 – 30, PSL – 32, a koło Wolni Republikanie – 4. Razem byłaby to zdecydowana większość – 251 posłów. Ale ugrupowanie Hołowni musiałoby się liczyć z tym, że część jego posłów, wychowana na anty-PiS-ie, uciekłaby do Tuska.

– Hołownia uważa, że może być w takiej sytuacji pewny, iż zostanie przy nim 18 posłów. Nawet gdyby okazał się nadmiernym optymistą i zostałaby mu połowa, i tak byłaby to większość w Sejmie – mówi nasz informator. – Przypomnę, że PiS rządził, dwukrotnie mając 235 posłów. Przy sprzyjającym koalicji prezydencie nawet niewielka większość może spokojnie rządzić – dodaje rozmówca.

Czy PiS mógłby przystąpić do takiej koalicji? – PiS mógłby rozważać zawarcie takiej koalicji jesienią 2025 roku, może jeszcze także zimą. Później już nie. Za blisko będzie do wyborów, w których PiS ma szansę na duży sukces – mówi nam ważny polityk PiS.

A czy wariantem możliwym nie byłaby w tym Sejmie koalicja z udziałem Konfederacji? – Konfederacja w tym Sejmie nie wejdzie do żadnej rządowej koalicji. I trudno jej się dziwić. Obecnie ma 16 posłów. Jej liderzy wierzą, że w kolejnym Sejmie mogą mieć nawet trzy albo i cztery razy więcej posłów – mówi nam polityk PiS, który sondował możliwość powstania koalicji z Konfederacją.

Hołownia z Macierewiczem, Kosiniak-Kamysz z Cenckiewiczem

16 sierpnia, uroczystość otwarcia Muzeum Bitwy Warszawskiej w Ossowie. Przemawiają marszałek Sejmu Szymon Hołownia i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz, a także szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomir Cenckiewicz. Wśród zaproszonych gości jest poseł Antoni Macierewicz. Nie ma Donalda Tuska, a najwyższą przedstawicielką jego ugrupowania jest Katarzyna Lubnauer.

– Jeszcze kilka miesięcy taka sytuacja nie byłaby możliwa. Media popierające Tuska zrobiłyby z Hołowni i Kosiniaka-Kamysza zdrajców. To pokazuje zmianę politycznych nastrojów w Polsce – mówi nam rozmówca, który uczestniczył we wspomnianej uroczystości, znający dobrze polityków Koalicji 13 grudnia.

Zdaniem naszych informatorów to Hołownia, a nie mający bardziej konserwatywny elektorat PSL, mógłby się prędzej dogadać z PiS. – Szymon Hołownia nie znosi, a pewnie trafniej byłoby powiedzieć, że nienawidzi Donalda Tuska. Jeśli przestanie być marszałkiem Sejmu i zostanie szeregowy posłem, oznacza to koniec jego politycznej kariery i rozpad jego ugrupowania. Dlatego jest gotowy na każdy scenariusz, który pozwoli mu się w polityce utrzymać, w tym koalicję z PiS i PSL – twierdzi nasz informator z rządowej koalicji.

Hołownia wiele razy mimochodem przemycał przekaz, że nie boi się Tuska. Pytany przez dziennikarzy o okrzyk „Nie bać Tuska" w czasie spotkań z Karolem Nawrockim mówił: „Uważam, że to całkiem trafne hasło, które mi do serca trafia. Ja na przykład nie boję się Tuska, więc uważam, że to całkiem trafne hasło".

Tusk mamił Kosiniaka-Kamysza

A co z PSL? Na temat powodów uległości Władysława Kosiniaka-Kamysza wobec Tuska krążą plotki, mówiące m.in. o mocnych hakach na lidera PSL. Nasz rozmówca wskazuje jednak na to, jakie źródła miała ta współpraca za poprzednich rządów PO i PSL.

– Tusk, który tak naprawdę wprowadził Kosiniaka-Kamysza do polityki, mamił go wizją, że kiedyś będzie on jego następcą.

Konfederacja w tym Sejmie nie wejdzie do żadnej rządowej koalicji. I trudno jej się dziwić. Obecnie ma 16 posłów. Jej liderzy wierzą, że w kolejnym Sejmie mogą mieć nawet trzy albo i cztery razy więcej.

Tłumaczył mu, że PO i PSL, które działają w jednej europejskiej partii, Europejskiej Partii Ludowej, również na scenie krajowej nieuchronnie zjednoczą się, stworzą jedno ugrupowanie. I sprzedawał mu bajkę, że kiedy on odejdzie do polityki międzynarodowej, to lider PSL będzie jego naturalnym następcą. Kosiniak-Kamysz w to wierzył. Ta wiara osłabła wtedy, gdy Tusk wyjechał do Brukseli, a lider PSL jego następcą nie został – opowiada nasz informator.

Czy w takim razie możliwe jest, żeby Kosiniak-Kamysz porzucił Tuska? – W innych ugrupowaniach to jest tak, że przed wyborami politycy myślą głównie o tym, czy sami wejdą do parlamentu. W PSL jest inaczej. Rządząca partią ekipa myśli ze strachem o tym, czy nie będzie pierwszą, która po 1989 roku spowoduje, że PSL nie będzie w Sejmie. Jeśliby się okazało, że wyjście PSL z koalicji zwiększy jego szansę na wejście do Sejmu w 2027 roku, PSL Tuska porzuci – mówi jeden ze znanych polityków tej partii.

W listopadzie kongres PSL

Dlaczego lider PSL mógłby się na to odważyć? – To już jest inny Tusk niż ten, którego znał w przeszłości Kosiniak-Kamysz. Padł mit o jego geniuszu. To nie jest zresztą jedyny przypadek polityka, który w Brukseli się popsuł, bo z karierą w Brukseli często tak jest. Tusk tam zwyczajnie zardzewiał – mówi nasz rozmówca.

Na postawę PSL wpływ ma to, że w listopadzie tego roku odbywa się kongres tej partii, w czasie którego dojdzie do wyboru nowego prezesa. – Kosiniak-Kamysz będzie nadal prezesem, natomiast otwarte jest pytanie, czy wygra też jego kandydat na przewodniczącego rady naczelnej – mówi nam polityk PSL. A w tej partii jest to niezwykle ważna funkcja. Rada naczelna może nawet odwołać prezesa partii i tak wydarzyło się w przeszłości w przypadku Janusza Piechocińskiego.

Na poprzednim kongresie wbrew Kosiniakowi-Kamyszowi, który stawiał na posła Dariusza Klimczaka, tę bardzo ważną funkcję objął Waldemar Pawlak. Teraz kandydatem prezesa PSL na to ważne stanowisko ma być Piotr Zgorzelski. – Przypomnę, że na poprzednim kongresie nie wszedł on nawet do finału, w którym rywalizowali Pawlak i Klimczak – mówi nam polityk PSL. – Kosiniak-Kamysz, lekarz z Krakowa, nie będzie chciał zawrzeć koalicji z PiS z powodów „estetycznych" i środowiskowych. Waldemar Pawlak nie ma takich obciążeń – zaznacza.

Cztery scenariusze

Według naszych rozmówców możliwe są cztery scenariusze. Pierwszy to wspomniana nowa koalicja PiS z PSL i Polską 2050.

Drugi to przyspieszone wybory, na które godzi się sam Tusk, uznając, że lepsze jest dla niego rywalizowanie w wyborach, gdy ma blisko 30 proc. poparcia, niż dalsza erozja koalicji i totalna klęska w roku 2027. – Tyle, że pozostaje pytanie, czy Tusk byłby w stanie przekonać do tego własną partię. Bo w niej krążą plotki o masowych aresztowaniach polityków PO w razie porażki – mówi nasz informator.

Trzeci scenariusz to zgoda Tuska na „zrekonstruowanie" jego samego i zastąpienie go kimś innym, a największe szanse miałby tu Radosław Sikorski. Warunkiem wstępnym byłoby tu przyznanie Tuskowi jakiegoś bardzo ważnego stanowiska międzynarodowego, a z tym może nie być łatwo, bo kanclerz RFN Friedrich Merz nie jest mu tak życzliwy jak Angela Merkel.

Czwarty scenariusz to powolne gnicie, które jeden z naszych rozmówców nazywa wariantem niemieckim, czyli korkociągiem spadku poparcia dla rządzących ugrupowań, który miał miejsce za rządów poprzedniej koalicji w Niemczech. Dobrego dla Tuska scenariusza na horyzoncie nie widać. **GP**

Sklep Gazety Polskiej POLECA

WRZESIEŃ 1939

– PAMIĘĆ, KTÓRA ZOBOWIĄZUJE

SIĘGNIJ PO KSIĄŻKI, KTÓRE PRZYWRACAJĄ GŁOS BOHATEROM I ODSŁANIAJĄ PRAWDĘ



WESTERPLATTE JACEK KOMUDA

„Westerplatte" to opowieść o siedmiu dniach, które wstrząsnęły światem.

Jacek Komuda – mistrz historycznej narracji – przenosi czytelnika na gdańskie wybrzeże, gdzie we wrześniu 1939 roku garstka polskich żołnierzy stawiła czoła potędze Wehrmachtu. To historia odwagi, determinacji i honoru, napisana z rozmachem, ale i z dbałością o każdy szczegół. Na kartach tej książki bohaterowie ożywają – nie są tylko nazwiskami z podręczników, lecz ludźmi z krwi i kości, podejmującymi dramatyczne decyzje w obliczu przytłaczającej przewagi wroga. Komuda ukazuje zarówno heroizm, jak i ludzką cenę walki, oddając klimat oblężonego Westerplatte minuta po minucie.

Format: 125x195 mm | **Liczba stron:** 500 | **Oprawa:** broszurowa

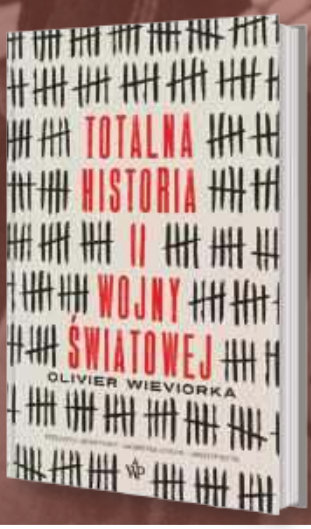
POLSKIE TAJEMNICE II WOJNY ŚWIATOWEJ KRZYSZTOF DROZDOWSKI

Krzysztof Drozdowski w swojej książce odkrywa kulisy wydarzeń, o których rzadko mówi się w szkolnych podręcznikach. Sabotaże, tajne akcje wywiadowcze, niezwykłe operacje Polaków w kraju i za granicą – wszystko to układa się w pasjonującą opowieść o bohaterach, którzy często działali w cieniu, a jednak mieli ogromny wpływ na losy wojny.

To lektura dla tych, którzy chcą poznać nieznane oblicze polskiej walki z okupantem i dowiedzieć się, jak wiele jeszcze tajemnic kryje w sobie czas II wojny światowej. Drozdowski łączy rzetelność historyka z narracją pełną napięcia, dzięki czemu książkę czyta się jak najlepszy thriller – z tą różnicą, że wszystko wydarzyło się naprawdę.

Format: 145x205 mm | **Liczba stron:** 392 | **Oprawa:** miękka





TOTALNA HISTORIA II WOJNY ŚWIATOWEJ OLIVIER WIEVIÓRKA

Olivier Wieviórka zabiera czytelnika w podróż przez największy konflikt XX wieku – od jego genezy po dramatyczny finał. To nie tylko daty i fakty, lecz również spojrzenie na kulisy decyzji politycznych, strategie wojskowe i codzienne życie zwykłych ludzi w cieniu działań zbrojnych. Autor łączy szeroką perspektywę globalną z fascynującymi detalami, dzięki czemu „Totalna historia II wojny światowej" staje się lekturą zarówno dla pasjonatów historii, jak i dla tych, którzy dopiero chcą zrozumieć skalę i znaczenie tego konfliktu.

To książka, która pokazuje wojnę w całej jej złożoności – totalną w każdym wymiarze: politycznym, militarnym i ludzkim. Rzetelna, wciągająca, poruszająca – obowiązkowa dla każdego, kto chce naprawdę zrozumieć II wojnę światową.

Format: 170x240 mm | **Liczba stron:** 880 | **Oprawa:** twarda

Zamów w naszym sklepie pod adresem **sklep.gazetapolska.pl | tel. 722 111 655, 887 885 577**

Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp z o.o.
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

Konto **61 1240 6003 1111 0010 7516 5807**
sklep@gazetapolska.pl

sklep.gazetapolska.pl
Sklep Niepodległego Polaka



PO-LAND

Drenaż kapitału z polskiego rynku mieszkaniowego bezpośrednio zasila system zabezpieczenia społecznego Niemiec.

NIEMIECKI FUNDUSZ EMERYTALNY ZAROBI NA WYNAJMIE MIESZKAŃ POLAKOM

REKORDOWA TRANSAKCJA

Niemiecka spółka TAG Immobilien, poprzez swoje polskie spółki zależne Vantage Development i Robyg, ugruntowała swoją pozycję jako kluczowy gracz na polskim rynku nieruchomości. Spektakularne przejęcie ponad 5,3 tys. lokali od Resi4Rent przez Vantage Development nie tylko znacząco powiększyło jej portfolio, ale także uczyniło z niej lidera w dynamicznie rozwijającym się sektorze najmu instytucjonalnego. Szkopuł w tym, że jednym z głównych akcjonariuszy TAG Immobilien – która zarabiać będzie na wynajmie Polakom mieszkań w Polsce – jest... niemiecka agencja rządowa, a dokładniej największa w Niemczech instytucja zaopatrzenia emerytalnego dla pracowników sektora publicznego.



Grzegorz **Wierzchołowski**
RED. NACZELNY NIEZALEZNA.PL
albicla.com/GrzegorzWierzcholowski

W sierpniu 2025 roku polskim rynkiem nieruchomości wstrząsnęła wiadomość o rekordowej transakcji. Vantage Development, spółka kontrolowana przez niemiecki koncern TAG Immobilien, sfinalizowała umowę zakupu 5322 gotowych mieszkań na wynajem od firmy Resi4Rent. Wartość tej historycznej operacji, opiewająca na ponad 2,4 mld zł, nie ma precedensu w historii polskiego sektora najmu instytucjonalnego (PRS). Nabyte portfolio obejmuje 18 w pełni gotowych do zamieszkania projektów w sześciu kluczowych polskich aglomeracjach: Warszawie, Krakowie, Gdańsku, Wrocławiu, Łodzi i Poznaniu. Ten ruch katapultował Vantage Development, działający pod marką Vantage Rent, na pozycję absolutnego lidera, dając mu kontrolę nad niemal 40 proc. polskiego rynku najmu instytucjonalnego. Wraz z posiadanymi wcześniej lokalami oraz projektami w budowie, firma jest na najlepszej drodze, by osiągnąć cel strategiczny 10 tys. mieszkań

na wynajem na długo przed planowanym terminem w 2028 roku.

Niemiec głównym graczem na polskim rynku

Jednak Vantage Development to tylko część układanki. Jego właściciel, TAG Immobilien, to prawdziwy potentat, który od 2020 roku systematycznie umacnia swoją pozycję nad Wisłą. Kluczowym ruchem Niemców było wcześniejsze przejęcie kontroli nad jednym z największych polskich deweloperów – firmą Robyg. Od czasu fuzji operacyjnej w 2022 roku TAG Immobilien realizuje w Polsce przemyślaną strategię podziału ról. Robyg skupia się na budowie i sprzedaży mieszkań na wolnym rynku oraz pełni funkcję generalnego wykonawcy dla całej grupy. Z kolei Vantage Development koncentruje się wyłącznie na budowie i zarządzaniu portfelem mieszkań na wynajem.

Łączna siła obu podmiotów czyni z TAG Immobilien hegemona, który ma wpływ nie tylko na rynek najmu, ale także na rynek sprzedaży. W 2023 roku cała grupa sprzedała w Polsce 3324 mieszkania, a klientom przekazała klucze do 4298 lokali. W pierwszym kwartale 2025 roku w budowie znajdowało się już około 7300 mieszkań. Inwestycje Robyga i Vantage Development zlokalizowane są w najatrakcyjniejszych miastach Polski, takich jak Warszawa (m.in. osiedla na Mokotowie, Ursusie, Woli), Trójmiasto (inwestycje w Gdańsku), Wrocław (projekty deweloperskie w różnych częściach miasta) oraz Poznań. Ta skala działalności sprawia, że niemiecki koncern stał się jednym z najważniejszych graczy kształtujących ceny i dostępność mieszkań w największych polskich metropoliach.

Niemieccy emeryci zarobią na polskim dachu nad głową

Kluczowe staje się jednak pytanie, do kogo ostatecznie trafiają zyski generowane z czynszów płaconych przez Polaków i sprzedaży mieszkań w naszym kraju. Analiza struktury akcjonariatu TAG Immobilien przynosi zaskakującą odpowiedź. Największym, skonsolidowanym akcjonariuszem spółki, posiadającym znaczący pakiet akcji nie jest prywatny fundusz inwestycyjny, lecz podmiot o nazwie Versorgungsanstalt des Bundes und der Länder (VBL), działający w ścisłej współpracy z bankiem HSBC INKA.

Versorgungsanstalt des Bundes und der Länder to największa w Niemczech instytucja odpowiedzialna za dodatkowe zaopatrzenie emerytalne dla pracowników niemieckiego sektora publicznego. Jest to de facto agencja rządowa, nadzorowana przez Federalne Ministerstwo Finansów. Jej zadaniem jest zarządzanie funduszami i zapewnienie stabilnych świadczeń emerytalnych dla milionów niemieckich urzędników federalnych i landowych. W tej strukturze HSBC INKA pełni rolę tak zwanej „Master-KVG" – centralnej platformy administracyjnej, która w imieniu VBL zarządza i przechowuje aktywa. Mówiąc wprost: VBL jest rzeczywistym właścicielem kapitału i beneficjentem zysków, a HSBC INKA jest jego wyspecjalizowanym administratorem.

Cel tej współpracy został jasno wyartykułowany przez dr. Michaela Leinwanda, członka zarządu VBL ds. inwestycji kapitałowych: „Zdecydowaliśmy się na HSBC INKA jako jednego z wiodących partnerów Master-KVG, który wspiera nas swoją wiedzą i wydajną platformą we wdrażaniu naszej nowej strategii inwestycyjnej i konsoliduje naszą strukturę inwestycji kapitałowych". Inwestycja w polski rynek nieruchomości jest więc elementem długofalowej strategii niemieckiej agencji rządowej, mającej na celu pomnażanie kapitału na przyszłe emerytury. Oznacza to, że każda złotówka zapłacona za czynsz w mieszkaniu Vantage Rent w Warszawie czy Wrocławiu w części trafia do funduszu, który w przyszłości wypłaci świadczenia emerytowi z Monachium czy Hamburga. Mamy więc do czynienia z sytuacją, w której drenaż kapitału z polskiego rynku mieszkaniowego bezpośrednio zasila system zabezpieczenia społecznego innego państwa.

Wielkie zyski, skromne podatki i państwo z kartonu

Ten niepokojący obraz uzupełnia analiza obciążeń podatkowych, jakie ponoszą w Polsce niemieckie spółki. Zgodnie z jednostkowym sprawozdaniem finansowym za rok zakończony 31 grudnia 2024 roku, spółka Robyg S.A. osiągnęła zysk brutto w wysokości 339,18 mln zł. Obciążenie z tytułu podatku dochodowego wyniosło jednak zaledwie 10,19 mln zł, co daje efektywną stopę podatkową na poziomie 3,00 proc. W tym samym okresie Vantage Development S.A. zanotował zysk przed opodatkowaniem w kwocie 114,73 mln zł, płacąc od tego zaledwie 6,88 mln zł podatku. Efektywna stopa opodatkowania wyniosła w tym przypadku 6,00 proc. Obie wartości są drastycznie niższe od nominalnej, 19-procentowej stawki podatku CIT obowiązującej w Polsce, co pokazuje, jak skutecznie zyski są optymalizowane podatkowo, zanim opuszczą nasz kraj.

Sytuacja ta jest tym bardziej bolesna, gdy porównamy potężne portfolio niemieckiego giganta z mizernymi, wręcz symbolicznymi, wynikami polskiego państwa i samorządów w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego. Skala dysproporcji jest porażająca. Z jednej strony mamy jeden niemiecki koncern, który po ostatnich przejęciach i z uwzględnieniem projektów w budowie, kontroluje w Polsce portfel około 16 tys. mieszkań (blisko 8700 lokali na wynajem i około 7300 w trakcie budowy). Z drugiej strony stoi cały aparat polskiego państwa. Według oficjalnych danych Głównego Urzędu Statystycznego, w 2023 roku we wszystkich formach budownictwa o charakterze publicznym i społecznym – a więc łącznie w budownictwie komunalnym, społecznym czynszowym (TBS), spółdzielczym i zakładowym – oddano do użytku zaledwie 4,3 tys. mieszkań. Oznacza to, że jeden zagraniczny podmiot dysponuje portfelem niemal czterokrotnie większym niż roczne możliwości konstrukcyjne całego polskiego sektora publicznego i społecznego.

Nasuwa się zatem fundamentalne pytanie o suwerenność polskiego rynku mieszkaniowego i o to, czy polski rząd ma jakikolwiek plan, by tę niekorzystną dla milionów Polaków sytuację odwrócić. Na razie Polakom pozostaje wynajmować mieszkania od niemieckiego giganta i tym samym dokładać się do emerytur niemieckich urzędników. **GP**

FOT. MAREK WIŚNIEWSKI/PULS BIZNESU/FORUM



Jacek
Liziniewicz
albicla.com/JacekLiziniewicz

POLACY NIE CHCĄ WIATRAKÓW NAWET W LASACH

MIESZKAŃCY BOJĄ SIĘ INWESTYCJI LASÓW PAŃSTWOWYCH

Lasy Państwowe nie rezygnują z pomysłu budowy na swoim terenie turbin wiatrowych. Mimo że wiatraki mają się znajdować 2,5 km od zabudowań i teoretycznie nikomu nie przeszkadzać, to inwestycje wzbudzają protesty potencjalnych sąsiadów. Sprzeciwiają się m.in. mieszkańcy gminy Siedlisko, gdzie na terenie tzw. Puszczy Tarnowskiej miałoby powstać 19 wysokich na 250 metrów wiatraków o mocy 130 MW.

Weto prezydenta Karola Nawrockiego do tzw. ustawy wiatrakowej oburzyło polityków koalicji rządzącej i pobudziło sprzyjających branży OZE komentatorów. Jednocześnie zaczęto przekonywać, że Polacy przez ostatnie lata – gdy w kraju nie było stagnacji na rynku budowy turbin – pokochali wiatraki.

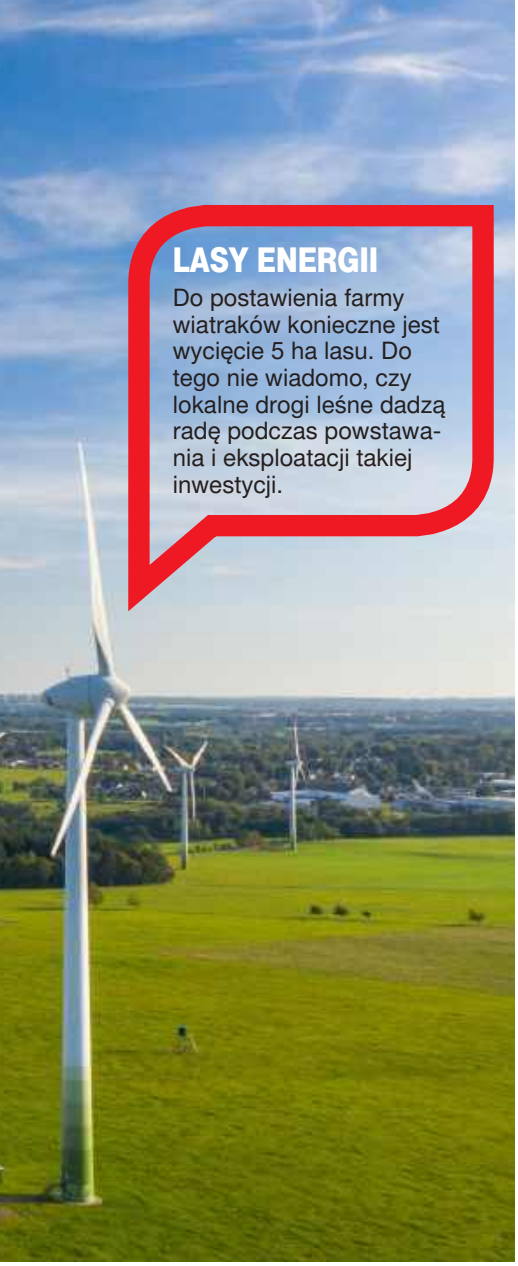
Organizacja „More in Common" opublikowała wyniki badania, w ramach którego 64 proc. Polaków popiera rozwój lądowych farm wiatrowych. Sprzeciwiać miałoby się jedynie 24 proc. Polaków. Takie badania jednak niewiele mówią. Większości bowiem problem ten po prostu nie dotyczy. Już dzisiaj ponad 60 proc. Polaków mieszka w miastach i może swobodnie popierać budowę wiatraków na wsiach, bo to nie oni muszą się mierzyć z trudnym sąsiedztwem.

Konsultacje idą jak po grudzie

Tymczasem praktyka inwestorów jest taka, że protesty społeczne pojawiają się zawsze, gdy rozejdzie się wieść o planowanej farmie wiatrowej. Nie inaczej jest w przypadku tzw. lasów energii, czyli stworzonej przez Lasy Państwowe koncepcji stawiania wiatraków w środku lasów. Wstępnie szacowano, że potencjał państwowego przedsiębiorstwa to 2500 turbin w całym kraju.

Teoretycznie największym uzyskiem z tego przedsięwzięcia miało być to, że będzie ono realizowane bezkolizyjnie, jeśli chodzi o społeczeństwo. Leśnicy zakładali bowiem, że znajdą takie tereny, gdzie

FOT. ADOBE STOCK



LASY ENERGII

Do postawienia farmy wiatraków konieczne jest wycięcie 5 ha lasu. Do tego nie wiadomo, czy lokalne drogi leśne dadzą radę podczas powstawania i eksploatacji takiej inwestycji.

odległość od zabudowań będzie wystarczająco daleka.

Nadzieje te okazały się jednak płonne. Projekt jest obecnie realizowany w dwóch lokalizacjach na terenie trzech nadleśnictw w województwie lubuskim, pod zarządem Regionalnych Dyrekcji Lasów Państwowych w Szczecinie i Zielonej Górze. Pierwsza lokalizacja to nadleśnictwa Nowa Sól i Sława Śląska. W tzw. Puszczy Tarnowskiej ma powstać farma, na której znajdzie się 19 turbin o łącznej mocy 130 MW.

Projekt już na etapie wstępnym konsultacji społecznych budzi sprzeciw. Przekonali się o tym przedstawiciele Lasów Państwowych i Eurowind Energy podczas konsultacji społecznych. Mieszkańcy Gminy Siedlisko domagają się od lokalnych polityków, by wstrzymali inwestycję. – Nie zgadzamy się na to i apelujemy do radnych w Sławie, żeby tę inwestycję zamknęli i żeby jej nie przyklepali. Żeby też liczyli się z naszym zdaniem. Naszym, mieszkańców i tutaj właśnie wszystkich ludzi, którzy są przeciwni, a takich ludzi jest bardzo wiele – twierdzi cytowana przez TVP Anna Kamińska, sołtys wsi Borowiec.

Ludzie boją się inwestycji i wskazują na rosnące zagrożenie pożarowe, a także na utracone walory przyrodnicze. Do postawienia farmy będzie konieczne wycięcie ponad 5 ha lasu. Do tego jeszcze nie wiadomo, czy lokalne drogi leśne dadzą radę podczas powstawania i eksploatacji takiej inwestycji. Może się więc okazać, że i w tych wypadkach będzie potrzebna ingerencja.

Powstają lokalne profile na Facebooku sprzeciwiające się inwestycji. Angażują się politycy. Toczy się emocjonalna debata.

Osobliwie tania dzierżawa terenu

Uwagę zwraca również sama formuła organizacji przedsięwzięcia, czyli lasów energii. Już wiadomo, że partnerem Lasów Państwowych będzie spółka Eurowind Energy. To firma z duńskim rodowodem, ale działająca w całej Europie. Najprężniej w Niemczech.

Jaka w przedsięwzięciu jest rola leśników? „Lasy Państwowe w ramach pilotażu lokują się nie jako inwestor, ale partner. Inwestorem ma być firma Eurowind Energy Sp. z o.o. (spółka zależna Eurowind Energy A/S z Danii). Współpraca ze strony PGL Lasy Państwowe polega jednak na dzierżawie gruntów leśnych pod elektrownie wiatrowe, a ta budzi wątpliwości co do dopuszczalności w świetle art. 39 zdanie pierwsze Ustawy o lasach. Stronami umowy są nadleśnictwa oraz firma Eurowind Energy" – wyjaśnia Ministerstwo Klimatu i Środowiska w odpowiedzi na interpelację poselską.

Do wiadomości publicznej nie zostały podane kwoty, jakie na tym biznesie mają zarobić Lasy Państwowe. „Wedle PGL Lasy Państwowe wynegocjowane stawki czynszu dzierżawnego w ramach zawartych umów z nadleśnictwami są wyższe od obecnie obserwowanych na rynku podobnych inwestycji, zarówno w Polsce, jak i poza granicami (Niemcy, Finlandia, Szwecja). W ramach wynegocjowanej umowy przewidziano procent udziału w całkowitych przychodach oraz zabezpieczenia związane z realizacją umowy. Pozostała część analizy ekonomicznej jest po stronie inwestora" – czytamy w piśmie Ministerstwa Klimatu i Środowiska.

Przyrodnicy ramię w ramię z inżynierami

Teoretycznie więc zdaniem ministerstwa Lasy Państwowe nie są inwestorem, ale trudno nie zauważyć, że biorą na siebie część kosztów związanych m.in. z badaniami środowiskowymi. W kwietniu 2024 roku dyrektor generalny Lasów Państwowych podjął decyzję o zleceniu usługi badawczej pod nazwą „Wpływ budowy farm wiatrowych na populacje ptaków i nietoperzy w lasach nizinnych Polski". Początkowo zadanie zlecono Uniwersytetowi Przyrodniczemu w Poznaniu. Koszt – blisko 17 mln zł. W lipcu jednak zmieniono zarządzenie. Koszty planowane zmniejszono ogółem do 15 512 652,13 zł, w tym na 2024 rok – 3 553 403,33 zł. W zamian Dyrekcja Generalna Lasów Państwowych zobowiązała się, że zakupi zintegrowany system radarowo-optyczny do zdalnego monitoringu ptaków i nietoperzy i przekaże go na zasadzie bezpłatnego użyczenia Uniwersytetowi Przyrodniczemu w Poznaniu.

Badania będą realizowane pod okiem prof. Piotra Tryjanowskiego, który robił m.in. analizy środowiskowe Zamku w Stobnicy. Biznes pcha więc inwestycję do przodu, mimo że lokalne społeczności są przeciwko. Zdeterminowane są również siły w samych Lasach Państwowych. Projekt jest oczkiem w głowie wicedyrektora Jerzego Fijasa. Ten był już jedną nogą poza Dyrekcją Generalną, gdy nowym dyrektorem został Adam Wasiak, ale w ciągu jednego dnia wrócił do swoich obowiązków. Co jak co, ale wiatraki w rządzie mają wielu sprzymierzeńców. **GP**



CZYŻBY WSTYDZILI SIĘ INTERWENCJI? POLICJANCI ŻĄDAJĄ OGROMNYCH PIENIĘDZY

Najwyraźniej nie chcą, aby ktoś patrzył im na ręce. Policjanci w wezwaniach przedsądowych straszą pozwami i żądają ogromnych sum. W krótkim czasie takie pisma otrzymali zasłużony opozycjonista z czasów PRL, znany fotoreporter, a także Telewizja Republika. Powód? Za każdym razem chodzi o dokumentowanie interwencji na służbie i prawny wytrych pod hasłem „rozpowszechniania wizerunku". Straszak, który ma zniechęcić innych?

GROŹBY RODEM Z PRL

Grzegorz **Broński**

Gdy stykam się z tego rodzaju roszczeniami prawnymi i pamiętam o orzecznictwie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, jestem zdziwiony. Oczywiście, można zażądać wiele – żeby nie powiedzieć: wszystkiego – ale sąd krajowy rozpoznający sprawę musi pamiętać o Strasburgu – tłumaczy „Gazecie Polskiej" prof. Ireneusz A. Kamiński, specjalista w zakresie prawa europejskiego, były sędzia ad hoc Trybunału. Nie brak bowiem wyroków określających standard prawny wynikający z Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. – EKPCz akcentuje, że jako opinia publiczna mamy prawo wiedzieć, jak się policjanci zachowywali podczas interwencji, jak ona przebiegała – dodaje prof. Kamiński.

Tego dotyczyło chociażby rozstrzygnięcie w sprawie „Bild przeciwko Niemcy" (szczegóły w dalszej części).

– Trybunał stwierdził, że ochrona wizerunku, aczkolwiek nie pomijana, musi ustąpić interesom publicznym. Czy możliwe



SPRYTNY PLAN

Roszczenia finansowe policji mogą wywołać efekt mrożący – jeden, drugi, dziesiąty pozew i ludzie przestaną fotografować/nagrywać interwencje policjantów.

FOT. FACEBOOK

jest znalezienie formuły, która by wizerunek funkcjonariuszy policji chroniła w sposób mocniejszy? Wątpię. Tu interes publiczny jest mocniejszy – podkreśla prof. Kamiński.

Ujęcie „Batmana”

Podczas kampanii przed wyborami prezydenckimi nie brakowało ważnych momentów, ale do najbardziej spektakularnych niewątpliwie należała akcja trójki „super-bohaterów”. Najpierw na rynku w Tarnowie, podczas wiecu Rafała Trzaskowskiego, na dachu jednej z kamienic mężczyzna przebrany za „Zorro” rozwiesił transparent z hasłem: „Byle nie Trzaskowski”. W pościg za nim ruszyły służby, ale nie został ujęty. Później w Gliwicach w podobny sposób zadziałał „Spiderman”. A tuż przed ciszą wyborczą w oknie hotelu na Długim Targu w Gdańsku pojawił się „Batman”. W tym przypadku policjanci zareagowali błyskawicznie. Do hotelowego pokoju wtargnęła grupa funkcjonariuszy (umundurowanych oraz po cywilnemu) i niemalże na gorącym uczynku schwytała „złoczyńcę”. Co się działo podczas tej kuriozalnej interwencji, wiemy przede wszystkim dzięki zdjęciom zrobionych przez znanego gdańskiego fotoreportera Roberta Kwiatka. A co w tej historii najważniejsze – słynne już na całą Polskę kadry opublikowane zostały w mediach społecznościowych!

Chcą nie tylko pieniędzy

Minęło kilka tygodni i mamy zaskakujący ciąg dalszy tamtych wydarzeń. Robert Kwiatek otrzymał bowiem od adwokat reprezentującej dziewięciu policjantów pismo przedprocesowe. Za opublikowanie bez zgody zdjęć z ich wizerunkiem zażądali łącznie 89 tys. zł zadośćuczynienia za rzekome naruszenie dóbr osobistych. „Pismo to traktuję jako próbę wyłudzenia pieniędzy i zastraszenia dziennikarza…” – napisał na Facebooku gdański fotograf.

Policjanci chcą jednak nie tylko pieniędzy. Kwiatek miałby zamieścić przeprosiny w głównym wydaniu serwisu informacyjnego „Dzisiaj” w Telewizji Republika. Osobiście przez niego odczytane „spokojnym, jednostajnym głosem, bez wyrażania emocji, bez wykonywania gestów, znaków ośmieszających czy umniejszających powagę przeprosin”.

„No cóż, Pani mecenas i Panowie policjanci, widzimy się w sądzie, o ile oni przyjmą taki wniosek…” – napisał Kwiatek. „Nie zamierzam płacić ani przepraszać za mówienie prawdy”.

To już będzie reguła?

Bulwersująca sytuacja z Gdańska to jednak nie incydent – podobnych roszczeń jest więcej.

Ryszard Majdzik – patriota doskonale znany naszym Czytelnikom, zasłużony działacz antykomunistycznej opozycji w PRL – brał udział pod koniec lipca br. w demonstracji w Bogatyni i został wówczas wylegitymowany przez policjantów. Ich działania zarejestrował, a nagranie opublikował w mediach społecznościowych. Szybko otrzymał wezwania przedsądowe od dwóch funkcjonariuszy, którzy także zażądali pieniędzy, choć mniejszych niż koledzy po fachu z Gdańska. Jeden – 3,5 tys. zł, drugi – 5 tys. zł.

Z kolei w marcu br. grupa policjantów z Małopolski wtargnęła do domu Majdzika. „Rzekomo szukali u niego nielegalnej broni palnej. I faktycznie, broń znaleźli, jednak były to dwa zabytkowe, skorodowane i niezdatne do użycia karabiny i pistolety oraz – także niezagrażająca bezpieczeństwu – ślepa amunicja” – informował portal Niezalezna.pl. Gospodarz rejestrował, co się działo podczas przeszukania, a wydarzenia „na żywo” pokazywała na antenie Telewizja Republika. Po czterech miesiącach siedmioro policjantów wysłało do stacji „Wezwanie do zaprzestania naruszeń dóbr osobistych oraz zapłaty”. Domagali się usunięcia nagrania z marcowej interwencji „z wszelkich możliwych platform internetowych”. Do tego dołączyli żądania finansowe. Niebagatelne, bo każdy z nich chce po 50 tys. zł „tytułem zadośćuczynienia za doznaną krzywdę”.

Nie tylko w Polsce

W wezwaniach przedsądowych policjantów – zarówno z Krakowa, jak i Gdańska – przywołany został artykuł 81. prawa autorskiego. – To przepis, który po prostu stwierdza, że każdy jest dysponentem swojego wizerunku i za jego rozpowszechnianie przysługuje mu wynagrodzenie – wyjaśnia prof. Kamiński.

Bliźniacze regulacje znajdują się w niemieckim prawie autorskim i na ich podstawie tamtejsze sądy rozpoznawały podobną sprawę – chodziło o interwencję policjantów w zamkniętym klubie, która została zare-

jestrowana, a kadry opublikował „Bild". – Niemieckie sądy uznały, że nie wolno rozpowszechniać owego materiału bez wypikslowania twarzy policjantów. Nie chodziło więc o roszczenia finansowe, lecz o pewien środek o charakterze prewencyjnym: „rozpowszechniajcie, ale z zachowaniem ochrony wizerunku funkcjonariuszy" – stwierdza prof. Kamiński. – Czyli próbowano znaleźć pośrednie rozwiązanie.

To jednak nie zakończyło sporu, bo sprawa „Bild przeciwko Niemcy" trafiła do ETPCz. Wyrok zapadł 31 października 2023 roku, więc nie jest to orzeczenie archaiczne, gdy obowiązywały inne realia pracy mediów, zwłaszcza społecznościowych. Trybunał orzekł, że doszło do naruszenia artykułu 10. Europejskiej Konwencji Praw Człowieka dotyczącego „swobody wypowiedzi".

Interes jednostki czy publiczny?

Jak wyrok ws. „Bild przeciwko Niemcy" przekłada się na sprawy z Polski? – Zwrócono uwagę, że z jednej strony istnieje wprawdzie ochrona interesu jednostki, ale z drugiej – jest interes publiczny, polegający na tym, że mamy prawo dowiedzieć się, zobaczyć, jak wygląda interwencja policji, czy funkcjonariusze nie posługują się przymusem w sposób rodzący wątpliwości, a być może nawet sprzeczny z prawem – wyjaśnia prof. Kamiński.

Jak tłumaczy ekspert prawa europejskiego, ETPCz, stwierdzając naruszenie Konwencji, wskazał, iż nie rozważono należycie kolizji interesu jednostki i interesu publicznego. – Europejski Trybunał Praw Człowieka powiedział: „Dobra, interes jednostki istnieje, ale trzeba go rozważyć w kontekście i adekwatnie, nie tylko w sposób pozorowany, w kontekście styku z interesami publicznymi" – dodaje prof. Kamiński. – Jeżeli więc mielibyśmy do czynienia z rozstrzygnięciem sądowym, w którym zasądzano na rzecz funkcjonariuszy zadośćuczynienie tylko z tego tytułu, że ich wizerunek został upubliczniony, bez rozważenia racji publicznych, tym bardziej Europejski Trybunał Praw Człowieka orzeknie, że mamy do czynienia ze złamaniem artykułu 10. Konwencji. To oczywiste – uważa były sędzia ad hoc ETPCz.

W wezwaniach przedsądowych policjantów – zarówno z Krakowa, jak i Gdańska – przywołany został artykuł 81. prawa autorskiego. – To przepis, który po prostu stwierdza, że każdy jest dysponentem swojego wizerunku i za jego rozpowszechnianie przysługuje mu wynagrodzenie – wyjaśnia prof. Kamiński.

– Sądy krajowe muszą rozważyć kolizję interesu indywidualnego z interesami publicznymi. Jeżeli istnieje istotny interes publiczny, żeby pokazać interwencję policji, to w sposób znaczący osłabia to ochronę jednostki, w tym przypadku ochronę wizerunku funkcjonariusza – podkreśla.

Standard na całym świecie

Sytuację jednoznacznie ocenia prezes Telewizji Republika. – Interwencja policji ma się odbywać w imieniu państwa i społeczeństwa, co oznacza, że spełnia wszystkie standardy dobra publicznego. Tymczasem władza chce spowodować, że policja działa przeciwko temu dobru. Stąd też chęć schowania wykonawców tego typu poleceń – mówi redaktor Tomasz Sakiewicz. – To całkowicie demaskujące intencje władzy. Policjant, który działa dla dobra publicznego, nie musi się obawiać reakcji. Natomiast to, że media dokumentują działania władzy i stróżów prawa, jest oczywistym obyczajem i standardem w całym cywilizowanym świecie.

Z kolei Centrum Monitoringu Wolności Prasy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, które podjęło interwencję ws. Roberta Kwiatka, podkreśla: „Ta sytuacja narusza zasadę wolności słowa i godzi w jeden z fundamentów porządku prawnego Rzeczypospolitej Polskiej, jakim ta wolność jest".

Zasada „efektu mrożącego"?

Czy tego typu roszczenia nie mają wywołać efekt mrożący – jeden, drugi, dziesiąty pozew i przestaną fotografować/nagrywać interwencje policjantów? – Europejski Trybunał Praw Człowieka zdaje sobie z tego sprawę. Analizując rozstrzygnięcia krajowe zwraca uwagę, czy wyrok w jednostkowej sprawie nie będzie wywierał właśnie takiego efektu mrożącego w szerszym zakresie, a funkcja kontrolna związana z rejestrowaniem interwencji nie będzie mogła być realizowana – przyznał prof. Kamiński. – Tym bardziej że w obecnych realiach, w dobie mediów społecznościowych, ta funkcja kontrolna ulega rozproszeniu, demokratyzacji, mamy więcej owych „kontrolerów". O tym też trzeba pamiętać. **GP**

GAZETA POLSKA



Witold **Gadowski**

Konstytucja Nawrockiego?

Polska potrzebuje nowej konstytucji – ustawy zasadniczej, która przezwycięży chaos wśród organów władzy i będzie stanowić podstawę do rozwoju suwerenności naszego kraju. „Konstytucja Kwaśniewskiego" jest przestarzała i nie precyzuje kompetencji pomiędzy mającym najsilniejszy mandat społeczny prezydentem a wybieranym jedynie przez większość parlamentarną premierem. Model kohabitacji organów władzy na pewno nie służy Polsce i wprowadza anarchię na najwyższym piętrze władzy.

Najsilniejsze potencje do zainicjowania procesu pracy nad nowym dokumentem ma Prezydent RP. Może to uczynić na drodze referendum rozstrzygającego, jaki model władzy ma funkcjonować w Polsce. Czy ma to być model prezydencki – za którym osobiście opowiada się moje środowisko – czy też kanclerski? Model prezydencki uczytelnia drogę podejmowania decyzji i wskazuje wyraźnie osoby za nie odpowiedzialne. Taki model władzy umożliwia likwidację senatu i znaczne „odchudzenie" sejmu, a także uzależnia politykę rządu od decyzji prezydenta, i to właśnie prezydenta czyni osobą odpowiedzialną za drogę, którą podąża kraj. Taki model pozwala także na wyrwanie kraju z zastygłego schematu politycznej walki i niemożności podejmowania szybkich decyzji.

To jednak tylko jedna z idei nowej konstytucji. Środowisko Ruchu Obrony Polaków proponuje na przykład, aby w nowej konstytucji zapisać wprowadzenie instytucji referendów gminnych bez progów, które uniemożliwią paraliżowanie lokalnych inicjatyw przez okrzepłe w terenie kliki. W tych referendach tylko osoby aktywne podejmują odpowiedzialność za decyzje i ich skutki. Innym projektem jest przeorganizowanie obecnej Akademii Sztuki Wojennej w nową jakość: Szkołę Rycerską, która kształcić mogłaby prawdziwą elitę dowódczą dla polskiej armii, policji i służb specjalnych. W ten sposób w środowiskach odpowiedzialnych za bezpieczeństwo Polaków pojawiłby się zupełnie nowy rodzaj zarządzania i zdrowy etos służby dla kraju.

Model prezydencki przyszłej konstytucji uczytelnia drogę podejmowania decyzji i wskazuje wyraźnie osoby za nie odpowiedzialne.

Nowa konstytucja powinna także praktycznie zdefiniować obszar państwowej suwerenności, której nie można naruszyć i tym samym oddać w zarządzanie instytucjom ponadpaństwowym.

Ważne, aby w nowej konstytucji pojawił się jednoznaczny zapis, że tylko naród polski jest najwyższym suwerenem na terytorium RP i nie mogą tego zmienić żadne okoliczności polityczne ani tym bardziej wpływy zewnętrzne. Warto także zapisać w konstytucji ochronę prawa do płacenia gotówką i zasadę, że jedynie polski złoty jest prawnym środkiem płatniczym na terenie RP.

W nowej konstytucji powinna być także zawarta zasada prymatu polskiego interesu i racji stanu nad jakimikolwiek wpływami zewnętrznymi, sojuszami i układami międzynarodowymi.

Powinien też zostać dokonany przegląd instytucji centralnych, których wpływy obecnie znoszą się lub krzyżują. Na przykład bezsensem jest jednoczesne utrzymywanie istnienia Rady Mediów Narodowych i KRRiT. Ich miejsce powinna zająć instytucja arbitrażowa, regulująca zasady działania mediów w polskim obszarze państwowym i kulturowym. Oczywiście zagadnień konstytucyjnych są setki, ale działania trzeba podjąć już teraz i właśnie na obecnym prezydencie spoczywa obowiązek ich praktycznego zainicjowania. Straciliśmy już w tej materii 10 ostatnich lat. **GP**



Piotr
Nisztor
albicla.com/PNisztor

ABSURDY

W jakim celu Wojewoda Dolnośląski polecił Dolnośląskiemu Inspektorowi Ochrony Środowiska, którym była Beata Merenda, przeprowadzenie konkursu na stanowisko jej zastępcy, skoro de facto został nim ktoś, kto tego konkursu nie wygrał?

PRZEGRAŁA KONKURS, ZOSTAŁA SZEFEM URZĘDU ŚCIGAJĄCEGO MAFIE ŚMIECIOWE

WOJEWODA OD SIEMONIAKA I OCHRONA ŚRODOWISKA

Na fotel zastępcy Wojewódzkiego Inspektora Ochrony Środowiska we Wrocławiu została powołana przez wojewodę dolnośląskiego osoba, która przegrała konkurs na to stanowisko. Niespełna miesiąc później awansowano ją na szefa całego inspektoratu, który nadzoruje działające na terenie województwa spółki z branży odpadowej obracające miliardami złotych rocznie.

Dolny Śląsk. To właśnie tam swoją działalność prowadzi szereg podmiotów z branży odpadowej, w tym główni gracze na polskim rynku zajmujący się gospodarowaniem śmieciami, także tymi niebezpiecznymi. Nadzór nad działalnością tych obracających miliardami złotych rocznie podmiotów prowadzi Dolnośląski Inspektor Ochrony Środowiska we Wrocławiu. Nie tylko wydaje niezbędne pozwolenia na odbiór, zagospodarowanie czy przewóz odpadów, ale kontroluje również przestrzeganie prawa w tym zakresie, walcząc z mafiami śmieciowymi. Obsada kierownictwa wrocławskiego Inspektoratu może jednak budzić poważne wątpliwości. Powołana w czerwcu br. na stanowisko Dolnośląskiego Inspektora Ochrony Środowiska Małgorzata Liptak niespełna miesiąc wcześniej – mimo że przegrała konkurs – objęła tam stanowisko zastępcy Inspektora. „Gazeta Polska" dotarła do dokumentów opisujących kulisy tej sprawy.

Konkurs na polecenie wojewody

Wszystko zaczęło się 14 marca 2025 roku. Wówczas Anna Żabska, Wojewoda Dolnośląski (powołana na to stanowisko pod koniec listopada ub.r. przez Tomasza Siemoniaka, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych i administracji), poleciła

FOT. X

Dolnośląskiemu Inspektorowi Ochrony Środowiska, którym była Beata Merenda, przeprowadzenie konkursu na stanowisko jej zastępcy. Został on rozpisany 21 marca 2025 roku. Przeprowadziła go komisja konkursowa składająca się z trzech osób. Jednocześnie – jak ustaliła „GP" – w jej pracach jako obserwatorzy uczestniczyła dwójka przedstawicieli wojewody Żabskiej. Jednym z kluczowych wymogów formalnych było posiadanie 5-letniego doświadczenia w ochronie środowiska. Do konkursu zgłosiło się czterech kandydatów, którzy złożyli oświadczenie, że spełniają to kryterium. Zostali oni dopuszczeni do testu pisemnego z wiedzy o ochronie środowiska. Aby go zaliczyć, należało zdobyć przynajmniej 16 z 30 punktów. Na teście odpadł jeden kandydat, który uzyskał tylko 8 punktów. Pozostała trójka została dopuszczona do drugiego etapu – rozmowy kwalifikacyjnej, obejmującej prezentację, motywację do pracy oraz opis sukcesów zawodowych. Każdy z członków komisji oceniał kandydata w poszczególnych obszarach w skali od 1 do 5 punktów. Z materiałów, do których dotarliśmy, wynika, że najwięcej – 87 punktów (łącznie z I i II etapu) – uzyskał W. Z kolei Małgorzata Liptak uzyskała 79 punktów, a trzeci kandydat, Paweł Pilszak – 61, z czego 16 podczas testu. 25 kwietnia 2024 roku informacja o wygraniu przez W. konkursu została opublikowana w Biuletynie Informacji Publicznej wrocławskiego Inspektoratu.

„Rezygnuje z powodów osobistych"

Miesiąc później na stanowisko Zastępcy Dolnośląskiego Inspektora Ochrony Środowiska Wojewoda Żabska powołała… Małgorzatę Liptak. Jak to możliwe? „Pomimo rekomendacji komisji rekrutacyjnej, Wojewoda Dolnośląski podjął decyzję o zapoznaniu się z ofertami wszystkich kandydatów, którzy spełnili wymagania formalne i uzyskali pozytywny wynik na każdym etapie procedury konkursowej, uznając, iż przedłożona kandydatura stanowi wyłącznie rekomendację do powołania wskazanego kandydata na stanowisko Zastępcy Dolnośląskiego Wojewódzkiego Inspektora Ochrony Środowiska" – napisał w odpowiedzi na pytania „GP" Tomasz Jankowski, rzecznik Wojewody Dolnośląskiego. Wojewoda Żabska do każdego z trójki kandydatów wystosowała zaproszenia na spotkanie, które zostało wyznaczone na 6 maja 2025 roku. Z materiałów, do których dotarła „GP", wynika, że w odpowiedzi Małgorzata Liptak napisała e-maila. „Uprzejmie informuje, że z przyczyn osobistych rezygnuję z ubiegania się o stanowisko Zastępcy DWIOŚ" – stwierdziła w odpowiedzi. Jankowski potwierdza, że Liptak „wyraziła wstępną rezygnację", ale wycofała się z tej decyzji.

Wojewoda rozmawia i wybiera innego kandydata

29 maja 2025 roku Liptak została powołana na stanowisko Zastępcy Dolnośląskiego Inspektora Ochrony Środowiska. „Po zapoznaniu się z ofertami oraz odbyciu spotkań z każdym z kandydatów, którzy spełnili wymagania formalne i uzyskali pozytywny wynik na każdym etapie procedury konkursowej, za najlepszego kandydata na stanowisko Zastępcy Dolnośląskiego Wojewódzkiego Inspektora Ochrony Środowiska Wojewoda Dolnośląski uznał Panią Małgorzatę Liptak, posiadającą wykształcenie prawnicze oraz wiedzę i wieloletnie doświadczenie zawodowe w obszarze ochrony środowiska, zdobyte m.in. w ramach pracy na stanowisku Naczelnika Wydziału Prawnego Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska we Wrocławiu" – tłumaczy Tomasz Jankowski. Jak sprawę powołania na stanowisko zastępcy dolnośląskiego Inspektoratu osoby, która przegrała w konkursie na to stanowisko, komentuje Główny Inspektorat Ochrony Środowiska? „Pytania poza właściwością GIOŚ. Właściwym organem jest tu wojewoda" – podkreśla Tomasz Matusiak, rzecznik GIOŚ. Zaznacza, że zgodnie z przepisami „zastępców wojewódzkiego inspektora ochrony środowiska, w liczbie do dwóch, powołuje i odwołuje wojewoda, na wniosek wojewódzkiego inspektora ochrony środowiska". O kulisach konkursu na zastępcę Dolnośląskiego Inspektora Ochrony Środowiska „GP" chciała porozmawiać z jego zwycięzcą. – Nie chcę wypowiadać się na ten temat – uciął pytania W. Rozmawiać na ten temat nie chciała też Beata Merenda, która w tym czasie stała na czele dolnośląskiego Inspektoratu.

O kulisach konkursu na zastępcę Dolnośląskiego Inspektora Ochrony Środowiska „GP" chciała porozmawiać z jego zwycięzcą. – Nie chcę wypowiadać się na ten temat – uciął pytania W. Rozmawiać na ten temat nie chciała też Beata Merenda, która w tym czasie stała na czele dolnośląskiego Inspektoratu.

Drugi przegrany również ze stanowiskiem

Niespełna miesiąc po powołaniu na stanowisko zastępcy Małgorzata Liptak została powołana na stanowisko Dolnośląskiego Inspektora Ochrony Środowiska. Z kolei fotel jej zastępcy objął Paweł Pilszak, wcześniej naczelnik komórki zajmującej się zwalczaniem przestępczości środowiskowej, który – podobnie jak Liptak – przegrał z W. w konkursie na to stanowisko. Tym razem jednak żaden proces rekrutacyjny nie był prowadzony. Dlaczego? „Zgodnie z ustawą konkurs nie jest obligatoryjnym trybem obsadzania stanowisk. W tym przypadku, biorąc pod uwagę wcześniejsze kontrole i potrzebę usprawnienia pracy Inspektoratu, decyzję o powołaniach podjął Wojewoda Dolnośląski w porozumieniu z Głównym Inspektorem Ochrony Środowiska" – napisała w odpowiedzi na pytania „GP" Marta Wróblewska p.o. rzecznika prasowego wrocławskiego Inspektoratu Ochrony Środowiska. **GP**



Hubert
Kowalski
albicla.com/HubertKowalski

SZARA STREFA MIGRANTÓW W POLSCE

OBCOKRAJOWCY WYPADAJĄ POZA SYSTEM

Wielu cudzoziemców, którzy trafiają do Polski legalnie, później staje się nielegalnymi migrantami. Polskie państwo zmaga się z różnymi obliczami tego zjawiska. Podrobione dokumenty, zatrudnienie „na czarno", pobyt bez prawa do przebywania w kraju. Skala tych nadużyć wyraźnie rośnie, a napływ uchodźców nadal ma charakter masowy.

Polska staje się coraz bardziej popularnym kierunkiem migracji. Na ogół cudzoziemcy przybywają w poszukiwaniu pracy, ale często ich pobyt jest niezgodny z prawem. Statystyki pokazują, że takich sytuacji jest coraz więcej. Duża skala tego zjawiska powoduje, że wydziały do spraw cudzoziemców urzędów wojewódzkich oraz służby tracą kontrolę nad migrantami, którzy wcześniej pojawili się w Polsce legalnie. Niektórzy dopiero później są ujmowani przez funkcjonariuszy.

Liczne zatrzymania i ujawnienia

W ostatnich dniach funkcjonariusze Straży Granicznej zatrzymali 22 cudzoziemców przebywających w naszym kraju niezgodnie z przepisami. Wśród zatrzymanych znaleźli się obywatele Kolumbii, Nigerii, Ugandy, Gruzji, Azerbejdżanu, Wietnamu, Bangladeszu, a także Tadżyk, Marokańczyk, Rosjanka i Filipińczyk. Okazało się, że przebywali w Polsce w celu niezgodnym z deklarowanym lub nie posiadali żadnych dokumentów, które byłyby podstawą do legalnego pobytu. Większość z nich otrzymało decyzje zobowiązujące ich do powrotu do swojego kraju z jednoczesnym zakazem ponownego wjazdu na terytorium państw strefy Schengen na okres od roku do trzech lat.

Z kolei funkcjonariusze SG z Łodzi zatrzymali 12 cudzoziemców, którzy naruszyli przepisy dotyczące warunków pobytu. Zatrzymano siedmiu obywateli Kolumbii, czterech obywateli Gwatemali oraz jednego obywatela Nepalu. Ostatni nie posiadał żadnego dokumentu legalizującego pobyt, w tym ważnej wizy uprawniającej do wjazdu i przebywania na terytorium RP. Wśród



NA STUDENTA

Wśród zatrzymywanych przez Służbę Graniczną są też tacy, którzy przyjechali do Polski na podstawie wizy studenckiej, ale nie studiowali. Cel ich przyjazdu był zatem inny niż deklarowany.

FOT. SG

zatrzymanych znalazła się również obywatelka Kolumbii, która od blisko roku przebywa w Polsce nielegalnie, uchylając się od wykonania wcześniejszej decyzji zobowiązującej ją do dobrowolnego powrotu. W związku z tym zatrzymani zostali zobowiązani do opuszczenia Polski.

W poniedziałek 18 sierpnia funkcjonariusze SG z Krakowa zatrzymali 22-letnią obywatelkę Nepalu. Cudzoziemka ostatni raz wjechała na terytorium RP pod koniec kwietnia autobusem przez granicę polsko-słowacką. Jej chorwacka karta pobytu została zastrzeżona w systemie dwa tygodnie wcześniej. Kobieta nie posiadała żadnego innego tytułu pobytowego, a granicę przekroczyła wbrew przepisom. W efekcie wobec niej zostanie wydana decyzja o zobowiązaniu do powrotu. Kilka dni wcześniej w centrum Krakowa zatrzymano dwoje Filipińczyków. Cudzoziemcy przyjechali do Polski w połowie maja 2024 roku, posługując się węgierskimi kartami pobytu, które zostały cofnięte przed datą ich wjazdu do Polski. Wydano wobec nich decyzje o zobowiązaniu do powrotu, orzekając jednocześnie o zakazie ponownego wjazdu na terytorium RP i strefy Schengen przez sześć miesięcy.

Coraz więcej nielegalnych migrantów

Ze informacji statystycznej SG wynika, że w pierwszym kwartale tego roku ujawniono 125 osób posługujących się fałszywymi wizami. W analogicznym okresie rok wcześniej takich osób było 52, co oznacza wzrost o 140 proc. Znacznie zwiększyła się też liczba fałszywych stempli i dowodów osobistych. Nieznacznie mniej było fałszywych dokumentów pobytowych i paszportów. W sumie liczba osób posługujących się podrobionymi dokumentami ujawnionych przez SG wzrosła o 35 proc. Fałszywe dokumenty posiadali głównie obywatele Ukrainy, Syrii, Gruzji i Białorusi.

W pierwszym kwartale tego roku zatrzymano lub ujawniono 3253 osoby przebywające w Polsce nielegalnie (nielegalny pobyt), rok wcześniej w analogicznym okresie było 2794, co oznacza wzrost o 16 proc. Najwięcej było obywateli Gruzji, dalej obywatele Białorusi, Kolumbii, Mołdawii, Ukrainy, Uzbekistanu, Rosji i Indii. Podobnie rok wcześniej, ale, co ciekawe, wtedy w Polsce nielegalnie przebywało więcej obywateli Rosji (237) niż Ukrainy (162).

„Gazeta Polska” poprosiła też SG o podanie liczby zatrzymanych w pierwszym kwartale tego roku cudzoziemców bez prawa legalnego pobytu, którzy wcześniej takie prawo posiadali, ale na przykład utracili je. Mjr Krzysztof Grzech z zespołu prasowego komendanta głównego SG poinformował, że SG zatrzymała ponad 3,9 tys. osób, wobec których stwierdzono nielegalny pobyt, a których wjazd do RP był legalny. Jak wyjaśniono, wspomniana liczba 3253 to zatrzymani za nielegalny pobyt podczas kontroli w kraju. W liczbie 3,9 tys. są m.in. osoby stawiające się do odprawy granicznej, u których stwierdzono, że termin ich pobytu upłynął. To również też tacy, którzy przyjechali do Polski na podstawie wizy studenckiej, ale nie studiowali. Cel ich przyjazdu był zatem inny niż deklarowany.

W pierwszym kwartale tego roku stwierdzono 2383 cudzoziemców, wobec których stwierdzono nielegalne wykonywanie pracy, powierzenie wykonywania pracy lub prowadzenie działalności gospodarczej, rok wcześniej ich liczba wynosiła 2242, co oznacza wzrost o 6 proc. W tym roku najwięcej takich stwierdzeń dotyczyło Ukraińców (900 w 2025 roku i 1031 w 2024 roku, co oznacza spadek o 13 proc.), dalej byli Kolumbijczycy, Gruzini, Białorusini, Filipińczycy.

Kolumbijski problem

Ze statystyk wynika, że szybko rośnie liczba Kolumbijczyków w Polsce. Choć stanowią jeszcze niewielką część ogółu przebywających w naszym kraju cudzoziemców, to już są w czołówce narodowości zatrzymywanych m.in. za nielegalny pobyt i nielegalne wykonywanie pracy, co niedawno zostało opisane na portalu niezalezna.pl. W Polsce jest ponad milion cudzoziemców zgłoszonych do ubezpieczeń społecznych, z tego znaczną większość stanowią Ukraińcy. Z danych Centrum Analitycznego Gremi Personal w 2015 roku w Polsce pracowało 108 Kolumbijczyków, w 2023 roku już 5,2 tys., w 2025 roku zaś już 16 389 osób, czyli wciąż niewiele w stosunku do ogólnej liczby cudzoziemców. Niestety wzrost ich obecności w Polsce wiąże się również z bardzo mocno rozszerzającą się przestępczością graniczną i nie tylko. W ostatnim czasie Kolumbijczycy popełnili w Polsce głośne przestępstwa, w tym zabójstwo, gwałt zbiorowy i akt terrorystyczny na zlecenie rosyjskich służb. **GP**

W Polsce jest ponad milion cudzoziemców zgłoszonych do ubezpieczeń społecznych, z tego znaczną większość stanowią Ukraińcy.



Grzegorz
Wszołek
albicla.com/GrzegorzWszolek

POLSKIE NIEBO DZIURAWE JAK SITO. DRONA MOŻNA BYŁO ZESTRZELIĆ

INSTYTUCJE PAŃSTWA ZAWIODŁY

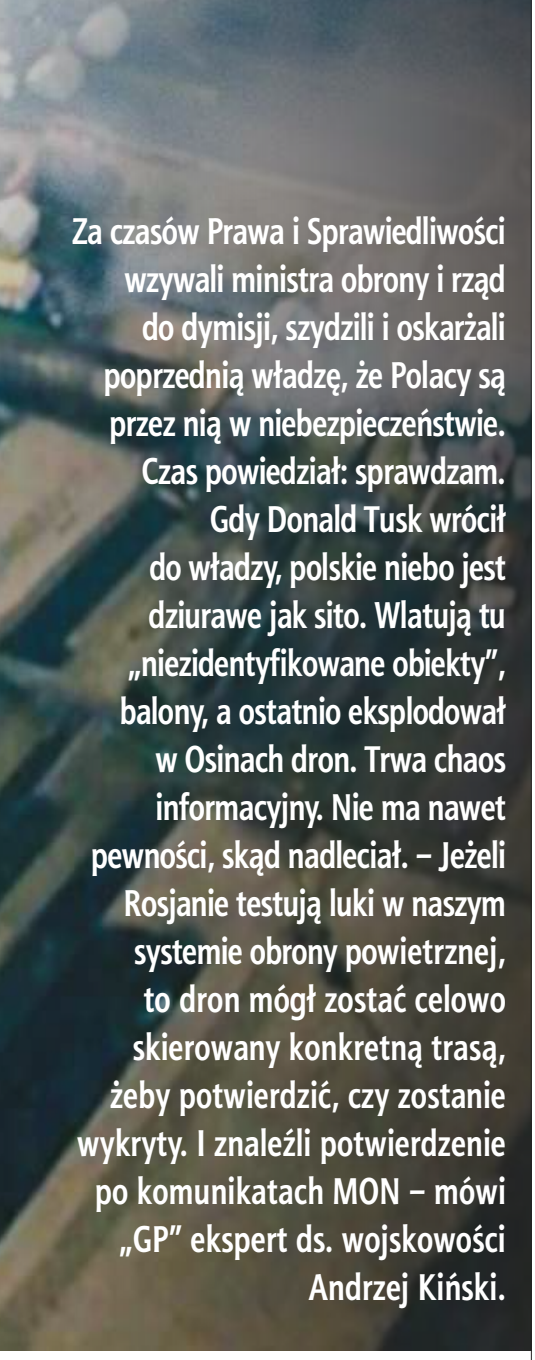
Jak to możliwe, że w nocy z 19 na 20 sierpnia spadł dron, a po trzech dobach prokuratura nadal nie ma pewności, kto go skierował w stronę Polski, jakiej był produkcji i... czy doszło do wybuchu? Zamieszanie, jakie wywołał jeden dron, który naruszył polską przestrzeń powietrzną i eksplodował w polu kukurydzy w Osinach (województwo lubelskie), pokazał ogromną słabość polskiego państwa, a przede wszystkim nieudolność jego urzędników.

Wojna na Ukrainie wybuchła 3,5 roku temu. W tym czasie i przede wszystkim na podstawie doświadczeń – również tragicznych z Przewodowa – Polska powinna być przygotowana na ochronę nieba i swoich obywateli. Przecież dron mógł wybuchnąć nie w szczerym polu (wybijając przy tym trzem budynkom mieszkalnym szyby z okien), ale uderzyć w dom lub blok. Do Warszawy zabrakło bezzałogowcowi ponad 100 km. Co gorsza, według oficjalnych komunikatów maszyna nie została wykryta przez systemy radiolokacyjne, choć radary na użytek wojska są w stanie zlokalizować drona lecącego nawet na wysokości 100 metrów.

Mimo hucznych zapowiedzi z czasów zasiadania w ławach opozycji dziś rządzący nie mówią już o strzelaniu do wrogich obiektów latających. I nie wzywają Władysława Kosiniaka-Kamysza, by podał się do dymisji z funkcji szefa MON.

Szum informacyjny i sprzeczne komunikaty

O tym, że coś wybuchło, ale bez jakichkolwiek konkretnych informacji, jako pierwszy donosił w godzinach porannych 20 sierpnia serwis „Rzeczpospolitej" (rp.pl). Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych i MON zostały uprzedzone… przez dziennikarzy. I niestety, pierwszy komunikat DORSZ był wręcz kompromitujący dla armii. „Po przeprowadzeniu wstępnych analiz zapisów systemów radiolokacyjnych minionej nocy nie zareje-



Za czasów Prawa i Sprawiedliwości wzywali ministra obrony i rząd do dymisji, szydzili i oskarżali poprzednią władzę, że Polacy są przez nią w niebezpieczeństwie. Czas powiedział: sprawdzam. Gdy Donald Tusk wrócił do władzy, polskie niebo jest dziurawe jak sito. Wlatują tu „niezidentyfikowane obiekty", balony, a ostatnio eksplodował w Osinach dron. Trwa chaos informacyjny. Nie ma nawet pewności, skąd nadleciał. – Jeżeli Rosjanie testują luki w naszym systemie obrony powietrznej, to dron mógł zostać celowo skierowany konkretną trasą, żeby potwierdzić, czy zostanie wykryty. I znaleźli potwierdzenie po komunikatach MON – mówi „GP" ekspert ds. wojskowości Andrzej Kiński.

strowano naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej ani z kierunku Ukrainy, ani Białorusi" – ogłoszono. Ponadto dowiedzieliśmy się – błędnie – iż „według wstępnych ocen może stanowić element starego silnika ze śmigłem".

Dezinformacja od tej chwili trwała w najlepsze. Pojawiały się teorie w sieci, że w Osinach mógł się rozbić dron przemytniczy.

Władysław Kosiniak-Kamysz pojawił się na konferencji prasowej po 11 godzinach od wybuchu i stwierdził z pełnym przekonaniem, że eksplodował rosyjski dron. – To element wojny hybrydowej – oznajmił. Prokuratura z kolei oświadczyła, że dron nadleciał z Białorusi i „prawdopodobnie" doszło do wybuchu, choć to oczywiste, patrząc na zdjęcia krateru w polu kukurydzy i szkód, jakie wywołał upadek bezzałogowca.

Ministerstwo Obrony Narodowej przekazało nieoficjalnie mediom, że mieliśmy do czynienia z wabikiem, celowo zwracającym na siebie uwagę polskiej armii, bez głowicy bojowej. Eksperci, pytani przez „GP", twierdzą jednak, że mieliśmy do czynienia z groźnym shahedem/geranem – rosyjską wersją irańskiego bezzałogowca, wykorzystywaną do bombardowania Ukrainy. Hipotezę, że nie był to wabik, ale wojskowy dron z materiałami wybuchowymi, uprawdopodabnia to, że w tym samym czasie, gdy w Osinach doszło do eksplozji, Moskwa przypuściła atak z powietrza na Ukrainę z użyciem ponad 90 bezzałogowców. Nie wszystkie zostały zneutralizowane przez Kijów.

Instytucje państwa nie mają nawet pewności, o której godzinie doszło do wybuchu. Oficjalnie policja i prokuratura podają, że około godziny drugiej w nocy z 19 na 20 sierpnia. Ale pierwsze zgłoszenie na numer alarmowy jeden ze świadków przekazał koło północy, o czym mówił mieszkaniec Osin w Republice.

„Wątek pierwszego zgłoszenia sprawdzamy" – deklarował wiceminister Czesław Mroczek w Tok FM. Wiceszef MSWiA tłumaczył, że w pierwszym zgłoszeniu osoba przekazała służbom, że „coś wybuchło", a dopiero dwie godziny później policja otrzymała konkretną informację od innego zaniepokojonego mieszkańca, że mowa o „eksplozji i wybuchu". Wojsko na terenie eksplozji pojawiło się dopiero 11 godzin po incydencie.

Na domiar złego Donald Tusk, zamiast pojawić się obok wicepremiera i ministra obrony narodowej, spędzał czas... na urlopie. Mimo upływu kolejnych dni premiera było stać jedynie na ruganie prezydenta Karola Nawrockiego w stylu internetowego trolla za to, że zawetował ustawę wiatrakową i przedłożył projekt rządowy w sprawie zamrożenia cen prądu, ale ani słowem Tusk nie wspomniał o groźnym wybuchu w województwie lubelskim.

Ekspert: to rosyjski dron na bazie Shaheda

– Widziałem zdjęcia pokazujące silnik maszyny, która wybuchła w Osinach. Wygląda tak jak ten, który napędza shahedy (gerany), jest charakterystyczny. Ten silnik jest dostępny w różnych wykonaniach, ma rodowód niemiecki, powstał w firmie Limbach. Z biegiem czasu irańska spółka Mado uruchomiła jego bezlicencyjną produkcję pod nazwą MD-550. Takie silniki napędzały oryginalne shahedy-136, a później eksportowała je do Rosji, do napędu licencyjnych Geran. Wiadomo, że takie silniki produkowane są w Chinach, a nie można wykluczyć, że także w Korei Północnej. Jeżeli – hipotetycznie – dron został specjalnie przygotowany do tego, żeby spenetrować nasz system obrony przeciwlotniczej, to nie dziwiłoby złożenie go z różnych nietypowych komponentów. Białoruś również posiada odpowiedniki dronów Geran o nazwie Koczewnik. Niewykluczone zatem, że to była ich maszyna skierowana na terytorium Polski – wyjaśnia Andrzej Kiński, redaktor naczelny miesięcznika „Wojsko i Technika".

– Niestety, polityka informacyjna władz po raz kolejny w obliczu podobnego zdarzenia była chaotyczna: najpierw odbywa się konferencja prasowa MON, na której wicepremier jasno wskazuje na dron rosyjski typu wabik, nie podając jego typu, a za chwilę wypowiada się rzecznik MSZ Paweł Wroński, który twierdzi, że to był shahed/geran. Czyli MSZ jest lepiej poinformowany od MON? Nie wyjaśniono też, na jakiej podstawie prokuratura twierdzi, że bezzałogowiec wleciał od strony Białorusi, jeżeli faktycznie nie został wykryty i jego lot nie był śledzony przez wojsko. Dla mnie sprawa jest raczej jasna: wojsko tego celu nie prowadziło, bo gdyby tak było, to natychmiast wojskowi powinni pojawić się na miejscu zdarzenia albo wydany powinien zostać stosowny komunikat. Tymczasem w Osinach pierwsza była policja, już w nocy, po dwóch godzinach od pierwszego zgłoszenia, następnie straż pożarna i dopiero wojsko – dodaje ekspert.

– Właściwie po wybuchu komunikacja szwankowała na wszystkich poziomach. Jeśli eksplozja ma miejsce o północy lub o drugiej w nocy, to kilka godzin po niej

FOT. ADOBE STOCK

media powinny otrzymać od instytucji państwowych podstawowe informacje. A nie, jak było w ubiegłym tygodniu, że przed godziną 9 rano dowiadujemy się, iż coś wybuchło, ale w zasadzie nie wiadomo co, a poza tym – ktoś złośliwy może powiedzieć: „po co drążyć temat, skoro spadło". Tak to nie może działać – komentuje w rozmowie z „GP" gen. Roman Polko, były dowódca i współzałożyciel jednostki GROM. – W takiej sytuacji daje się pożywkę dla różnego rodzaju trolli, którzy rozsyłają fake newsy i grają w ten sposób informacyjnie. W efekcie przegrywamy wojnę informacyjną. A zatem dyżurny dowódca obrony powietrznej jest osobą kompetentną, która wie, co się dzieje na polskim niebie, jest w stanie ocenić sytuację, więc dopuśćmy kompetentnych ludzi do głosu, a nie, jak to było po wybuchu w Osinach, że wszyscy nabierają wody w usta i czekają, aż minister się obudzi, wypije kawę i coś wymyśli – krytykuje podejście MON i podległych mu instytucji wojskowych gen. Polko.

Co spadało na Polskę po inwazji i niezabezpieczona broń

Reakcja po wybuchu w Osinach jest tym bardziej zastanawiająca, że Polska już wielokrotnie padała ofiarą zbłąkanych rakiet, rzekomych balonów meteorologicznych i prawdopodobnego rozbicia dronu. W listopadzie 2022 roku na Przewodów (wieś w powiecie hrubieszowskim) spadła rakieta ukraińskiej obrony przeciwlotniczej, która zabiła dwóch polskich obywateli. Wówczas polskie władze konsultowały się z NATO, jak zareagować, bo w grę wchodził prowokacyjny atak ze strony Rosji.

W grudniu 2022 roku w lesie pod Bydgoszczą wylądowała zbłąkana rakieta Ch-55, należąca do rosyjskich sił zbrojnych, na szczęście bez głowicy bojowej. Odnaleziono ją… kilka miesięcy później.

Wreszcie w marcu 2024 roku w Oserdowie (woj. lubelskie) przez 39 sekund w polskiej przestrzeni powietrznej znajdowała się rakieta dalekiego zasięgu, wystrzelona przez Moskwę.

Na przełomie sierpnia i września ubiegłego roku wojsko wraz ze służbami przez szereg dni szukało szczątków drona, prawdopodobnie shaheda. W końcu akcję odwołano, zakomunikowano, że nic nie znaleziono, i odpuszczono temat.

Instytucje państwa nie mają nawet pewności, o której godzinie doszło do wybuchu. Oficjalnie policja i prokuratura podają, że około godziny drugiej w nocy z 19 na 20 sierpnia. Ale pierwsze zgłoszenie na numer alarmowy jeden ze świadków przekazał koło północy.

Gdy w maju 2023 roku w okolicy Białowieży przez kilka minut po niebie latały białoruskie śmigłowce, ówczesny europoseł Radosław Sikorski nie miał wątpliwości, że „trzeba było je zestrzelić". Jesienią ubiegłego roku zapewniał, że trwają rozmowy z Ukrainą nad zestrzeliwaniem wrogich obiektów jeszcze przed granicą Polski. Nic w tej sprawie od tamtego czasu się nie wydarzyło. Dziś reakcja Sikorskiego w roli szefa MSZ ogranicza się do wysłania noty protestacyjnej do Rosji w sprawie wybuchu drona w Osinach.

Przypomnijmy też inną skandaliczną sytuację – w Laszkach na Podkarpaciu znaleziono składy niezabezpieczonej broni i amunicji w kontenerach, która miała trafić na Ukrainę. Jako pierwsza informowała o tym Republika. Śledztwo w tej sprawie nadal prowadzi Podkarpacki Wydział Zamiejscowy Prokuratury Krajowej, który bada, jak to się stało, że sprzęt wojskowy w ogromnych ilościach trafił niepostrzeżenie na teren aeroklubu. I to również idzie na konto Ministerstwa Obrony Narodowej.

Armia mogła zestrzelić drona. Rumuni to potrafią

Według Andrzeja Kińskiego można było zestrzelić bezzałogowca, choć żaden kraj na świecie – z potęgami obrony przeciwlotniczej, jak Stany Zjednoczone czy Izrael włącznie – nie jest w stanie uchronić się w stu procentach przed takim zagrożeniem.

– Element antydronowy, na razie w postaci systemów detekcji dronów oraz ich eliminacji poprzez zakłócanie radioelektroniczne, jest w naszych wojskach obecny. Przykładem jest chociażby system SkyControl firmy APS, polskiej prywatnej firmy. Można oczywiście zadawać pytanie, czy proces nasycania wojsk takimi systemami nie przebiega zbyt wolno. Nasze siły zbrojne od kilku lat testują systemy antydronowe. Wykonywano badania porównawcze, w których testowano najbardziej renomowane rozwiązania z całego świata i okazało się, że właśnie najlepszy w tych testach był system firmy APS z Gdyni. Jednak środki przeciwdziałania pozostają najczęściej krok czy pół kroku z tyłu za tymi systemami, które mają zwalczać – wyjaśnił.

– Zasadniczy problem z unieszkodliwianiem bezzałogowców jest związany z tym, że trzeba znaleźć skuteczny, a zarazem efektywny kosztowo środek ich eliminacji. Najprościej, chodzi o to, by koszty użytych środków przeciwdziałania – na przykład amunicji artyleryjskiej, pocisków kierowanych – nie były wyższe niż cel, który zwalczają. Dlatego nie ma sensu do shaheda strzelać rakietą z systemu Patriot, bo ona jest po prostu wielokrotnie droższa. Obecnie testuje się ponadto bardziej zaawansowane i skuteczne nawet wobec najmniejszych

bezzałogowców środki walki. I to właśnie one wydają się najbardziej perspektywiczne w horyzoncie najbliższych kilku lat. Są one oparte na energii skierowanej – świetle laserowym, promieniowaniu mikrofalowym – które powodują zapalenie konstrukcji bądź destrukcję elementów elektronicznych. Koszt takiego wystrzału to kilkadziesiąt, czasem kilkaset dolarów – zaznacza Kiński.

– Możemy strzelać do dronów typu Shahed/Geran z zestawów artyleryjskich ZU-23-2 czy rakietowo-artyleryjskich Jodek, zestawów Pilica, samobieżnych Szyłka-Biała. Do wykorzystania są też przenośne przeciwlotnicze zestawy rakietowe Piorun. Ukraińcy mają na swoim koncie zestrzelenia za pomocą Piorunów pocisków manewrujących typu Ch-101, a także bezzałogowców Orłan-30. Trwają finalne testy polskiej amunicji kalibru 35 mm z programowalnym rozcaleniem. To są efektywne środki do zwalczania powietrznych dronów. Już znajdujące się w wojsku albo takie, które będą wkrótce dostępne – wskazuje Kiński.

Jak radzić sobie z dronami – pokazuje choćby przykład rumuński. To państwo w ubiegłym roku poderwało dwa myśliwce F-16, gdy rosyjski dron wleciał w jego przestrzeń powietrzną. Maszyna była obserwowana i zestrzelona po powrocie na Ukrainę. Innym razem Rumuni zestrzelili wrogiego drona systemem przeciwlotniczym Gepard. Było to możliwe dzięki zmianom w prawie, które umożliwiają natychmiastową reakcję na zagrożenie powietrzne.

Gen. Roman Polko zwraca uwagę na nieodrobioną lekcję w zakresie eliminowania potencjalnego zagrożenia na polskim niebie. – Rozumiem, że na ileś takich niebezpiecznych zdarzeń, powiedzmy raz, zaliczymy wpadkę, bo nie istnieje system skuteczny w stu procentach, jeśli mowa o wykrywaniu dronów. Ale to jest kolejne tego typu zdarzenie, a powinniśmy się czegoś nauczyć od początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Za każdym razem mówiono, że kontrolujemy sytuację, że będą wdrożone procedury. Nic z tego nie wychodzi. Minister Kosiniak-Kamysz brzmiał w swoich oświadczeniach tak, jakby system Barbara [aerostatów rozpoznawczych – przyp. red.] już działał, a zacznie dopiero w 2027 roku. Tymczasem zakończenie budowy wielowarstwowego systemu obrony powietrznej z dzisiejszej perspektywy nastąpi tak naprawdę około 10 lat. Powinniśmy w tym czasie odrobić pilnie lekcję: chociażby wypożyczyć te systemy, które pozwalają prowadzić skuteczną walkę przeciwko zbłąkanym rakietom, wszystkim bojowym środkom napadu powietrznego, zarówno rakietowym, jak i dronowym. Żeby mieszkańcy Polski mogli się czuć bezpiecznie – uważa generał.

– Przecież można ze stroną ukraińską uzgodnić jakiś pas, w którym moglibyśmy reagować. Nie czekajmy, aż dron czy rakieta przekroczy granicę, jeżeli widzimy, że zmierza w kierunku Polski, tylko w porozumieniu z Kijowem neutralizujmy obiekty wtedy, kiedy znajdą się w polu obserwacji i w zasięgu ognia – apeluje do polskich władz gen. Polko.

Brutalnie zweryfikowana rzeczywistość

Na koniec warto przypomnieć, co obecni decydenci mówili przed dwoma, trzema laty, gdy poprzednie kierownictwo Ministerstwa Obrony Narodowej znajdowało się pod medialnym ostrzałem za to, że armia nie strzela do zbłąkanych rakiet.

„To jest dramat kłamstwa, tchórzostwa i niekompetencji. Pan minister Błaszczak, tak wzorcowy przykład publicznego, politycznego tchórza, postanowił zwalić winę na ludzi w mundurach" – grzmiał Tusk na spotkaniu z wyborcami po incydencie z rakietą pod Bydgoszczą.

Nie tylko apelował o dymisję Mariusza Błaszczaka, ale wzywał do rokoszu w armii. „Wzywam polskich generałów, polskich oficerów. Nie dajcie się wrobić w tę rolę kozła ofiarnego" – mówił.

„Jeśli minister Mariusz Błaszczak nie wiedział, że nad Polską leciała rosyjska rakieta, to jest to ogromny skandal. Jeśli wiedział i nic z tym nie zrobił, to jest to rażąca nieodpowiedzialność i igranie z bezpieczeństwem Polski. Jedno i drugie jest dyskwalifikujące. Do dymisji" – nie miał wątpliwości Kosiniak-Kamysz w maju 2023 roku.

„Jak zabłąkana rakieta znów uderzy w Polskę i kogoś zabije, życie tych ludzi będzie na sumieniu Kaczyńskiego" – opowiadał w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" po tragedii w Przewodowie Radosław Sikorski.

Jeszcze dalej posunął się jego dobry znajomy, Roman Giertych, który sugerował wprost, że wybuch w powiecie hrubieszowskim był inscenizacją, mającą na celu przesunięcie wyborów parlamentarnych w czasie. „Prowokacja ma być tak zaplanowana, by nas nie wciągnąć do wojny z Putinem, ale stworzyć wrażenie, że naprawdę zagraża nam agresja rosyjska" – pisał mecenas na portalu X.

Tak, teraz ci ludzie odpowiadają za bezpieczeństwo polskiego nieba i obywateli. Historia z wybuchem drona w Osinowie to przykład tego, jak brutalnie deklaracje ówczesnej opozycji rozminęły się z rzeczywistością. **GP**

OGŁOSZENIE REDAKCYJNE

Pomoc dla Domu Chleba

Redakcja „Gazety Polskiej" wraz z zakonem oo. barnabitów zwraca się do wszystkich ludzi dobrej woli z prośbą **o wsparcie działalności Domu Chleba, funkcjonującego w parafii rzymskokatolickiej oo. Barnabitów pw. św. Antoniego Marii Zaccarii przy ul. Sobieskiego 15, który niesie pomoc osobom ubogim i bezdomnym.**

Wiemy, że jesteś dobry i hojny, dla nas i naszych podopiecznych każda złotówka jest bezcenna, dzięki Twojej ofierze kolejny głodny się nasyci.

Wpłat można dokonywać na konto: 78 1240 6175 1111 0000 4579 7336
DOM CHLEBA PARAFIA RZYMSKOKATOLICKA
PW. ŚW. ANTONIEGO M. ZACCARII.
Więcej informacji pod adresem:
www.parafiabarnabici.pl

FELIETON

{ PAN JACEK DLA CIEBIE }



Jacek **Liziniewicz**

RZECZYWISTOŚĆ I LOBBYŚCI

W Polsce praktycznie nie ma już przestrzeni do debaty publicznej. Tematy medialne to najczęściej spór dwóch stron, które odmawiają sobie prawa do istnienia. I nie myślę tu o rozmowach politycznych. Oto bowiem toczymy dyskusję o łowiectwie w Polsce. Jak zwykle w oparach absurdu. W skrócie: strona antymyśliwska uznaje drugą za zboczeńców, których trzeba koniecznie resocjalizować. Polujący chcą utrzymać status quo po tym, jak przez lata w wielu sprawach ustępowali. I jaki jest sens tej debaty i ucierania stanowisk? Żaden. Postulaty strony prozwierzęcej w zasadzie mają zrobić na złość oponentom. Dyskusja odbywa się bez rozważenia konsekwencji, które mogłaby spowodować likwidacja łowiectwa. Takiej debacie nic nie robi tak dobrze jak wypadek ze skutkiem śmiertelnym. „Ile jeszcze ma zginąć?!" – krzyczą przeciwnicy myśliwych. Gdy jednak przypomnisz, że więcej dzikich zwierząt oznacza na przykład więcej śmiertelnych wypadków komunikacyjnych, to prychają z dezaprobatą i mówią o demagogii. Podobnie dzieje się w każdej innej sprawie. Gdy piszę te słowa, trwa histeria wiatrakowa. Dowiadujemy się, że Polacy tak naprawdę kochają wiatraki, chociaż przez ostatnie 10 lat aż 98 proc. terenów w naszym kraju było dla wiatraków zablokowanych. Z czego więc wynika ta miłość? Nie wiadomo. Pewne jest natomiast, że gdy tylko w okolicy pojawia się pomysł montowania tego dziadostwa, to natychmiast zaczynają się gwałtowne protesty społeczne. No i te są, zdaniem aktywistów, dziwne. Bo przecież społeczeństwo lokalne powinno mieć pogląd na to, czy można wykonać trzebież w drzewostanie w środku lasu, ale nie powinno kwestionować inwestycji o wysokości 250 metrów tuż pod oknami własnych domów. Tak przecież nie można, co nie? Kto to słyszał? Wszak nauka potwierdziła, że wiatrak nie robi hałasu i nie przeszkadza, więc wieśniaki, morda w kubeł! Absurdalne? Pewnie. Ostatecznie jednak ile szantaży by jeszcze nie wypluli z siebie, to i tak nie ma to żadnego znaczenia. Ludzie nie chcą w terenie wiatraków. Im szybciej to zrozumiecie, tym lepiej. A sondaże? Gdyby ludzie kochali wiatraki tak jak lobbyści, to prezydentem byłaby Klaudia Jachira, a premierem Małgorzata Tracz. Widocznie jednak widzą więcej niż myślicie. **GP**

FELIETON

{ KRÓTKO I NA TEMAT }



Krzysztof **Karnkowski**

ZDRAJCA ZDRAJCY ZDRAJCĄ

Poszukiwanie wszędzie zdrady i spisków może być miarą zaburzeń osobowościowych, ale też sygnałem, że nie czujemy się zbyt pewnie. Jeśli wszyscy na nas czyhają i przeciwko nam knują, to znaczy, że nasza pozycja jest zagrożona, autorytet osłabiony, a sojusze niepewne. Do pewnego stopnia jest to uzasadnione, zwłaszcza w dużych, opartych na hierarchii i równoczesnym wyścigu szczurów strukturach zawodowych. Tym bardziej tam, gdzie rywalizacja jest najmocniejsza, a więc także w polityce. Jeżeli jednak za wrogów uważamy wszystkich, to nie wiem, czy to nie z nami jest coś nie tak. A jeśli faktycznie każdy miałby przeciwko nam knuć, to tym bardziej nie wszystko musiałoby być z nami w porządku. W przeciwnym razie – po co wszyscy chcieliby się nas pozbywać, a nikt nie wiązałby z nami już żadnych nadziei? Wbrew pozorom nie są to rozważania czysto teoretyczne. Rzuciło mnie ostatnio w najbardziej kochające premiera odmęty internetu, gdzie nadziałem się na dwa wideofelietony gwiazd tej bańki informacyjnej. Pierwszy ostrzegał, że przeciwko Donaldowi Tuskowi potężne spiski knuje Rafał Trzaskowski wraz z pogonionym właśnie z rządu ministrem i kilkoma innymi osobami. W drugim natomiast komentator snuł rozwiązania, kto z koalicyjnej Polski 2050 powinien odejść w niesławie jako zdrajca, tak by partia jeszcze zyskała zaufanie wyborców, a atmosfera w koalicji stała się czystsza. I tak myślał, myślał ów człowiek, wymieniał, dorzucał – i na koniec wyszło mu, że właściwie to wszyscy parlamentarzyści poza posłanką Leo powinni zniknąć. A że nikt wtedy nie zostanie? Tego najwyraźniej nasz komentator nie doliczył, być może myślami był już w kolejnej partii, w której też na pewno czai się zdrada, a następny Brutus już szykuje swój sztylet na zapracowanego i myślącego o Polsce lidera. Jeśli ta paranoja dołów udzieli się górze, będziemy mieli jeszcze lepszy cyrk, a chyba wiele już nie brakuje. **GP**

FELIETON

{ LUBIĘ DINOZAURY }

UŚMIECHNIĘTE KADRY



Dawid **Wildstein**

Hanna Radziejowska została odwołana z funkcji kierownika berlińskiego oddziału Instytutu Pileckiego. Stanowisko straciła jedna z osób, które niezłomnie walczyły o dobre imię tej instytucji i o ograniczenie patologii w niej obecnych, a związanych z jej obecnym szefem, Ruchniewiczem. Tymczasem wychodzą kolejne fakty pokazujące, w jaki sposób pozbyto się Radziejowskiej. Wpierw Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zaprzeczało nadaniu jej statusu tzw. sygnalistki (czyli osoby informującej o nieprawidłowościach w obrębie danej instytucji i chronionej w związku z tym prawnie, co uniemożliwiałoby jej zwolnienie przez Ruchniewicza). Gdy zaś ujawniono dokumenty pokazujące, że ministerstwo kłamie, MKiDN oświadczył... że nadano jej wspomniany status „omyłkowo". Trudno nawet taką bezczelność komentować. Jak widać, ludzie z MKiDN świadomie wmanewrowali Radziejowską w tę sytuację, oszukując ją, że będzie chroniona, a następnie cynicznie rzucając ją na pożarcie Ruchniewiczowi. Oczywiście z punktu widzenia polskiej racji stanu można uznać okoliczności odwołania Radziejowskiej za drugorzędne względem regularnej zdrady polskich interesów, której dopuszcza się, raz po raz, dyrektor Ruchniewicz. Jednak są one o tyle istotne, że pokazują idealnie „jakość" zaciągu uśmiechniętej Polski i jej metody. Spójrzmy bowiem w tym kontekście na nową szefową berlińskiego oddziału Pileckiego, Joannę Kiliszek. Wiele już pisano o jej kuriozalnych poglądach. Niemniej nawet pomijając ten aspekt sprawy, zauważmy, że po ujawnionej prowokacji MKiDN żaden uczciwy człowiek, niezależnie od poglądów politycznych, nie chciałby objąć stanowiska po osobie, która została tak podle potraktowana jak Radziejowska. W ten sposób bowiem legitymizuje to draństwo. Kiliszek to nie przeszkadza. Takiej postawy nie można, nawet przy najlepszej woli, tłumaczyć głupotą czy różnicami ideologicznymi. Jest to łamanie najbardziej oczywistych standardów moralnych. **GP**

Z punktu widzenia polskiej racji stanu można uznać okoliczności odwołania Radziejowskiej za drugorzędne względem regularnej zdrady polskich interesów, której dopuszcza się Ruchniewicz.

REKLAMA

FUNDACJA KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ

PODSTAWOWYM CELEM FUNDACJI JEST WSPIERANIE I PROMOWANIE KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ

BUDUJEMY SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE

DANE DO PRZELEWU W POLSCE
74 2490 0005 0000 4500 8274 0046

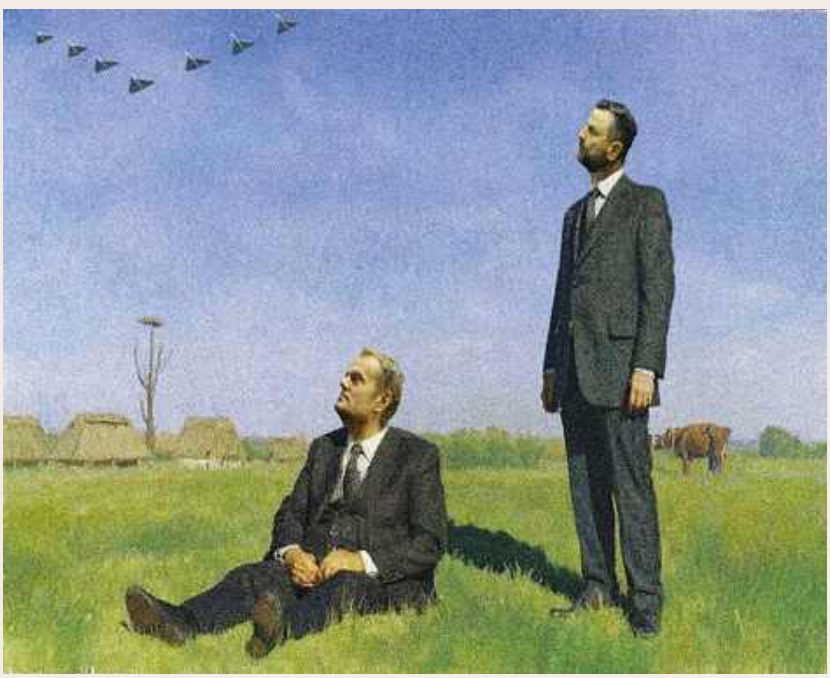
DANE DO PRZELEWU Z ZAGRANICY
PL 41 2490 0005 0000 4600 2469 2784
SWIFT CODE – ALBPPLPW

TYTUŁEM – DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ
FUNDACJA KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ ul. Bracka 15 I piętro 31-005 Kraków

DZIĘKUJEMY
WWW.KLUBYGAZETYPOLSKIEJ.PL

PAŃSTWO Z DYKTY

„Nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało!". Gdyby mógł, to taką właśnie przyśpiewkę zaintonowałby minister obrony narodowej Kosiniak-Kamysz na wieść, że 100 kilometrów od Warszawy, w polu kukurydzy, wybuchł rosyjski dron bojowy Shahed. To samo pewnie zaintonowałby i premier Tusk, ale nie mógł, gdyż... akurat przebywał na urlopie i ani myślał z niego wracać. Gdyby obecnie rządzący zastosowali te same standardy, o których tak krzyczeli, kiedy za rządów PiS pod Bydgoszczą spadła rakieta, to już powinniśmy mieć na biurku prezydenta dymisję Tuska i całego rządu. No, ale jak wiadomo, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.







ZŁOTE myśli

#Shahed



Max Hübner
@HubnerrMax
Nie ma dnia bez kompromitacji tych oferm. Oni serio idą w narrację, że nic takiego się nie stało, gdy w środku Polski eksplodował dron ze Wschodu. Kosiniak porównał sytuację z JEDNYM dronem do izraelskiej Kopuły, która strąca SETKI rakiet w godzinę i czasem jakąś przepuści.



Dorota Kania
@DorotaKania2
Tchórzliwe mierności? Milczenie? Panie premierze, odwagi, proszę coś napisać! W powiecie łukowskim eksplodował rosyjski dron. Proszę nie trząść portkami!



Rocky Balboa
@Bernard85065859
To jest niesamowite, że szef MON dezinformował i okłamywał społeczeństwo na konferencji prasowej. Twierdził, że służby wojskowe nie odnotowały żadnego obiektu powietrznego, a dron był prawdopodobnie dronem przemytników. Jak się okazało, dron był uzbrojony w materiały wybuchowe.



Rambo 2
@johnsmiths74
Na teren Rumunii rok temu wleciał ruski dron na 70 km, do Polski wleciał na 100 km. Zobaczcie, jak zareagowali Rumuni i porównajcie z tym, jak zareagowali Polacy. Rząd Tuska powinien jak najszybciej podać się do dymisji, ze 100 powodów. To jest powód 101.

TEN, KTÓREGO NIKT NIE OGRA

Oto byliśmy świadkami kolejnego odcinka tragifarsy o Donaldzie „Nikt mnie nie ogra” Tusku. To, że z wiadomych względów Tusk nie ma czego szukać w relacjach z Trumpem, było jasne od dawna. Ale to, że nawet europejscy przywódcy, „przyjaciele” naszego premiera z Brukseli, Strasburga, Paryża czy Berlina, nie byli w stanie wziąć go pod skrzydła i zabrać na wycieczkę do Waszyngtonu? No, to już zakrawa na swego rodzaju izolację. Złośliwi mówią, że żeby kogoś ograć, to trzeba w ogóle usiąść z nim do gry, tymczasem nasz Donald nawet nie czekał w poczekalni. Byłoby to nawet śmieszne, tylko Polski szkoda…



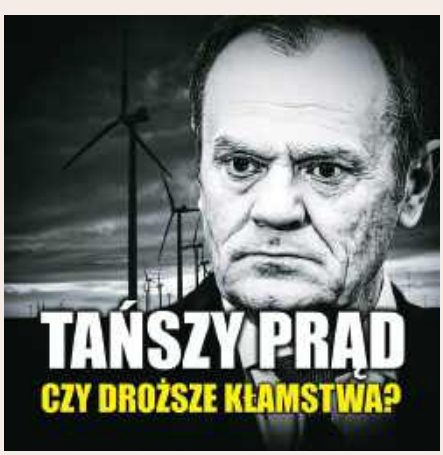


WIATRAKOWY SZANTAŻ

Mimo oczywistej próby szantażu, prezydent Karol Nawrocki zawetował tzw. ustawę wiatrakową, która miała pozwolić, by wielkie turbiny wiatrowe mogły być stawiane w odległości nawet 500 metrów od zabudowań. Dlaczego szantaż? Ponieważ małym druczkiem do ustawy wiatrakowej dopisano na kolanie paragrafy o tzw. zamrożeniu cen prądu. W ten sposób chciano spowodować, by pod presją społeczną „taniego prądu” podpis prezydenta zyskały zapisy, na których tak zależało różnej maści lobbystom. Ci już zacierali ręce, że będą mogli wcisnąć nam wiatraki, które na Zachodzie jakoś nie znajdują kupców. Przypadek?









Dawid
Wildstein

DUŻY I MAŁY SZATAN

Awantura medialna, związaną z nieobecnością Tuska i Nawrockiego podczas ostatnich rozmów w Waszyngtonie, pokazuje, w jaki sposób uśmiechnięta Polska będzie atakować prezydenta, usiłując zneutralizować jego oczywisty atut, jakim są dobre kontakty z obecną administracją w USA. PO i jej media będą do tego używać wyjątkowo infantylnej propagandy, w której Trump będzie ponownie przedstawiany jako największe możliwe zło, klon Hitlera, odpowiedzialny za całość krzywd, jakie spadają na nasz świat, zaś Nawrocki i jego ludzie okażą się współodpowiedzialni za jego podłość. Niczym w islamistycznej i terrorystycznej retoryce, prezydent USA okaże się dużym, a prezydent Polski małym szatanem.

PUBLICYSTYKA

Jest oczywiste, że w Waszyngtonie podczas rozmów Trumpa, Zełenskiego i przywódców europejskich obecny powinien być Donald Tusk, a nie urzędujący od zaledwie kilkunastu dni prezydent. Wynikało to z formatu samego spotkania, tego, kiedy było organizowane i w jakim gronie. Nieobecność polskiego premiera po raz kolejny pokazała, jak słabą ma on pozycję międzynarodową. Tymczasem koalicja 13 grudnia zrzuciła odpowiedzialność za tę porażkę na... Nawrockiego. Warto się więc przyjrzeć propagandowej operacji, za pomocą której udało się jej to osiągnąć, pokazuje ona bowiem sposób, w jaki Tusk i jego media będą starały się walczyć z prezydentem.

Odwracanie kota ogonem

Spotkanie z udziałem Trumpa, Zełenskiego i przywódców europejskich odbyło się we wtorek, 18 sierpnia, w Waszyngtonie. Jeszcze tego samego dnia rano Bartoszewski, wiceszef MSZ, stwierdził w Polsacie, że Polska to niewiele znaczący kraj, nic więc dziwnego, że nie jesteśmy obecni w USA. Dodał też, że to Zełenski ustalał listę gości oraz że powinniśmy się cieszyć, iż nasi partnerzy z Unii godnie nas reprezentują. Co istotne, do 18 sierpnia żaden polityk z opcji rządzącej nie zgłaszał pretensji, że nie ma nas podczas rozmów w Waszyngtonie, zaś samo wydarzenie opisywane było przez nich jako wielki sukces także naszego kraju. Zupełna zmiana narracji nastąpiła dopiero w dniu spotkania. Nietrudno się domyślić, co było przyczyną – powszechne oburzenie faktem, że jesteśmy nieobecni przy rozmowach o tak kluczowym znaczeniu dla naszego bezpieczeństwa. Władza natychmiast odwróciła kota ogonem, zmieniając własną propagandę o 180 stopni. Nagle okazało się, że brak obecności Tuska na tym spotkaniu to wina... Nawrockiego. Bezpośrednio stwierdził to minister Kowal, oskarżając prezydenta o zakulisowe działania, które wykluczyły Tuska z tego spotkania. Nie było to jednak finalne stadium propagandy PO. Po kilku godzinach medialni funkcjonariusze Onetu i „Newsweeka" puścili w obieg przekaz, że to Nawrocki powinien być na tym spotkaniu, że jego nieobecność to wyraz jego słabości. Spin ten podchwytuje reszta mediów Tuska oraz Silni Razem Giertycha. Przy okazji następuje masowa produkcja ordynarnych fejków, na przykład Wieliński z „Wyborczej" sugerował, że był w posiadaniu informacji, iż Nawrocki usiłował się na to spotkanie dostać, zaś ludzie z jego środowiska deklarowali, że będzie on obecny. Za swoimi medialnymi cynglami poszli najważniejsi politycy PO. Po południu uaktywniają się m.in. Szłapka oraz Sikorski, kolportując wspólnie wrzutkę, że to Nawrocki powinien reprezentować Polskę i że mamy do czynienia z kompromitacją prezydenta, jego osobistą porażką.

Co ciekawe, przy okazji Sikorski zaprzeczał sam sobie, mówiąc, że to Trump decydował o składzie tego spotkania, mimo że 24 godziny wcześniej sam minister twierdził, że odpowiedzialny za to jest... Zełenski.

Co się zaś tyczy Szłapki, to jeszcze 17 sierpnia z dumą ogłaszał, że tzw. „koalicja chętnych" i jej wyjazd do USA jest wyrazem siły i wspólnoty Zachodu, sukcesem Donalda Tuska.

Najważniejszy jest dywan

Opisana powyżej sytuacja pokazuje, w jaki sposób będą działać środowiska uśmiechniętej Polski, żeby uderzyć w Nawrockiego, jest to więc wskazówka dla Kancelarii Prezydenta, na co powinna się przygotować. Będziemy mieć więc do czynienia ze zrzucaniem swoich błędów na przeciwników politycznych. Ze skrajnie konfrontacyjną postawą. Z niebywałym populizmem propagandy, jej chaotycznością, zmianami o 180 stopni, nawet w najbardziej kluczowych dla Polski sprawach. Wszystko bowiem będzie uzależnione od dynamiki wewnętrznej walki partyjnej i tego, na ile daną sytuację będzie mógł wykorzystać rząd do uderzenia w opozycję. Jak pokazuje przykład rozmów w Waszyngtonie, każdy taki atak będzie wspierany tworzoną przez media sprzedane władzy kampanią dezinformacji. Niestety możemy być pewni, że władza na tym nie poprzestanie. Tusk nie ma przecież możliwości stworzenia



RYS. RAFAŁ ZAWISTOWSKI

żadnej własnej, skutecznej kontrnarracji, która mogłaby pokazać, że jest na poziomie międzynarodowym politykiem o tych samych kontaktach i pozycji co Nawrocki. Jego „aktywa europejskie" się wyczerpały, gdy przychodzi co do czego, jego „przyjaciele", przywódcy europejscy, pomijają go, lub wręcz, jak przy okazji wyjazdu do Kijowa, kompromitują. Dlatego Platforma wejdzie (właściwie już wchodzi) w niesłychanie niebezpieczną, patrząc z punktu widzenia polskiej racji stanu, grę. Zrobi co może, żeby przedstawić to, co jest oczywistym atutem tak Nawrockiego, jak i PiS-u, czyli osobiste kontakty z obecną administracją w Waszyngtonie (i związane z nimi możliwości współdziałania z USA), jako coś negatywnego. Tusk będzie starał się osiągnąć ten cel za pomocą propagandy, mającej zohydzić polskiemu społeczeństwu Stany Zjednoczone i ich prezydenta. Mieliśmy zresztą już tego przedsmak, wystarczy spojrzeć na to, co politycy i media z obozu władzy wypisywali w reakcji na spotkanie Trump–Putin. Środowiska polityczno-medialne koalicji 13 grudnia starały się przedstawić je jako wręcz hołd lenny, który złożył Trump Putinowi. Politycy i dziennikarze PO prześcigali się w pełnych emfazy odezwach o tym, z jaką „hańbą" i „podłością" mieliśmy do czynienia. Zamiast realnej analizy tego spotkania, próby refleksji nad jego konsekwencjami, dostaliśmy wyjątkowo histeryczną, a jednocześnie infantylną narrację. Zostało ono sprowadzone do czerwonego dywanu, po którym chodził Putin – i to właśnie ten dywan miał być ostatecznym dowodem na zło prezydenta USA.

Retoryka uśmiechniętej koalicji zakłada skłócenie nas z USA, zaszczepienie w Polakach emocji antyamerykańskich. A to jest po prostu realizacja celów Kremla.

Wielki i mały szatan

„Autorem planu pozbawienia Polski miejsca przy najważniejszym stole negocjacyjnym jest Sławomir Cenckiewicz – prawa ręka A. Macierewicza" – taką odkrywczą myślą podzielił się na platformie X Roman Giertych. Normalnym ludziom tego typu „rewelacje" mogą się wydawać czystym szaleństwem. Jednak mądrości prawej ręki Tuska pokazują nam, w którym kierunku będzie szła narracja Platformy, mająca uderzyć w Nawrockiego i propaństwową, prodemokratyczną opozycję, oraz kto będzie za nią odpowiedzialny. Zostanie stworzona zupełnie paranoiczna, szalona wizja świata, w którym mroczne, „faszystowskie" siły knują przeciw dobrym i światłym liberałom. Słabość Tuska i jego kolejne porażki międzynarodowe będą, dokładnie jak w przytoczonym cytacie, opisywane jako efekt spisku, w którym udział bierze przywódca USA oraz Prezydent Polski. Niczym w islamistycznej i terrorystycznej retoryce, Trump okaże się dużym, a Nawrocki małym szatanem. Jednak cel będą mieli wspólny – atakować Tuska, wspólnie ingerować w naszą politykę, omijać premiera, żeby realizować swoje niecne cele. Bliskie relacje z naszym najważniejszym sojusznikiem zostaną więc przedstawione jako coś z gruntu negatywnego, zaś samo USA jako de facto wróg, od którego należy się trzymać jak najdalej (zresztą Giertych już wprost pisze o „niedopuszczalnej ingerencji USA w wewnętrzne sprawy Polski"). Abstrahując od głupoty tej retoryki, jest ona w sposób oczywisty skrajnie niebezpieczna, ponieważ skłócenie nas z USA, zaszczepienie w Polakach emocji antyamerykańskich są po prostu realizacją celów Kremla.

Nie przypadkiem więc w Polsce twarzą tej narracji będzie Giertych, najbardziej prorosyjski z polityków, patrząc na całość jego biografii w historii III RP. **GP**



Wojciech
Mucha

NA GŁĘBOKĄ WODĘ.
TRUMP, TUSK I WYZWANIA, JAKICH NIE WIDZIAŁA HISTORIA



To, o czym prezydent Karol Nawrocki będzie już za tydzień rozmawiał w Białym Domu z prezydentem USA, wydaje się dla Polski ważniejsze nie tylko od nieobecności polskiego przedstawiciela w gronie europejskich polityków, którzy wraz z Wołodymyrem Zełenskim wizytowali u Trumpa po jego rozmowach z Putinem. Może to być otwarcie nowego rozdziału w relacjach Polski z USA. Wszystko pomimo braku konkretów dotyczących zakończenia wojny i w obliczy zaogniającej się koabitacji pomiędzy prezydentem a ekipą Donalda Tuska.

PUBLICYSTYKA

Ubiegłotygodniowe spotkanie na szczycie, jak określa się (poniekąd słusznie) wizytę w Waszyngtonie prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego i towarzyszącej mu świty europejskich polityków z tzw. koalicji chętnych, stało się przyczynkiem do pierwszej odsłony „awantury o krzesło", czyli przewidywanego przez wszystkich obserwatorów życia publicznego sporu kompetencyjnego pomiędzy prezydentem Karolem Nawrockim a premierem Donaldem Tuskiem. Co jednak wynika z owej „polskiej nieobecności" na spotkaniu z Donaldem Trumpem? I czy „polska obecność" była tam w ogóle pożądana?

Rozmowy i bomby

Ogólne wrażenie po rozmowach w Waszyngtonie jest w Europie uznawane za „ostrożny optymizm". Nie ma wyraźnych sygnałów, jakoby Zełenski, a z nim Ukraina, byli zmuszeni do natychmiastowych ustępstw. Oczywiście to tylko wrażenie, bo nad procesem pokojowym (czy wcześniej zawieszeniem broni), niczym miecz Damoklesa, wisi rosyjskie żądanie oddania oprócz okupowanych terytoriów, także całości obwodów ługańskiego i donieckiego, co oznaczałoby zdobycie przez Rosję niepokonanych dotąd umocnień. Co więcej, nie widać na razie, by ktokolwiek z USA, a także z samej „koalicji chętnych" – od Niemiec, przez Francję, Włochy, Wielką Brytanię czy Finlandię – kwapił się do podnoszenia kwestii opuszczenia tych ziem przez rosyjskiego okupanta. Już to pokazuje, że deklaracje pomocy Ukrainie sięgają co najwyżej daleko posuniętej dyplomacji i są nacechowane chęcią uniknięcia konfrontacji z Moskwą, co w dalszej perspektywie może przynieść opłakane skutki.

Co więcej, nie jest tajemnicą, że „koalicja chętnych" to kraje europejskie, które wyraziły gotowość do wysłania swoich żołnierzy w ramach przyszłej misji stabilizacyjnej na Ukrainę, a sama Ukraina domaga się z kolei obecności wojsk USA (warto dodać, że Moskwa nie dopuszcza takiej możliwości). Stanowisko Polski jest tymczasem dobrze znane.

Już po spotkaniu w Waszyngtonie doszło do telekonferencji. Wziął w niej udział m.in. premier Donald Tusk, który oceniając ją, napisał: „Przywódcy Kanady, Japonii, Turcji, Nowej Zelandii i państw europejskich ocenili bardzo realistycznie efekty spotkania [Trumpa z Putinem – red.] na Alasce. Wszyscy potwierdziliśmy potrzebę dalszego wsparcia Ukrainy w wojnie z Rosją. Dobre wprowadzenie



FOT. X.COM

do rozpoczynającej się właśnie Rady Europejskiej”.

Sprawa zatrzymała się więc w tym momencie i pewne jest, że nie ruszy z miejsca przed spodziewanym spotkaniem Trump –Putin–Zełenski. Jednocześnie Rosja nie ustaje w zbrodniczych atakach na Ukrainę, jak gdyby nie uznawała tych zdarzeń (w tym wizyty Putina na Alasce) za element procesu pokojowego. Już choćby ten fakt pokazuje, że presja na Rosję jest niewystarczająca, wydaje się jednak, że większej nie należy się spodziewać. Tuż przed oddaniem do druku niniejszego tekstu okazało się, że Rosjanie zbombardowali należącą do USA fabrykę elektroniki w Mukaczewie na Zakarpaciu. Co istotne, cel trudno uznać za przypadkowy. Rzecz jest istotna także dlatego, że Trump zwykł przekonywać Zełenskiego i świat, że „obecność amerykańskiego przemysłu na Ukrainie będzie po wojnie gwarancją bezpieczeństwa”. Trump nie odniósł się do sprawy bezpośrednio, jednak napisał na platformie Truth Social, że to wina Joego Bidena, bo to on nie pozwolił Ukrainie na prowadzenie działań ofensywnych. „Nieuczciwy i rażąco niekompetentny Joe Biden nie pozwolił Ukrainie na to, by ODDAWAŁA CIOSY, lecz tylko by się BRONIŁA. Jak to wyszło?” – napisał i dodał: „Przed nami ciekawe czasy!!!”. Co miał na myśli – nie wiadomo.

Świat, Europa i pierwsze weto

Wiadomo za to, że w tym układzie należy osadzić rolę Polski oraz jej stanowisko, i uznać, że obecność w Waszyngtonie wraz z „chętnymi” nie była wskazana, a na pewno nie była konieczna. Oczywiście na uwagę zasługuje fakt, że Tusk ze zrozumiałych względów (wcześniejsze wypowiedzi i gesty wobec Trumpa) nie chciał się tam pojawić, a otoczenie Nawrockiego sugerowało, że taka jest właśnie rola premiera, co wywołało falę komentarzy. Część obserwatorów uważa jednak, że sprawa została wykorzystana na użytek wewnętrznego teatru politycznego, a nad wszystkim panowała niepisana zgoda, by nie pozwolić postawić Polski przed faktem dokonanym lub zmusić do rodzaju „milczącej zgody” na cokolwiek. Jeśli tak miałoby być, to dobrze. To jednak oczywiście spekulacje.

Fakty są więc takie, że w najbliższych tygodniach raczej nie należy spodziewać się przełomu w wojnie na Ukrainie, a jednocześnie już na początku września z wizytą do Waszyngtonu udaje się właśnie prezydent Karol Nawrocki, który, jak przekonują jego współpracownicy, „będzie rozmawiał z prezydentem Trumpem o kwestiach bezpieczeństwa, bezpieczeństwa wewnętrznego, militarnego Polski i bezpieczeństwa energetycznego”. Choć te słowa (szefa Kancelarii Prezydenta, Zbigniewa Boguckiego) są ogólnikami, to lepiej, że spotkanie odbędzie się w formule 1:1. Tym bardziej że nic Polski do pośpiechu nie przymusza. Sam Nawrocki rozmawiał już z Trumpem przed jego spotkaniem z liderami, a z klimatu, jaki panuje między tymi dwoma przywódcami, można wnioskować, że ta błyskawiczna wizyta w Waszyngtonie może przynieść konkrety.

Niezależnie od tej geopolitycznej historii, w ostatnim tygodniu doszło do pierwszego starcia obozu prezydenckiego z rządowym na polu wewnętrznym. Mowa oczywiście o zawetowaniu przez Nawrockiego tzw. ustawy wiatrakowej, która pod pozorem zamrożenia cen energii luzowała rygory stawiania tego typu instalacji w pobliżu skupisk ludzkich. O tym, że wejściem w życie tego projektu są zainteresowani lobbyści, również spoza Polski, powiedział sam prezydent, który zgodnie z przewidywaniami nie dość, że ustawę zawetował, to jednocześnie „wyjął” z niej komponent pozwalający na mrożenie cen energii i „bez zmiany przecinka” złożył go w Sejmie jako swój projekt. Fakt ten oczywiście wywołał furię koalicji 13 grudnia z Tuskiem na

czele, którzy jęli udowadniać, że prezydent „chce wyższych cen energii dla Polaków". Narracja ta jest jednak szyta tak grubymi nićmi, że nie wydaje się, by kogoś przekonała. Można jednak mieć pewność, że podobnych „wrzutek" będzie więcej.

Starcie jest nieuchronne

Była to pierwsza z min i zasieków szykowanych na prezydenta. Nie jest tajemnicą, że przewidywany na najbliższe dwa lata okres koabitacji może okazać się dla polskiej polityki szczególnie trudny, a jeśli wraz z pogłębianiem się kryzysu w rządzie nie dojdzie jednocześnie do przedterminowych wyborów parlamentarnych (poparcie dla rządu jest na rekordowo niskim poziomie – w najnowszym sondażu Ogólnopolskiej Grupy Badawczej negatywnie ocenia go aż 55,6 proc. Polaków) można spodziewać się, że będzie to czas szczególnie trudny. Nawrocki nie ukrywa, że jego zamiarem jest „rozliczyć rząd Tuska", z kolei Tusk sam o sobie mówi jako o „zaprawionym w bojach" z prezydentami. Nie trzeba cofać się do haniebnych lat jego kohabitacji ze śp. Lechem Kaczyńskim. Wystarczy wspomnieć, że w ostatnich kilkunastu miesiącach także prezydent Andrzej Duda mógł się o tym przekonać. Tak było choćby w momentach krytycznych, jak najście służb Tuska na Pałac Prezydencki i wyprowadzenie stamtąd posłów Kamińskiego i Wąsika, ale także na poziomie komunikacji strategicznej, czy w relacjach dotyczących polityki zagranicznej, gdzie działania koalicji wobec prezydenta można uznać za co najmniej swoistą „niekonsekwencję". Tusk zwykł na przykład pouczać prezydenta o swoich „wyłącznych kompetencjach", a jednocześnie on i jego ludzie „zachęcali" do większej aktywności choćby w relacjach z Amerykanami. Co istotne, gdy takie działanie Andrzej Duda podejmował (choćby w kwestii zabiegania o uczestnictwo Polski w programie Nuclear Sharing), spotykało się to z pomrukami, że oto prezydent „wychodzi przed szereg". Niestety – dopóki nie zmieni się konstytucji, tego typu tarcia wydają się nieuniknione, szczególnie w warunkach nieprzyjaznej współpracy.

Nawrocki nie ukrywa, że jego zamiarem jest „rozliczyć rząd Tuska", z kolei Tusk sam o sobie mówi jako o „zaprawionym w bojach" z prezydentami.

Ale to nie koniec. Warto wiedzieć, że ze strony rządu Tuska już w tym roku wyszedł projekt nowelizacji ustawy o Radzie Ministrów, która zakłada, że dotąd obligatoryjny udział przedstawicieli prezydenta w posiedzeniach komitetów oraz obradach rządu miałby odbywać się jedynie „na zaproszenie" KPRM. Jak czytamy w analizie na temat współpracy Andrzeja Dudy z Donaldem Tuskiem, zamieszczonej z kwartalniku „Bezpieczeństwo Narodowe", wydawanym przez BBN (autor: Marcin Skowron): „Taka propozycja została przedstawiona bez konsultacji ze stroną prezydencką i bez stosownej argumentacji". Co ważne, negatywną opinię wystawiła jej nawet… Rada Legislacyjna przy premierze. Czy ów projekt będzie przepychany już za kadencji Karola Nawrockiego? Czas pokaże, jednak i ten sygnał jest niedobry.

Trolle i wyzwania cywilizacyjne

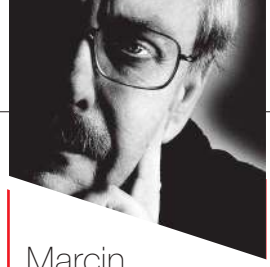
Ten sygnał jest zresztą jednym z wielu. Bo choć w przypadku ostatniego incydentu z obiektem, który spadł w Osinach (podejrzewa się, że był to rosyjski dron), BBN pozostawało w dobrej współpracy z MON (jego szef, Władysław Kosiniak-Kamysz, jest przez otoczenie Nawrockiego chwalony i wskazywany jako gotowy do współpracy), to można zastanawiać się, czy będzie tak zawsze. Wiadomo przecież, że sam Tusk i pozostający w służbach specjalnych reseciarze, jak Jarosław Stróżyk (szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego – przyp. red.), niespecjalnie ukrywają swoją nienawiść do prof. Sławomira Cenckiewicza, szefa prezydenckiego Biura, a także do samego prezydenta. To oni m.in. utrzymują, że prof. Cenckiewicz nie ma ważnych poświadczeń bezpieczeństwa i na tej podstawie chcą wyłączyć całe BBN z architektury polskiego bezpieczeństwa.

Wszystko to wraz z planowaną wizytą prezydenta w USA sprawia, że już początek prezydentury Nawrockiego nie jest wolny od napięć. To zresztą dopiero preludium, bo poza oczywistymi atakami ze strony politycznych przeciwników sytuacja międzynarodowa nie sprzyja „spokojowi". Już widać, jak przebiegać będzie operacja „przemysłu pogardy" wobec Nawrockiego. Tylko w ostatnich dniach był on atakowany za powołanie do grona swoich doradców Magdaleny Hajduk, która została doradcą odpowiedzialnym za kwestie nowych technologii. Wcześniej pełniła funkcję dyrektora Biura Nowych Technologii w Instytucie Pamięci Narodowej (IPN). Trolle internetowi, ale też niemała część sympatyków koalicji 13 grudnia, z miejsca sugerowały romans obojga i jednocześnie atakowały Pierwszą Damę, Martę Nawrocką.

To wszystko smutna norma w piekiełku III RP. Tymczasem, jak zauważa we wspomnianym wyżej kwartalniku BBN prof. Andrzej Zybertowicz: „Żyjemy w epoce zmian następujących tak szybko, że wydaje się, iż starożytna formuła historia magistra vitae est (historia nauczycielką życia) w większej niż kiedykolwiek mierze utraciła swoją zasadność", (…) nie sposób wykluczyć, że to właśnie w zaczynającej się kadencji kolejnego Prezydenta RP Polska będzie musiała się zmierzyć ze zmianami społecznymi w skali bezprecedensowej". Dla historyka, jakim jest przecież Karol Nawrocki, oznacza to poważne wyzwania. O tym jednak – jeśli redaktor Lisiewicz pozwoli – już w kolejnym numerze. **GP**

FELIETON

{ WRZUTKA }



Marcin
Wolski
albicla.com/MarcinWolski

WINOWAJCY

Oglądałem niedawno film, rzecz jasna amerykański, w którym zażycie odpowiedniej pigułki czyni z człowieka niemal Boga. U nas wyjątkowa kasta nie potrzebuje nawet pigułek, by za takich się uważać. Świadczą o tym na przykład wypowiedzi ministra Żurka. Co prawda wiele wskazuje, że nie wziął on pigułki geniuszu, lecz jedynie pigułkę gwałtu. O bardzo opóźnionym działaniu. Efekt – kolejne sądy odmawiają realizacji jego zaleceń. Również z napędem Tuska jest coraz gorzej. Chory człowiek. Na co? O tym powinno, moim zdaniem, zadecydować konsylium lekarskie złożone z Freuda, Parkinsona i Alzheimera. A profesor Pawłow? Według mnie chyba nie jest potrzebny. Każdy widzi, jak pacjent się ślini, słysząc dzwonek z Berlina. Trump nie ma ochoty gadać z Małym Donkiem, najbliżsi przyjaciele z Unii wsadzają go do wagonu towarowego. Wygląda na to, że hodowana przez lata nienawiść zabiła w Donaldiniu również instynkt samozachowawczy. Powinien wziąć sobie do serca to, co mówi jego dawny akolita, redaktor Jacek Żakowski, że dzień po utracie władzy on, Bodnar i kilkudziesięciu najwierniejszych towarzyszy bezapelacyjnie powędrują do więzienia. Pozostaje powtarzanie, że wszystkiemu winien PiS. Teoretycznie mogłoby się udać, gdyby atak był celny. Tymczasem z jakiegoś powodu drużyna Tuska atakuje tam, gdzie PiS jest wyjątkowo silny i odnosił spektakularne sukcesy, takie jak walka z korupcją, godnościowa polityka edukacyjna, śmiałe inicjatywy międzynarodowe, bezwzględny sprzeciw wobec poczynań Rosji. Przekręt z funduszami KPO? Wiadomo, że PiS złośliwe nie przyjmował forsy z Brukseli tylko po to, żeby sprowokować złodziei. Wojna na Ukrainie? To efekt spisku Macierewicza z Putinem! Kryzys migracyjny? Jak miałoby go nie być? PiS nadrukował miliard wiz... I te dyrdymały niektórzy jeszcze łykają, a pożal się Boże celebryci w rodzaju Szczepkowskiej powtarzają. Czy ockną się kiedykolwiek? Jedno jest pewne: Silni Razem są coraz bardziej słabi na rozumie. GP

Jedno jest pewne: Silni Razem są coraz bardziej słabi na rozumie.

FELIETON

{ MYŚLI NIENOWE }



Tomasz
Łysiak
albicla.com/TomaszLysiak

WSTYD NA MONTE CASSINO

Wysłannicy Ministerstwa Obrony Narodowej w końcu złożyli kwiaty na cmentarzu polskim pod Monte Cassino. Najpierw jednak musiała wybuchnąć „miniafera kwiatowa". Jedyny znak pamięci, jaki się pojawił 15 sierpnia na tym najważniejszym polskim cmentarzu we Włoszech, to była nasza wiązanka, którą złożyliśmy prywatnie i jako dziennikarze Strefy Wolnego Słowa, przed grobami bohaterów poległych w 1944 roku. Wieniec „państwowy" ze wstęgą (bez żadnych napisów) pojawił się dopiero 17 sierpnia jako reakcja na burzę medialną, którą wywołała informacja o braku jakiegokolwiek znaku pamięci ze strony polskich władz państwowych w święto Polskiego Wojska. To wszystko każe stawiać pytania fundamentalne: kto reprezentuje obecnie (używając tytułu ambasadora) nie tylko państwo polskie, ale nas wszystkich, naszą polską wspólnotę? Czy naprawdę nie razi nikogo w sferach rządowych fakt, że po tym, jak funkcję ambasadora polskiego we Włoszech sprawowała córka generała Władysława Andersa, do placówki skierowano syna innego wojskowego, ale „zasłużonego" na innym „polu chwały" – zwalczającego podziemie antykomunistyczne, mordującego patriotów, żołnierzy AK i kochających Polskę ludzi pokroju żołnierzy Andersa. Przecież ta opozycja w rodowodach aż bije po oczach. Nie jest wam wstyd? Naprawdę nie było kogoś innego? Całe szczęście, że jest jeszcze w Polsce Instytut Pamięci Narodowej, bo na przykład Instytut Pileckiego jest już do dna unicestwiany. Całe też szczęście, że prezydentem RP został Karol Nawrocki, który jak nikt rozumie sens i wagę pamięci i historii. Znakomicie, że jego doradcami zostali prof. Andrzej Nowak i były szef Urzędu ds. Kombatantów Jan Józef Kasprzyk – to daje gwarancję dobrego losu Rzeczypospolitej, jeśli chodzi o strefę pamięci. Jednak szkody wizerunkowe, jakie będę efektem takich „wyczynów" obecnej władzy, jak usunięcie córki gen. Andersa z Rzymu, a wstawienie tam na kierownicze stanowisko syna człowieka, którego oddział w czasie obławy augustowskiej mordował Polaków, będą olbrzymie. Niestety. GP



Krzysztof
Wołodźko

KRYZYS RODZI KRYZYS. CORAZ GORZEJ W POLSCE TUSKA



Analitycy ostrzegają, że w pierwszym półroczu bieżącego roku zapowiedziano zdecydowanie więcej zwolnień grupowych niż w całym 2024 roku. Wzrost kłopotów ze znalezieniem pracy uderzy także w młodych, którzy dopiero szukają swoich szans. Rządzący politycy, którzy jeszcze niedawno obiecywali młodym „normalną" i „dostatnią" Polskę, teraz udają, że problemu nie ma. Taka strategia mocno się na nich zemści.

PUBLICYSTYKA

Od ponad półtora roku dane dotyczące rynku pracy budzą rosnące zaniepokojenie. Osłabienie społeczno-gospodarcze jest faktem, a jego najbardziej wyrazistym wskaźnikiem, z punktu widzenia zwykłych ludzi, nie jest Produkt Krajowy Brutto, ale wzrost bezrobocia. Mamy do czynienia z silnym trendem, o którym właściwie nie dyskutują mainstreamowe środki przekazu. Trudno się temu dziwić: lumpenliberalna mentalność idzie w ich przypadku z silnymi zależnościami od rządzącego układu. Poczucie, że mniej zamożny elektorat prawicy zasługuje na zły los, pokazało się najmocniej w pierwszych latach po wprowadzeniu programu Rodzina 500 Plus (obecnie 800 Plus). Dlatego rosnące bezrobocie nigdy nie było zjawiskiem, które niepokoiło wielkomiejskie „elity". Przeciwnie, doskonale wpasowywało się w ich wyzyskową, kompradorską mentalność. Liberalno-postkomunistyczne środowiska logikę swojej władzy od zawsze opierały na wewnętrznej kolonizacji: „polski żywioł" był ekonomicznie eksploatowany, karcony ideologicznie i systemowo utrzymywany w kompleksach wobec innych państw i narodów.

Polacy na bruk

Wróćmy jeszcze do konkretnych danych. Te dotyczące zatrudnienia niepokoją. Okazuje się, że w pierwszej połowie tego roku przedsiębiorstwa zgłosiły zamiar zwolnień grupowych obejmujących 80 tysięcy pracowników. To duża liczba, ale istotne jest też coś innego. Z analiz porównawczych wynika, że to ponaddwukrotnie więcej niż w 2024 roku. I jeszcze jedno. To zdecydowanie więcej niż w czasach pandemii, czyli w 2020 roku. Tegoroczne zwolnienia grupowe wyniosły ponad 17 tysięcy osób. Podkreślmy, że to tyle, ile ludzi zwolniono łącznie w latach 2021–2023!

Do masowych zwolnień dochodzi w Polsce, która boryka się ze straszliwym deficytem budżetowym, kompletną nieudolnością rządu Donalda Tuska w sprawach społeczno-gospodarczych, inwestycyjnych i rozwojowych. Nie da się wykluczyć, że afera ze środkami z KPO dla branży hotelarsko-gastronomicznej (HoReCa) zadziałała jak katalizator. Ludzie na potęgę tracą pracę, młodzi mają coraz bardziej pod górkę, wchodząc w dorosłość, a raptem okazuje się, że polityczno-biznesowe „elity" po prostu „przepalają szmal". I że było na to przyzwolenie z samej góry, bo nikt przytomny na umyśle nie ma wątpliwości, iż koalicja 13 grudnia liczyła na to, że ugruntuje przychylność dla swoich poczynań najpazerniejszej części biznesu. Liberalne media, ogłupione własnymi kłamstwami o Donaldzie Tusku, który ma świetny słuch społeczny, znów przeoczyły, że żyją we własnej bańce. To wielka tęczowa bańka, ale tylko bańka. I dzięki środkom przekazu, takim jak TV Republika, o wiele łatwiej ją dziś przebić. W oczach młodych najszybciej pękł obraz Tuska, świetnie radzącego sobie z rządzeniem – dla nich środki przekazu dziennikarskich dinozaurów, „autorytetów z czerwonych domów" od czasów ustrojowego przepoczwarzenia, nie są już żadnym punktem odniesienia. Szczególnie gdy życiowy rachunek kompletnie nie zgrywa im się z prorządową propagandą.

Młodzi bez oszczędności

Coraz trudniejszy rynek pracy to nie jest jedyny kłopot młodych. Smutne dane przekazuje najnowszy raport BigInfo Mo-



FOT. ADOBE STOCK

> *Młodzi ludzie znaleźli się dziś w pułapce gospodarczego, pełzającego kryzysu, za który jest zdecydowanie współodpowiedzialna obecna władza.*

nitor. Pisałem o tym krótko dla „Codziennej” (numer 4000 – 18.08.2025): aż 32 proc. osób w wieku 18–24 lata nie ma żadnych oszczędności. Skok jest znaczny. Jeszcze rok temu ten mało krzepiący wskaźnik wynosił 22 proc. Co to w praktyce oznacza? Analitycy wskazują, że gdy zniknie źródło dochodu, tylko co czwarty młody Polak utrzyma się przez miesiąc. Stosunkowo niewielkiej grupie (19 proc. badanych) wystarczy pieniędzy na maksymalnie trzy miesiące. Reszta ankietowanych młodych Polaków ma oszczędzonych 1 tys.–5 tys. zł lub mniej. Można oskarżać młodych o szastanie pieniędzmi, ale widać wyraźnie, że w ekonomicznie kiepskim dla polskiego społeczeństwa 2024 roku, gdy mocno zaznaczył się wzrost bezrobocia, ich kłopoty finansowe znacznie wzrosły. Nie ma w tym nic niezwykłego, to ekonomiczny elementarz – zaczęło nie tylko ubywać oszczędności, ale i okazji do ich gromadzenia.

Młodzi znaleźli się w pułapce gospodarczego, pełzającego kryzysu, za który obecna władza zdecydowanie jest współodpowiedzialna. Niszczenie polskich inwestycji, na czele z Centralnym Portem Komunikacyjnym, bierność i ciche przyzwolenie na zamykanie w Polsce firm, zakładów pracy, ważnych dla poszczególnych regionów fabryk, wreszcie jawna zgoda na demontaż Poczty Polskiej i PKP Cargo to wątpliwy społeczno-gospodarczy sukces obecnej władzy. To praktyczny powrót do balcerowiczowskiej szkoły ekonomii politycznej, którego nie da się jednak wytłumaczyć próbami stłumienia gospodarczej katastrofy. Przeciwnie, Koalicja Obywatelska i jej polityczne przystawki, czyli Lewica i była Trzecia Droga, odziedziczyły po PiS nie tylko niezły budżet, ale i społeczny dobrostan oraz wygaszone popandemiczne kłopoty.

Lumpenliberalizm znów szkodzi Polsce

W błyskawicznym tempie, kierując się lumpenliberalną filozofią „rynek sam to wyreguluje”, rząd Tuska sprowadził kłopoty na polską gospodarkę. I na samego siebie. Na marginesie – nie każdy lubi termin „lumpenliberalizm”. Jest on jednak dobrym pokazaniem niesprawnych mechanizmów byle jakiego państwa, którego „rządząca elita” łączy brak kompetencji z biernością i niemocą w sprawach inwestycyjnych, a do tego cierpi z powodu koalicyjnych dysfunkcji. Dodajmy do tego bardzo niepokojący czynnik – apatia może wynikać z podporządkowania się cudzym interesom geoekonomicznym.

W Polsce rządzonej przez Donalda Tuska, czy szerzej – stworzoną przez niego, coraz szpetniej uśmiechniętą koalicję, nie tylko młodym żyje się coraz gorzej. Bardzo dobrze widać, że kryzys rodzi kryzys – kolejne negatywne czynniki społeczne, ekonomiczne i antyrozwojowe nakładają się na siebie, budząc poczucie, że Polsce grozi stagnacja. Młodzi są na to wyczuleni najbardziej, bo jeszcze niedawno słyszeli, że będzie tylko lepiej. A teraz okazuje się, że mają coraz bardziej pod górkę i że ich osobiste szanse na dobrą przyszłość w ojczystym kraju są coraz bardziej wątpliwe. Moglibyśmy się tylko protekcjonalnie i gorzko uśmiechnąć, bo powrót lidera Koalicji Obywatelskiej do władzy musiał się tak skończyć. Ale to przecież żadna pociecha dla tych, którzy Polskę, jej przyszłość, dobro narodu traktują bardzo poważnie. **GP**



Jakub
Maciejewski

O większość konstytucyjną W NASTĘPNYM SEJMIE



Koalicja rządząca jeszcze nie otrząsnęła się z wyników wyborów prezydenckich, ledwie ministrowie podnoszą się z kompromitującej afery trwonienia miliardów z Krajowego Planu Odbudowy, Tusk przytłoczony jest aktywnością prezydenta i oglądaniem sondaży zapowiadających utratę władzy, a tymczasem obóz Jarosława Kaczyńskiego wyznacza sobie kolejny dalekosiężny cel: napisanie nowej Konstytucji RP i legalną zmianę ustroju państwa. Czy to się może udać?

PUBLICYSTYKA

Konstytucję trzeba będzie zmienić, to jest nasze zadanie" – powiedział na początku sierpnia Jarosław Kaczyński na spotkaniu ze swoimi wyborcami w Opolu. Prezes PiS uzależnił to od podstawowego warunku: „Ale czy zmienimy, to oczywiście zależy od tego, jaka będzie sytuacja w nowym parlamencie". W salonach III RP zawrzało, bo lider Zjednoczonej Prawicy zapowiedział tym samym dwa projekty. Po pierwsze: ponowne przejęcie władzy, i to przejęcie ze sporą dozą pewności, a po drugie – dokończenie wielkiego projektu rozpoczętego jeszcze ze śp. profesorem Lechem Kaczyńskim – ustanowienie IV Rzeczypospolitej. 20 lat temu w pierwszych szlifach pomysłu nowej ustawy zasadniczej czytaliśmy o „Narodzie Polskim, składającym Bożej Opatrzności dziękczynienie za dar odzyskanej niepodległości" oraz o „zrzuceniu jarzma obcej przemocy i komunizmu". Tamto marzenie prysnęło wraz ze zwrotem politycznym Platformy Obywatelskiej, która z obozu postsolidarnościowego przeszła na pozycję obrońców zgniłego status quo, ale przecież nadal w art. 235 konstytucji zawarte są szczegółowe zapisy dotyczące zmiany najważniejszego państwowego dokumentu. Do zmiany konstytucji potrzeba „co najmniej 2/3 głosów" w Sejmie oraz „bezwzględnej większości głosów" w senacie. Właściwie jedynym nadzwyczajnym progiem jest tu tylko głosowanie w Sejmie, czyli pozyskanie bezpiecznej większości „konstytucyjnej" 307 posłów. Stronnictwa niepodległościowe najbliżej tego pułapu były w 2015 roku – PiS uzyskało wówczas 235 mandatów zaś Komitet Pawła Kukiza mandatów 42, czyli do konstytucyjnej większości antysystemowcom zabrakło ledwie 30 głosów! Tamten wynik sprzed dekady można przecież poprawić, bo w polskiej ordynacji wyborczej duże komitety zostają wzmocnione po przeliczeniu wszystkich głosów. I tak Zjednoczonej Prawicy, by samodzielnie rządzić (ponad 50 proc. miejsc w sejmie) wystarczyło w 2015 roku ledwie 37 proc. poparcia, odpowiednio rozłożonego na mapie wyborczej kraju.

Trzy siły pracują na większość konstytucyjną

Zanim ktoś uzna, że większość konstytucyjna w Polsce jest nie do zdobycia, warto przypomnieć sobie szereg politycznych mechanizmów i zwrócić uwagę na nowe zjawiska. Po pierwsze, komentatorzy swojego czasu nie dawali nigdy PiS-owi samodzielnej władzy, a partia Jarosława Kaczyńskiego zdobyła ją dwukrotnie. Po drugie, nigdy jeszcze, jak do tej pory, na miażdżącą większość parlamentarną nie pracowały trzy potężne obozy. Pierwszy z nich to sama Zjednoczona Prawica, która nawet w sezonie letnim, urlopowym, jeździ po kraju i spotyka się z wyborcami, przygotowując swoich rozmówców do większych zmian. Drugi to Pałac Prezydencki, bo przecież Karol Nawrocki także ruszył w Polskę, a do mediów wyciekła informacja, że i głowa państwa chce zmian w ustawie zasadniczej. Jak donosił RMF FM, prof. Dariusz Dudek, konstytucjonalista, który był już doradcą prezydenta Andrzeja Dudy, teraz miałby stanąć na czele zespołu opracowującego ustrojowe zmiany. – Być może Karol Nawrocki okaże się ostatnim prezydentem III Rzeczypospolitej i pierwszym prezydentem IV Rzeczpospolitej – mówi „Gazecie Polskiej" Michał Moskal z PiS.

Ale jest i trzeci sojusznik przyszłej większości parlamentarnej polskiej prawicy – to koalicja 13 grudnia. Trzymając



FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

się desperacko rządowych stołków i chcąc dokończyć kadencję w zwyczajnym terminie, narażają się na coraz większe kryzysy wizerunkowe, kłótnie wewnątrz koalicji i dramatyczne spadki poparcia – w ten chaos będzie wchodzić najlepiej zorganizowana partia opozycyjna z tym politykiem na czele, który wykreował już trzech prezydentów Polski (chyba że liczyć Wałęsę w 1990 roku – wtedy czterech).

Z kim pisać konstytucję?

Najważniejsze pytanie dotyczy koalicjanta. Politycy Zjednoczonej Prawicy bardzo różnie postrzegają możliwość głębszej współpracy z innymi ugrupowaniami. Oczy wielu konserwatywnych wyborców zwracają się na Konfederację. – Zmiana konstytucji to zadanie arcytrudne, ale nie niemożliwe. Nikomu się to w III RP jeszcze nie udało – mówi „Gazecie Polskiej" Janusz Kowalski z PiS. – Jednak do obozu IV RP mogą zapisać się wszyscy ci, którzy myślą o suwerennym i nowoczesnym państwie polskim, a więc na pewno Prawo i Sprawiedliwość, ale też Konfederacja. Uważam, że tak naprawdę tylko te dwa ugrupowania mają pewność wejścia do następnego sejmu w 2027 roku, bo nie wiemy, co powstanie na gruzach przynajmniej częściowo upadającej Koalicji Obywatelskiej i jej koalicjantów. Część zawsze będzie wrogiem budowy IV RP, ale może nie wszyscy? – zastanawia się Janusz Kowalski. Poseł wskazuje też, że do konsolidacji sił patriotycznych dojdzie także dlatego, że wymuszą to trudne czasy federalizacji Unii Europejskiej, co skonsoliduje polskich patriotów. Janusz Kowalski wierzy, że przy odpowiedniej pracy i koniunkturze w sejmie mogłoby wystarczyć chętnych do zmiany konstytucji.

Michał Moskal na postawę Konfederacji patrzy z większą ostrożnością. – Widzimy w tym ugrupowaniu dziwne tendencje, jedną, która stara się z tą lewicowo-liberalną stroną jakoś układać – komentuje. Polityk ma na myśli wypowiedzi Sławomira Mentzena (u Roberta Mazurka) czy Witolda Tumanowicza (w Polsat News), gdzie koalicji z Platformą Obywatelską nie wykluczono, a wręcz rozważano i taki scenariusz. W dodatku jeden z najpopularniejszych sloganów Konfederacji stawia obie największe partie, walczące już czasem dosłownie na śmierć i życie, jako dwie strony tego samego medalu. „PiS-Pe-o, jed-no-zło" – wykrzykują często działacze od Mentzena czy Bosaka.

O potencjalnych sojusznikach w zmianie Konstytucji RP opowiada też „Gazecie Polskiej" inny polityk PiS, prof. Przemysław Czarnek. – Widzę zwolenników zmiany konstytucji w Konfederacji, bo oni sami zapowiadają reset konstytucyjny, zwłaszcza w zakresie przywrócenia normalnego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości – tłumaczy były minister edukacji. Dodaje jednak nowy wątek. – Wydaje się, że zwolenników takiej zmiany znalazłbym także w Polsce 2050 czy Polskim Stronnictwie Ludowym – wskazuje. – Gdy spojrzymy na nasz absurdalny system rządów, to widać, że tylko w Polsce tak on wygląda, że władzę wykonawczą określa się „zracjonalizowanym parlamentaryzmem z elementami prezydencjonalizmu", co zresztą ze zracjonalizowaniem nie ma nic wspólnego – komentuje poseł. I przypomina, że konstytucję z 1997 roku tworzono w obawie przed Lechem Wałęsą, a później pod personalne układy Aleksandra Kwaśniewskiego. Czarnek wierzy w zdroworozsądkowe podejście niektórych posłów, którzy dziś jeszcze popierają obecny rząd. – Jeśli wybory wygramy w sposób zdecydowany, a PiS urośnie bardziej niż dotychczas, to przełamiemy presję i szantaże ze strony sił postkomunistycznych i jeszcze się zdziwimy, kto poprze zmianę konstytucji – pointuje polityk.

Po prostu do celu

Rzecz w tym, że wystarczająco duża siła na prawicy uczyniłaby histerie i naciski mainstreamu bardziej śmiesznymi niż groźnymi. Zresztą te histerie po liberalnej stronie już są rozpalane. Portal Onet, sprawnie wychwyciwszy nową ofensywę prawicy, wyciągnął krakowskiego konstytucjonalistę Marcina Krzemińskiego, który zapewnił, że Polacy nie powinni teraz zajmować się nową konstytucją. „Ustawa zasadnicza ma być zwornikiem (...), nie ma być dziełem jednej siły politycznej. Teraz mamy scenę polityczną podzieloną na pół, więc nie mamy »momentu konstytucyjnego«" – przekonuje w Onecie. Dziwnie brzmią te słowa w kontekście obecnej konstytucji forsowanej jednostronną kampanią referendalną 1997 roku, gdzie za obecną ustawą opowiedziało się ledwie 53 proc. głosujących, przy sprzeciwie 46 proc. (5,5 mln Polaków).

Scenariusz, w którym PiS osiąga 38–39 proc., nie jest trudny do wyobrażenia, odpowiedni rozkład mandatów w terenie, prawicowy koalicjant w sejmie, do tego rozsypana koalicja 13 grudnia i silny prezydent – toż to wariant całkiem osiągalny. Węgrom w 2011 roku udało się zmienić swoją konstytucję – w polskim ustroju stare mechanizmy postkomunistyczne także zgrzytają i rozpadają się coraz bardziej. Może uda się zorganizować obchody trzydziestolecia obecnej ustawy zasadniczej jako jej ostateczny kres i narodziny nowej. Nie przekonamy się, jeśli nie spróbujemy. **GP**



Piotr
Grochmalski

Atak Tuska na prof. Cenckiewicza
TO ZASTĘPCZA WOJNA Z PREZYDENTEM



Zniszczenie prof. Cenckiewicza jest dla Donalda Tuska pierwszą fazą wojny z prezydentem Karolem Nawrockim. Atak ma doprowadzić do paraliżu Biura Bezpieczeństwa Narodowego, a w konsekwencji – radykalnego osłabienia prezydenta Nawrockiego. W istocie ten paranoiczny plan stanowi śmiertelne zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski.

PUBLICYSTYKA

18 sierpnia szef wydawców Telewizji Republika Jarosław Olechowski ujawnił, że przygotowywana jest spektakularna akcja Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Funkcjonariusze tych służb mieli wejść do Pałacu Prezydenckiego. Jak stwierdził Olechowski: „Celem tej operacji miałoby być zdyskredytowanie szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, prof. Sławomira Cenckiewicza". W tej atmosferze szaleństwa nakręcanej przez sfanatyzowanego Tuska, dzień później, 19 sierpnia 2025 roku, Kreml dokonał agresji na Polskę. Rosyjski bojowy dron wleciał w nocy sto kilometrów w polską przestrzeń powietrzną i bezkarnie zmierzał w stronę Warszawy. Według informacji pochodzących od specjalistów nadzorujących pobliskie linie energetyczne, dron, po przecięciu kabli linii energetycznej, eksplodował. Gdyby nie przypadkowa kolizja, dotarłby bez problemu do stolicy Polski. A to oznacza, że Rosja jest w stanie dokonać bezkarnie ataku dronami na dowolne miejsce w naszym państwie.

Totalna katastrofa

Ale ABW i SKW, zajęte wojną Tuska z prof. Cenckiewiczem, dotarły do miejsca wybuchu drona po 12 godzinach. Przez długi czas społeczeństwo było dezinformowane, a szef resortu obrony, Kosiniak-Kamysz, przekonywał, że mógł być to pojazd przemytniczy. Dopiero po 16 godzinach od wydarzenia stwierdził na konferencji prasowej, iż był to rosyjski dron bojowy. Powiedział przy tym, że „mamy do czynienia z prowokacją Federacji Rosyjskiej, z rosyjskim dronem. Mamy do czynienia w szczególnym momencie, kiedy trwają dyskusje o pokoju, kiedy jest nadzieja na to, że ta wojna (...) ma szansę się zakończyć. Rosja po raz kolejny prowokuje". Nie, Panie Kosiniak- Kamysz. Wtargnięcie rosyjskiego pojazdu bojowego w głąb Polski to jest akt militarnej agresji, który – z punktu widzenia Kremla – spełnił swoją funkcję. Ujawnił, że armia nie jest gotowa do eliminowania tego rodzaju zagrożeń. Od uderzenia upłynęło pół doby, zanim wojskowe służby, zajęte obecnie wojną z Biurem Bezpieczeństwa Narodowego, pojawiły się w miejscu eksplozji. Szokuje absolutna cisza Tuska na temat tego aktu agresji Rosji. Premier Polski jakby wyparował, zniknął. Gen. Dariusz Malinowski, zastępca Dowódcy Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych, przekonywał, że „dron ten został zaprojektowany tak, aby był bardzo trudny do wykrycia. Prawdopodobnie leciał bardzo nisko, aby ominąć nasze pole radiolokacyjne. Na dzień dzisiejszy możemy przekazać jedynie takie informacje".

Polską armię obowiązuje strategiczne i operacyjne prognozowanie, którego celem jest rozpoznanie scenariuszy planowanych przez przeciwnika i odpowiednie przygotowanie się do odpowiedzi na te zagrożenia. Nie ulega wątpliwości, że zaatakowanie Polski przez rosyjski dron bojowy jest elementem szerszej, zaplanowanej na poziomie sztabu generalnego FR operacji i jest wpisane w kontekst zbliżających się manewrów Zapad 2025 rosyjskiej i białoruskiej armii. Dlatego tym bardziej wywołuje szok nonszalancja i arogancja wicepremiera Kosiniaka-Kamysza oraz podległych mu służb. Ale w tym samym momencie „reseciarze", środowisko, które pod przywództwem obecnego premiera Rzeczypospolitej dokonało radykalnego i głębokiego zbliżenia z Rosją w latach 2007–2014, znów uderza w prof. Sławomira Cenckiewicza, człowieka, który ujawnił, razem z red. Michałem Rachoniem, skalę owej operacji w książce „Zgoda. Rząd i służby Tuska w objęciach Putina", wydanej w 2024 roku.



FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Reseciarze w akcji

Tusk zdaje się zachowywać wobec prof. Cenckiewicza tak, jakby traktował go jako swego śmiertelnego wroga. Irytuje i frustruje go silna osobowość szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, przygniatająca go moralnie i intelektualnie. Ale też nikt tak konsekwentnie jak prof. Cenckiewicz nie poukładał szeregu puzzli, aby ukazać, jak groźna dla RP była owa zgoda na reset z Rosją. Jak stwierdza prof. w ww. książce: „Decydując się na reset z Moskwą, rządy Donalda Tuska otwierały drogę do strategicznego i perspektywicznego porozumienia Niemiec i Rosji, którego stawką był usankcjonowany podział wpływów w całej Europie Środkowo-Wschodniej. Dla Moskwy kluczową sprawą było w tamtym czasie odzyskanie pełnej kontroli nad Ukrainą, przy biernej postawie zachodnich partnerów Rosji. Polscy autorzy resetu doskonale to rozumieli, stąd już na początku tego dyplomatycznego zwrotu dyrektor Departamentu Wschodniego MSZ Jarosław Bratkiewicz uznał dialog z Rosją za priorytetową »samorzutną wartość polityczną« odrzucając jednocześnie zależność pomiędzy wspieraniem niepodległości Ukrainy a bezpieczeństwem Polski. Jest to jedna z przesłanek pozwalających postawić hipotezę, że celem resetu z Rosją była realizacja interesów obcych mocarstw. W decydującym dla tamtego czasu momencie jedynie Polska mogła głośno protestować i budować międzynarodową koalicję sprzeciwu, aby w ten sposób przeciwdziałać geostrategicznemu układowi Niemiec i Rosji. Dlatego też po 2007 r., a zwłaszcza po katastrofie smoleńskiej, w której zginął prezydent RP, który budował polityczne sojusze przeciwko Rosji i jej sojusznikom na Zachodzie, tak szybko postępował proces »finlandyzacji« Polski oraz neutralizowania jej roli i pozycji w Europie Środkowo-Wschodniej”.

Kompromitacja gen. Stróżyka i jego ludzi

W lipcu 2024 roku frontalny atak na prof. Cenckiewicza przeprowadził gen Stróżyk, który w maju został postawiony przez Tuska na czele powołanej przez niego rozporządzeniem komisji do spraw badania wpływów rosyjskich i białoruskich w Polsce. Dwaj funkcjonariusze kierowanej przez Stróżyka od grudnia 2023 roku Służby Wywiadu Zagranicznego pojawili się w mieszkaniu prof. Cenckiewicza, aby osobiście wręczyć mu decyzję o cofnięciu mu 30 lipca poświadczeń bezpieczeństwa. Było to przedstawienie wyreżyserowane w iście sowieckim stylu. Jak napisał w mediach społecznościowych prof. Cenckiewicz: „Przekazano mi również uzasadnienie powyższej decyzji, w której znalazły się informacje wrażliwe w postaci fragmentów wywiadu lekarskiego z 2020 r., co jest sytuacją bez precedensu”. Z determinacją stwierdził wówczas: „W związku z powyższym oświadczam, że wykorzystam wszystkie środki ochrony prawnej w celu wyeliminowania tej decyzji z obrotu prawnego. Powyższą decyzję odbieram jako represyjne narzędzie walki politycznej i zemsty, której celem jest zastraszenie mnie, poniżenie w oczach opinii publicznej za głoszenie prawdy o współpracy SKW z FSB oraz szczególnej roli, jaką w zbliżeniu z rosyjskimi służbami specjalnymi odegrał obecny zastępca szefa SKW, płk Krzysztof Dusza”. Aby zniszczyć i zastraszyć prof. Cenckiewicza użyto nie tylko SKW. Dokładnie 19 grudnia 2024 roku uderzenie poszło od szwajcarsko-niemieckiego portalu Onet. Celem była dyskredytacja uczonego. Ta współczesna gadzinówka, która zasłynęła z ckliwego tekstu w 2020 roku, zatytułowanego: „Najsmutniejsze Święta Bożego Narodzenia”, o biednych żołnierzach Wehrmachtu obchodzących je podczas okupacji Polski, w paszkwilu napisanym przez Kamila Dziubkę stwierdziła: „Były szef komisji ds. rosyjskich wpływów i współautor serialu TVP »Reset« stracił dostęp do informacji niejawnych. Jak ustalił Onet, według Służby Kontrwywiadu Wojskowego Sławomir Cenckiewicz skłamał w tzw. ankiecie bezpieczeństwa z obawy o ujawnienie faktów mogących narazić go na »wstyd« i »kompromitację«”. Dziubka przytacza opinię „ważnego polityka obozu władzy”, który stwierdza, że profesor „to jest jeden z największych szkodników w służbach po 1989 r.”. W innym miejscu mówi, iż „z informacji Onetu wynika, że według służb Cenckiewicz skłamał w tzw. ankiecie bezpieczeństwa osobowego na temat faktów z jego życia osobistego, co może świadczyć o jego podatności na szantaż lub wywieranie presji”. Dziubka stwierdza przy tym, iż profesor odwołał się od decyzji SKW do premiera Tuska: „Jak ustaliliśmy, pod koniec listopada jego skarga została odrzucona. Onet zna szczegóły uzasadnienia tej decyzji, ale ze względu na wrażliwe informacje w niej zawarte, ograniczymy się do podania kluczowych faktów”. Sam więc Dziubka potwierdził, iż Onet otrzymał uzasadnienie premiera, napisane w zastępstwie przez Radosława Kujawę, które podtrzymywało decyzję SKW. Profesor Cenckiewicz stwierdził, iż są jedynie trzy egzemplarze owego dokumentu. Jeden posiada osobiście, drugi jest w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, a ostatni znajduje się w SKW. A to oznacza, iż bezprawny przeciek do Onetu, a więc przestępstwo, zostało popełnione przez kancelarię premiera lub przez ludzi gen. Stróżyka. Jak stwierdził Cenckiewicz: „Domagam się wyjaśnienia tej sprawy! Mimo takich metod nigdy mnie nie uciszycie i nie zastraszycie. Nigdy nie przestanę pisać o sytuacji w SKW, o destruk-

cyjnej roli Stróżyka, Noska, Pytla, Pilarza i Duszy dla kontrwywiadu. Oni nigdy nie powinni pracować w polskich służbach – wtedy i teraz! Nigdy nie zrezygnuję z ujawniania prawdy o współpracy SKW z FSB i okoliczności podpisania antypolskiej umowy z ludźmi Putina z 13 września 2013 r. Nigdy też nie zaprzestanę pisać o Donaldzie Tusku. (…) My się was nie boimy! I wygramy! Tu jest Polska, a nie Rosja i Łubianka, gdzie reseciarze z SKW ściskali łapę kryminalisty i szefa FSB Aleksandra Bortnikowa!". Na antenie Telewizji Republika Cenckiewicz tak scharakteryzował użytą przez Onet technikę jego dyskredytacji: „Każdy, kto nie zna sprawy, może sobie tutaj podstawić dowolną wersję: narkoman, sprawy obyczajowe, psychiatryk, nieprawdopodobne historie. Przez to, że tekst jest pełen tego typu insynuacji, można w dowolny sposób nim manipulować i rzucać kolejne oskarżenia".

Batalia sądowa i klęska Tuska

Profesor Cenckiewicz, zgodnie z zapowiedzią, wystąpił na drogę prawną, aby unieważnić polityczną decyzję ekipy Stróżyka podtrzymaną przez Tuska i dotyczącą odebrania mu poświadczeń bezpieczeństwa. Złożył osiem skarg do sądu. Już po zwycięstwie Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich Wojewódzki Sąd Administracyjny 17 czerwca 2025 roku orzekł, iż działania Stróżyka i Tuska były bezprawne. W uzasadnieniu sąd wskazał, że doszło do naruszenia art. 24 ust. 2 pkt 4 i art. 24 ust. 2 pkt 5 Ustawy o Ochronie Informacji Niejawnych. Profesor Cenckiewicz w komentarzu do tego wydarzenia napisał: „Wyroki te – i ich miażdżące uzasadnienia – przesądzają o niezgodności z prawem prowadzonego przez SKW wobec mnie kontrolnego postępowania sprawdzającego, które w ogóle nie powinno zostać wszczęte. Treść uzasadnień i wykazanie w nich całej serii nadużyć (nie tylko formalnych, ale i merytorycznych) oraz bezprawia, jakie zastosowano wobec mnie w SKW i częściowo powtórzono w KPRM, nie dają w istocie merytorycznej możliwości zażalenia wyroków WSA do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Uzasadnienia sądu nie pozostawiają bowiem wątpliwości, że przepisy prawa zostały wykorzystane dla uzasadnienia całkowicie fałszywych przesłanek, mających uzasadnić odebranie mi poświadczeń". Na początku lipca prezydent-elekt ogłosił, że prof. Cenckiewicz stanie na czele Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Ale wściekły z powodu poniesionej klęski Tusk za wszelką cenę chciał do tego nie dopuścić. Zaledwie dzień przed zaprzysiężeniem prezydenta Nawrockiego, kiedy nie udał się wariant zamachu stanu

Kwestie bezpieczeństwa powinny być wolne od polityki, a atak na szefa BBN jest jasnym sygnałem, że koalicja 13 grudnia chce toczyć spory również w tym obszarze.

i zawiodła presja wywierana na marszałka Sejmu Szymona Hołownię, Kancelaria Prezesa Rady Ministrów wniosła skargi kasacyjne do Naczelnego Sądu Administracyjnego w sprawie cofnięcia poświadczeń bezpieczeństwa dla prof. Cenckiewicza. Rzecznik KPRM, Jacek Dobrzyński, przekonywał na platformie X, że w związku z tym, do czasu rozpatrzenia skargi kasacyjnej, prof. Cenckiewicz „nie posiada dostępu do informacji niejawnych". Jest to oczywista nieprawda, dlatego prezydent 7 sierpnia wręczył nominacje nowemu kierownictwu BBN. W pierwszym wywiadzie, jakiego udzielił Karol Nawrocki dla TV Republika po swoim zaprzysiężeniu, prezydent stwierdził: „Zobaczymy, jak będzie się rozwijała ta sytuacja. Pan prof. Cenckiewicz wygrał w sądzie, ma pełne prawo do posiadania klauzul bezpieczeństwa. Jest doskonałym polskim urzędnikiem, naukowcem dotkniętym przez represje polityczne wcześniej jako naukowiec, także mój doradca. (…) Miałem głęboką nadzieję, że to wszystko się już zakończy po tym, jak zostanie szefem BBN i wygra w sądzie swój proces. Tak się nie stało – jest próba konfrontacji z szefem BBN. Profesor Cenckiewicz jest i będzie szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego, bo ma do tego doskonałe kompetencje i wie, jak dbać o bezpieczeństwo Polek i Polaków". Ale emerytowany gen. Stanisław Koziej, szef BBN-u za czasów prezydenta Komorowskiego, w przejętym siłowo przez koalicję 13 grudnia Polskim Radiu 24 otwarcie stwierdził: „Nie wyobrażam sobie, aby szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego mógł skutecznie funkcjonować, gdyby miał nie być dopuszczony do tajnych informacji. To jest niemożliwe, aby mógł być szefem BBN. Mam nadzieję, że prezydent brał to wszystko pod uwagę, liczył się z tym i uwzględniał. Inaczej musiałby po prostu zmienić swoją decyzję, jeśli kandydat na szefa BBN miałby nie mieć dopuszczenia do niejawnych informacji". Były szef BBN nieopatrznie ujawnił rzeczywisty scenariusz owej próby zamachu na Pałac Prezydencki. Koziej był uczestnikiem 24 listopada 2010 roku najbardziej szokującego posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego, w którym na szesnaście osób uczestniczących w tym wydarzeniu, będącym elementem „resetu" z Rosją, sześciu to byli współpracownicy tajnych służb PRL (Oleksy, Wałęsa, Kwaśniewski, Jaruzelski, Cimoszewicz i Rotfeld). To także na zaproszenie Kozieja, w dniach od 31 stycznia do 2 lutego 2011 roku gościł w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego gen. KGB, były szef FSB, Nikołaj Patruszew. Wówczas Koziej i Patruszew podpisali plan wzajemnej współpracy między BBN a Radą Bezpieczeństwa FR. Patruszew odbył wtedy także rozmowy z Bogdanem Klichem, ministrem obrony, którego dziś Tusk próbuje przeforsować na ambasadora Polski w USA.

Atak na BBN ma sparaliżować prezydencki projekt budowy półmilionowej armii

Mariusz Błaszczak, były wicepremier w rządzie Mateusza Morawieckiego i szef resortu obrony, stwierdził jednoznacznie, iż „prof. Sławomir Cenckiewicz posiada dostęp do informacji niejawnych i nikt nie powinien mieć co do tego żadnych wątpliwości. Rząd Tuska próbuje kwestionować decyzje niezawisłego sądu i to kolejny dowód na to, że stosuje prawo tak, jak je rozumie. Kwestie bezpieczeństwa powinny być wolne od polityki, a atak na szefa BBN jest jasnym sygnałem, że koalicja 13 grudnia chce toczyć spory również w tym obszarze. Donald Tusk jest w stanie poświęcić wszystko, nawet bezpieczeństwo Polski i Polaków, tylko po to, aby osiągnąć swój cel apolitycznej zemsty". Profesor Cenckiewicz jest też zaatakowany przez nielegalną prokuraturę, że rzekomo pomógł ujawnić byłemu wicepremierowi Mariuszowi Błaszczakowi słynne plany obrony Polski za czasów pierwszych rządów Tuska, z których wynikało, że praktycznie bez walk oddamy w ręce Rosji wschodnią część Polski aż do linii Wisły. Operacje prowadzi prokurator Marcin Maksjan, który od 2011 do 2016 roku wyjątkowo nieudolnie zajmował się wyjaśnianiem przyczyn katastrofy smoleńskiej. Jak stwierdził marszałek Antoni Macierewicz: „Jego ówczesne zachowanie było absolutnie niezgodne z rzeczywistymi obowiązkami prokuratora. Nie oddziaływał na stronę rosyjską zgodnie z prawem i swoimi obowiązkami, by wyjaśnić zbrodnię smoleńską. Moim zdaniem podporządkowywał się działaniom zewnętrznym". Problem w tym, iż rola prof. Cenckiewicza w sprawie dokumentacji dotyczącej tzw. linii Wisły sprowadzała się jedynie do czynności administracyjnej przekazania dokumentacji po jej odtajnieniu zgodnie z kompetencjami przysługującymi wówczas wicepremierowi Błaszczakowi. Dlatego prof. Cenckiewicz sam złożył zawiadomienie o uzasadnionym podejrzeniu popełnienia przez ppłk. Marcina Maksjana przestępstwa przekroczenia uprawnień z art. 231 § 1 kk poprzez między innymi przedstawienie zarzutów w sprawie odtajnienia fragmentów dokumentów planowania operacyjnego (w sprawie tzw. linii Wisły) z uwagi na to, że są one pozbawione podstaw faktycznych i prawnych. W odpowiedzi Maksjan 22 sierpnia złożył do sądu okręgowego w Warszawie akt oskarżenia przeciwko Mariuszowi Błaszczakowi za ujawnienie planu „Warta". Akt oskarżenia wymienia też Sławomira Cenckiewicza, Agnieszkę Glapiak (obecną szefową KRRiT), a także Piotra Z., byłego dyrektora departamentu strategii i planowania MON.

Ale istotę operacji przeciwko BBN i prof. Cenckiewiczowi doskonale ukazał prof. Romuald Szeremietiew, który w rządzie premiera Olszewskiego pełnił obowiązki ministra obrony. W wypowiedzi dla „Gazety Polskiej Codziennie" stwierdził: „Nie mam wątpliwości, że otoczenie premiera Tuska doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że prof. Cenckiewicz ma dostęp do informacji niejawnych, co potwierdza wyrok NSA. Natomiast w mojej opinii determinacja rządu w tej sprawie jest spowodowana planami w obszarze obronności, które przedstawił prezydent Nawrocki. Chodzi między innymi o największą armię lądową w Europie. Proszę zauważyć, że podobne ambicje zadeklarowali Niemcy i w związku z tym obóz Tuska będzie robił wszystko, aby zdemobilizować zarówno prezydenta Nawrockiego, jak i jego najbliższe środowisko. (…) Chodzi o to, aby tych ludzi uwikłać w jakieś przepychanki, aby zamiast realizować plan nakreślony przez głowę państwa, musieli zajmować się rzeczami błahymi" – dodaje. Zapytany, czy w takim wypadku spodziewa się ataków na innych współpracowników prezydenta Nawrockiego, odpowiedział: „Na pewno takowe będą. Już słychać głosy, że szykowana jest jakaś operacja przeciwko ministrowi Adamowi Andruszkiewiczowi. Więc tego typu działania są najprawdopodobniej planowane także wobec innych osób". Prezydent Nawrocki, podczas defilady z okazji Święta Wojska Polskiego, ogłosił budowę półmilionowej armii. Decydującą rolę w realizacji tego projektu odegrać ma BBN. Nie ulega wątpliwości, że atak na prof. Cenckiewicza ma sparaliżować realizację tego zadania. **GP**

KONDOLENCJE

Z wielkim smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.

Piotra Pacholskiego

niezłomnego działacza opozycji antykomunistycznej,
mądrego i dobrego człowieka.

Żegnaj Piotrze!

Najbliższym składamy szczere wyrazy współczucia.
Katarzyna Gójska
Michał Rachoń

PUBLICYSTYKA



Rozmawia
Konrad **Wysocki**
albicla.com/KonradWysocki

ATOMOWE MANEWRY PUTINA

2009, 2013 i 2017 – w tych latach Rosja w ramach manewrów „Zapad" ćwiczyła operację uderzenia jądrowego na Polskę. Za kilka dni na Białorusi rusza kolejna edycja militarnego przedsięwzięcia Państwa Związkowego (ZBiR) z udziałem kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy. Mińsk już zapowiedział, że elementem scenariusza będzie przećwiczenie mechanizmu użycia atomu.

ZAPAD-2025

Tegoroczna edycja manewrów „Zapad" (pol. „Zachód") rozpocznie się 12 września i potrwa (przynajmniej według oficjalnych danych) do 16 września. Gospodarzem ćwiczeń będzie Białoruś, jednak wiadomo, że wszystkie strategiczne decyzje dotyczące skali, przebiegu manewrów oraz zakresu wykorzystywanego sprzętu i uzbrojenia są podejmowane wyłącznie przez Rosję.

Przykrywka?

Przygotowania ruszyły już kilka miesięcy temu. W ostatnich tygodniach odnotowano wzmożone transporty kolejowe żołnierzy i rosyjskiego sprzętu na białoruskie poligony. Ilu dokładnie wojskowych weźmie udział w „Zapadzie", tego nigdy do końca nie wiadomo, ponieważ reżimy podają znacznie zaniżoną liczbę. Dlatego trudno też uwierzyć w docierające ze Wschodu informacje o 10 tys.–13 tys. wojskowych w tegorocznej edycji. W 2021 roku w manewrach, będących testem generalnym Rosji przed inwazją na Ukrainę kilka miesięcy później, brało udział 200 tys. żołnierzy. W 2017 roku było ich prawie 80 tys.–100 tys. W tym roku za bliższe prawdy można uznać przewidywania strony litewskiej, która spodziewa się około 30 tys. żołnierzy, co ma być związane z zaangażowaniem Rosji w wojnę i dotychczasowymi stratami na froncie, jednak jeszcze w maju br. sam prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski ostrzegał, że „Zapad" zmobilizuje co najmniej 100 tys. żołnierzy, a manewry mogą być przykrywką do kolejnego uderzenia na Ukrainę.

Działania przeczą narracji

Oficjalnie Moskwa i Mińsk deklarują, że organizowane cyklicznie co cztery lata ćwiczenia nie są skierowane przeciwko żadnemu państwu i nie mają charakteru ofensywnego. Celem ma być „współpraca żołnierzy i przećwiczenie procedur w ramach zapewnienia bezpieczeństwa Państwa Związkowego (Białorusi i Rosji, ZBiR – red.)" w przypadku ewentualnej agresji. To oczywiście wyłącznie propaganda, niemająca odzwierciedlenia w rzeczywistości. O tym, czym była edycja ćwiczeń w 2021 roku, napisano powyżej. Z kolei wcześniejsze jej odsłony także nie miały charakteru defensywnego. 2009,



WSTĘP DO WOJNY

Po manewrach „Zapad" w 2021 roku wiele rosyjskich oddziałów zostało na Białorusi i stamtąd ruszyło w lutym 2022 roku na Ukrainę, rozpoczynając pełnoskalową inwazję.

FOT. HENADZ ZHINKOV/XINHUA NEWS AGENCY/FORUM

2013 i 2017 – w tych latach Rosja w ramach manewrów „Zapad" ćwiczyła operację uderzenia jądrowego na Warszawę. W scenariuszach ćwiczeń zawsze pojawiały się epizody, które można byłoby jeden do jednego przełożyć na rzeczywisty konflikt Rosji z Zachodem. W tym roku, jak wynika z oficjalnych rządowych wrzutek, nacisk ma być położony na wykorzystanie zaawansowanych technologii, w tym dronów i systemów precyzyjnego rażenia oraz przećwiczenie nowych taktyk. I choć jeszcze w maju br. ze strony białoruskiego MON padały deklaracje, że tegoroczny „Zapad" odbędzie się na poligonach z dala od zachodnich granic kraju (a więc od wschodniej flanki NATO), pod koniec lipca zmieniono decyzję, przekonując, że część elementów scenariusza może zostać zrealizowana przy granicach z Polską i Litwą, gdzie nie brakuje poligonów wojskowych. Wszystko w odpowiedzi na „agresywną politykę militarną", rzekomo realizowaną przez Warszawę i Wilno. Ale na tym nie koniec.

Broń atomowa od lat zajmuje najwyższą pozycję w militarnej propagandzie Rosji. Groźby atomowe wobec Europy wracają co jakiś czas niczym bumerang.

Atom i „Oresznik"

Broń atomowa od lat zajmuje najwyższą pozycję w militarnej propagandzie Rosji. Groźby atomowe wobec Europy wracają co jakiś czas niczym bumerang. By jeszcze bardziej je uwiarygodnić, w ub.r. Putin zatwierdził nową rosyjską doktrynę nuklearną, znacznie rozszerzającą zakres jej użycia. Wcześniej Kreml i Mińsk poinformowały o rozmieszczeniu elementów taktycznej broni atomowej na Białorusi, choć tutaj brak jest jednoznacznych dowodów na taki ruch. Jednak gen. Wiktar Chrenin, szef białoruskiego MON, zapowiedział na początku sierpnia, że armie obu krajów przećwiczą użycie atomu podczas wrześniowych manewrów. Chodzi o cały proces związany z użyciem tego typu broni: od planowania, po transport, aż po działania sztabowe. Do dyspozycji żołnierzy mają być również kompleksy rakietowe „Oresznik". Na razie te przerzucone przez Rosję na czas manewrów, jednak niedawno Putin zapowiedział, że jeszcze w tym roku zostaną one rozlokowane na Białorusi. Obecnie ma trwać ustalanie lokalizacji. Systemy „Oresznik" to rakiety balistyczne pośredniego zasięgu, czyli do 5,5 tys. km. Są przystosowane do przenoszenia kilku głowic atomowych jednocześnie. Kremlowska propaganda chwali się, że „Oresznik" jest w stanie w ciągu kilku minut dosięgnąć większości europejskich stolic. System ten został po raz pierwszy użyty konwencjonalnie (bez atomu) podczas jesiennego ataku na ukraiński Dniepr. Jak wynika z doniesień Kremla, w tym roku ruszyła seryjna produkcja tego pocisku.

Czy i w jakim charakterze broń ta pojawi się podczas manewrów „Zapad-2025", okaże się niebawem. Ryzyko wojskowej prowokacji z użyciem atomu w trakcie ćwiczeń nie jest wysokie, co nie oznacza, że Polska i pozostałe kraje wschodniej flanki NATO mogą zlekceważyć manewry rosyjskiego agresora. Zwłaszcza że będą się one toczyły tuż za naszymi granicami. **GP**



DLACZEGO UKRAINIE BRAKUJE ŻOŁNIERZY?

DEZERTERZY

Brutalne zatrzymywanie mężczyzn na ulicach w celu wysłania ich na front tworzy negatywny wizerunek ukraińskiej armii, a zmobilizowani przy użyciu siły często dezerterują.

DEZERCJE I PUSTKI NA FRONCIE

Jedną z główną przyczyn tego, że Ukraina przegrywa wojnę z Rosją, jest liczebna przewaga najeźdźcy. Nie da się wszystkiego zrzucić na to, że Rosja ma ponad trzy razy więcej ludności, więc także potencjał mobilizacyjny. Większość winy za problemy z uzupełnianiem szeregów wojska leży po stronie ukraińskich polityków i generałów.

Antoni **Rybczyński**

W dniach poprzedzających szczyt Trump–Putin na Alasce głośno było o załamaniu się ukraińskiej obrony na jednym z kluczowych odcinków frontu: pod Pokrowskiem w obwodzie donieckim. Ostatecznie, dzięki szybkiemu przerzutowi tam rezerw, udało się pożar ugasić. Ale to pokazuje, że Rosjanie mogą w różnych miejscach liczącego ponad tysiąc kilometrów frontu zaskakiwać Ukraińców i wbijać się głęboko w terytorium kontrolowane przez Kijów. Dlaczego tak się dzieje? Powody są dwa: jeden to błędy w dowodzeniu po stronie ukraińskiej, drugi to brak personelu w armii ukraińskiej. Zresztą jednym ze źródeł tego drugiego jest to pierwsze.

Sowiecka szkoła wojenna 2.0

Jak mówi głównodowodzący Sił Zbrojnych Ukrainy, generał Ołeksandr Syrski, wróg stosuje tzw. taktykę tysiąca cięć, czyli atak na szerokim froncie małych grup szturmowych. „Odniósł pewien sukces, kiedy jego grupy posunęły się o 10–12 km w kierunku kilku naszych miejscowości i nagle się tam pojawiły. Dlaczego tak się stało? Po pierwsze, teren jest tam pełen wąwozów, rzek – obszarów, których naturalne właściwości pozwalają na ukryte przemieszczanie się. A latem jest tam jeszcze dużo roślinności, co utrudnia kontrolę linii walki” – wyjaśnił Syrski. Jako drugą przyczynę podał fakt, że siły obronne nie mają tutaj ciągłej linii frontu, co wykorzystał wróg i posunął się naprzód. Ostatecznie udało się zatrzymać natarcie i zabezpieczyć kluczowy szlak zaopatrzenia wojsk broniących Pokrowska. Syrski oczywiście nie wspomniał o tym, o czym głośno mówią eksperci i byli wojskowi. Czyli o fatalnym dowodzeniu. Brakuje koordynacji między sąsiadującymi ze sobą na froncie jednostkami. Po drugie, dowódcy boją się meldować wyżej o problemach na froncie. Po trzecie – i to już obciąża samego Syrskiego – odgórnie zalecana strategia mówi, że bez rozkazu nie wolno cofnąć się nawet o krok. W efekcie giną żołnierze broniąc pozycji, które już są stracone, choćby na skutek oskrzydlenia przez wroga. To nie przypadek, że Syrskiego nazywa się „rzeźnikiem”, a jego pomysły na prowadzenie wojny przypominają szkołę sowiecką.

Tymczasem to brak piechoty od kilku lat jest jednym z głównych problemów ukraińskiej armii, obok systematycznych błędów w zarządzaniu, a także, w mniejszym stopniu, braku amunicji i uzbrojenia. Były szef sztabu brygady Azow Bohdan Krotewycz w mediach społecznościowych podzielił się historią nienazwanego dowódcy nienazwanej brygady ze „zmęczonego kierunku”, w której żołnierz emocjonalnie opowiada o problemach istniejących w ukraińskiej armii. W szczególności mówi o ogromnym braku personelu: „Na odcinku ponad 5–10 km jest maksymalnie 12 żołnierzy. Obronę utrzymują kierowcy, artylerzyści,

FOT. ANATOLII STEPANOV/REUTERS/FORUM

kucharze. Ale oni też są »na wyczerpaniu«. Z personelu batalionów pozostało 25% ludzi, z których większość już wcześniej poświęciła swoje zdrowie" – pisze.

Matematyka jest brutalna

Pierwszym i najbardziej oczywistym problemem dla Sił Zbrojnych Ukrainy jest różnica w liczbie ludności obu krajów: według oficjalnych danych na 2021 rok ludność Ukrainy wynosiła 44 mln osób, a Rosji – 144 mln, czyli różnica jest ponad trzykrotna. Rezerwa mobilizacyjna Ukrainy była szacowana w 2024 roku na 300–400 tysięcy osób, Rosji – na półtora miliona. Na początku 2022 roku liczebność armii rosyjskiej wynosiła około miliona osób. Jednocześnie na granicy z Ukrainą na krótko przed inwazją skupiono łącznie 150–190 tys. żołnierzy. Ukraińska armia na początku inwazji liczyła 260 tys. aktywnych żołnierzy, nie licząc weteranów i rezerwistów (łącznie 600 tys., według ówczesnego ministra obrony Ołeksija Reznikowa). W 2022 roku, dzięki przeprowadzonej mobilizacji, Siły Zbrojne Ukrainy miały przewagę liczebną, lepsze wyszkolenie i wyższy poziom motywacji, zwłaszcza dzięki ochotnikom i weteranom ATO (działań zbrojnych w Donbasie po 2014 roku). Do połowy lata 2022 roku do armii ukraińskiej zmobilizowano do 700 tys. osób. W odpowiedzi, w sierpniu 2022 roku, Władimir Putin podpisał dekret o zwiększeniu liczebności personelu wojskowego do 1,15 mln osób. Miesiąc później w Rosji ogłoszono „częściową mobilizację". W jej trakcie, według oficjalnych danych, do armii powołano około 300 tys. osób.

Efekt? W 2023 roku przewaga Ukrainy została zniwelowana przez przeprowadzoną w Rosji mobilizację i werbunek więźniów. W tym samym czasie rozpoczęła się kampania rekrutacyjna Rosjan do służby kontraktowej za solidne wynagrodzenie. Jednocześnie, w obliczu strat, Siły Zbrojne Ukrainy zderzyły się z rosnącymi trudnościami w ich uzupełnieniu. Liczebność armii ukraińskiej wynosiła wówczas, według ówczesnego ministra obrony Ukrainy Rustema Umerowa, ponad 800 tys. osób. W grudniu 2023 roku Putin ponownie podpisał dekret o zwiększeniu liczebności żołnierzy w armii rosyjskiej – już do 1,32 mln osób. W drugiej połowie 2024 roku przewaga Rosji w liczbie żołnierzy była już oczywista. Według magazynu „Military Balance" liczba aktywnych żołnierzy w armii ukraińskiej wynosiła 500–800 tys. osób z rezerwą wynoszącą 300–400 tys. Liczba rosyjskich żołnierzy: 1,1 mln aktywnych żołnierzy i 1,5 mln rezerwistów. W czerwcu 2024 roku Putin oświadczył, że w strefie „operacji specjalnej" znajduje się prawie 700 tys. żołnierzy. We wrześniu podpisał dekret o zwiększeniu liczebności armii do 1,5 mln osób. W 2025 roku, według danych „Military Balance", liczebność czynnych żołnierzy Rosji osiągnęła 1,134 mln osób, z czego zgodnie z majowym oświadczeniem gen. Syrskiego 640 tys. znajdowało się na terytorium Ukrainy. Liczebność armii ukraińskiej w 2025 roku, według magazynu „Military Balance", wyniosła 720 tys. osób.

To brak piechoty od kilku lat jest jednym z głównych problemów ukraińskiej armii, obok systematycznych błędów w zarządzaniu, a także, w mniejszym stopniu, braku amunicji i uzbrojenia.

Dlaczego Ukraińcy nie chcą walczyć?

Żołnierz Artem Kariakin, który niedawno walczył w obwodzie kurskim i na kierunku sumskim, w rozmowie z Radio Swoboda mówi: „Kiedy byliśmy w rejonie Sum, ludzie byli oburzeni, dlaczego Rosjanie przełamali linię, obwiniali Siły Zbrojne Ukrainy za słabe umocnienia. Fortyfikacje były dobre, ale w okopach po prostu nie było nikogo". Według Ośrodka Studiów Wschodnich, aby rozwiązać problem braków kadrowych, do wojska należy przyjąć co najmniej 300 tys. osób. Tymczasem w całym 2024 roku zmobilizowano tylko 200 tys. Rosyjska armia rekrutuje więcej żołnierzy niż ukraińska: około 30 tys. miesięcznie, a Ukraina od 17 do 24 tys. żołnierzy. Dlaczego Ukraina ma tak duży problemem z uzupełnianiem braków w szeregach armii? Pierwszy i drugi problem, o którym mówią cytowani przez Radio Swoboda żołnierze i eksperci, to motywacja i przygotowanie zmobilizowanych. Jeśli w Rosji główny napływ sił zapewniają ochotnicy, których aktywnie wabią na front pieniędzmi, to na Ukrainie głównym zasobem pozostaje obecnie mobilizacja. Brutalne zatrzymywanie mężczyzn na ulicach w celu wysłania ich na front tworzy negatywny wizerunek ukraińskiej armii, a zmobilizowani przy użyciu siły często dezerterują. Kolejnym kłopotem jest brak jasnych terminów mobilizacji. Dla ukraińskich rekrutów służba jest zobowiązaniem na czas nieokreślony, które może trwać lata, a nawet dziesięciolecia lub do samej śmierci. Tylko od stycznia do marca 2025 roku co najmniej 44,5 tys. ukraińskich żołnierzy samowolnie opuściło swoje jednostki, a kolejne 7 tys. zdezerterowało. Nie chodzi tylko o brak motywacji. Nie brakuje choćby przypadków, gdy niedoleczeni z ran odłamkowych żołnierze są przedwcześnie wysyłani na front. Są też historie znęcania się przez innych żołnierzy, czy wreszcie fatalni dowódcy, którzy zgodnie z popularną pod zwierzchnictwem gen. Syrskiego (ps. Rzeźnik) taktyką sowiecką, wysyłają żołnierzy na pewną śmierć lub każą utrzymywać pozycje za wszelką cenę. Problemem jest też na pewno zbyt krótka przepustka do domu.

W kwietniu 2024 roku obniżono wiek poboru do wojska z 27 do 25 lat. Jednocześnie zachodni partnerzy wywierają presję, domagając się obniżenia wieku poboru do 18 lat, aby uzupełnić braki kadrowe. Sam Zełenski wyraża kategoryczny sprzeciw. Jako alternatywę stworzono program „Kontrakt 18–24", w ramach którego Ukraińcy w wieku niepodlegającym poborowi mogą zawrzeć roczny kontrakt i otrzymać za to, oprócz wynagrodzenia w wysokości 120 tys. hrywien (10,5 tys. zł) miesięcznie i nie licząc wynagrodzenia za zadania bojowe, jednorazowo milion hrywien (około 88 tys. zł). Uczestnicy programu przechodzą dłuższe szkolenie i mogą sami wybrać miejsce służby. Kilka tygodni po uruchomieniu program „18–24" przyciągnął zaledwie… 500 rekrutów. **GP**



Maciej
Kożuszek
szef działu Świat

TRUMP POMIĘDZY POKOJEM A WŚCIEKŁOŚCIĄ

DYPLOMACJA I BEZCZELNOŚĆ MOSKWY

Donaldowi Trumpowi udało się naprawić relacje z Wołodymyrem Zełenskim, a europejscy przywódcy w Białym Domu złożyli hołd, uznając prezydenta USA za tego, który może przynieść pokój. Ale na drodze pozostaje jedna kluczowa przeszkoda – Rosja Władimira Putina. A ta chce nadal grać na czas i zachować zdolność do eskalacji.

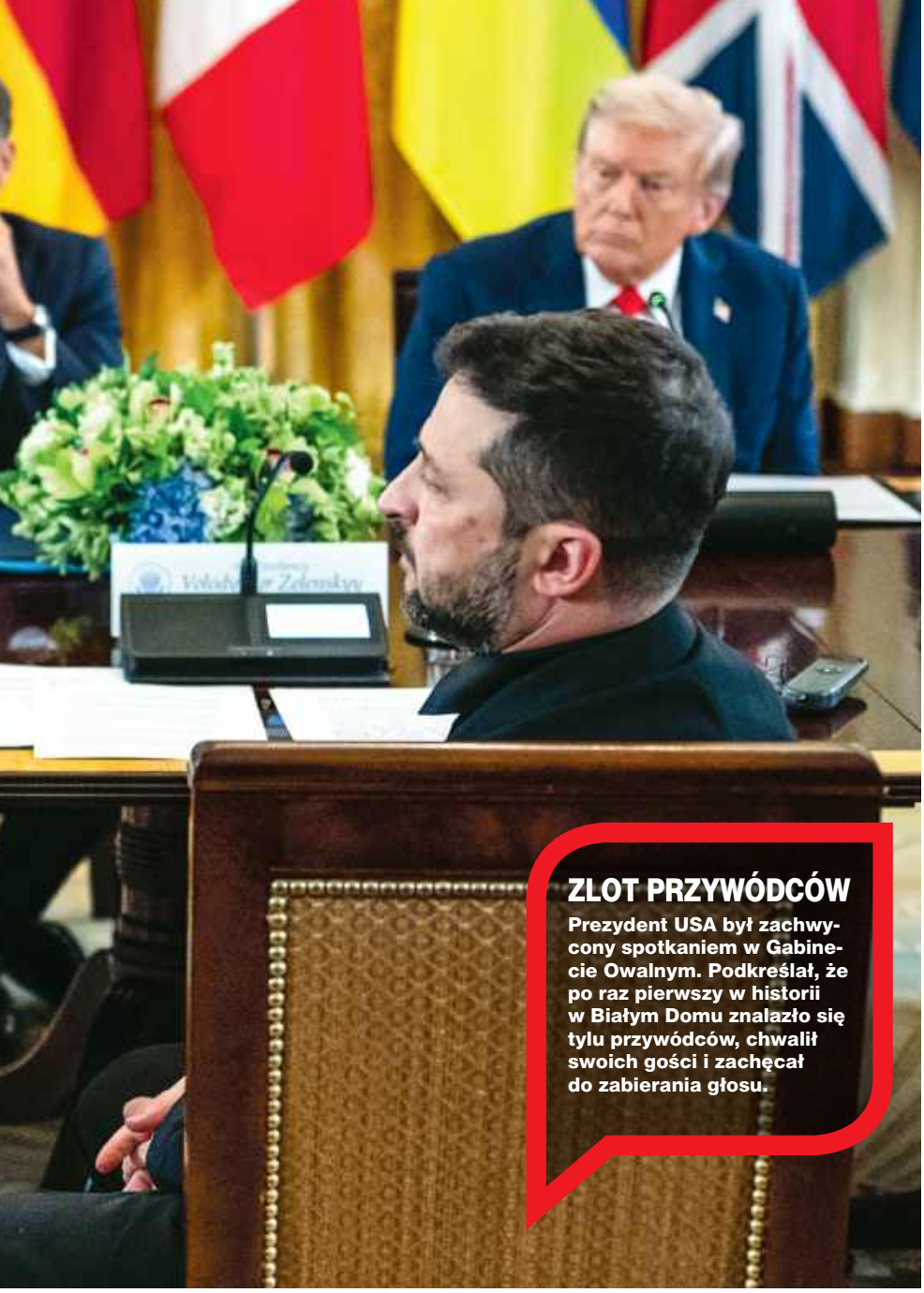
Myślę, że on chce zawrzeć umowę dla mnie, rozumiesz" – tę wypowiedź Donalda Trumpa, skierowaną do Emmanuela Macrona, wychwyciły mikrofony podczas spotkania w Białym Domu. Nie ma w sumie znaczenia, czy prezydent USA naprawdę wierzył w dobrą wolę Putina, czy może chciał tylko przekonać wszystkich, że „deal" wcale nie jest daleko.

Albowiem już wkrótce Rosjanie pokazali, na co ich stać. W teorii zgodzili się na gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy, w praktyce zażądali prawa weta. Atak na zakład będący amerykańską inwestycją dopełnił czarę goryczy. Tym bardziej że skala ataku i lokalizacja fabryki w Mukaczewie na południowym zachodzie kraju, gdzie do tej pory rakiety raczej nie spadały, nie pozostawia wątpliwości, że cel został wybrany świadomie.

Zły Trump

„Wołodymyr, czy mógłbyś trafić w Moskwę? Czy dałbyś trafić w Sankt Petersburg?" – miał zapytać Trump podczas lipcowej rozmowy telefonicznej z Zełenskim, o której treści donosiło kilka mediów, m.in. „Financial Times" czy „The Telegraph". Wołodymyr Zełenski miał wówczas powiedzieć, że byłoby to możliwe, gdyby otrzymał odpowiednie zachodnie uzbrojenie.

FOT. ANDREA HANKS/WHITE HOUSE



ZLOT PRZYWÓDCÓW

Prezydent USA był zachwycony spotkaniem w Gabinecie Owalnym. Podkreślał, że po raz pierwszy w historii w Białym Domu znalazło się tylu przywódców, chwalił swoich gości i zachęcał do zabierania głosu.

Jeśli Kreml przedobrzy w pokazywaniu, jak niewiele sobie robi ze wszystkich marchewek wystawianych przez Biały Dom, może osiągnąć niezamierzony efekt zjednoczenia Amerykanów „wokół flagi" i prezydenta.

Ci, którzy wierzą, że – wzorem pierwszej kadencji – ostateczny bilans prezydentury Trumpa będzie dla Moskwy niekorzystny, często odwołują się do tego obrazu „złego Trumpa". Słychać go było w telefonicznej rozmowie z Fox News z marca 2022 roku, gdy ówczesny były prezydent wściekał się, iż Ameryka nie wykorzystuje swoich zdolności, swojego „wspaniałego sprzętu wojskowego", by konkretniej zareagować na rosyjską agresję. Podobnie o pierwszej reakcji na wojnę pisał Bob Woodward w książce „War", opierając się na relacjach m.in. senatora Lindsaya Grahama i innych, którzy wtedy byli blisko Trumpa.

Można zapytać, czy Rosjanie zapomnieli w ostatnich dniach o tej żyłce w umyśle Trumpa, a być może za bardzo uwierzyli w opowieść zachodnich liberalnych mediów, że prezydenta USA, a przede wszystkim jego specjalnego wysłannika Steve'a Witkoffa, można w nieskończoność wodzić za nos.

Czy to w reakcji na atak w Mukaczewie, czy z głębszej frustracji całym procesem Trump zdecydował się wrócić do swoich myśli o uderzeniu na Rosję. W poście na Truth Social – ilustrowanym, co ważne, zdjęciem, na którym zdaje się uderzać palcem w pierś Władimira Putina, wzorem Nixona wykonującego ten sam gest w stronę Chruszczowa – prezydent USA napisał: „Jest bardzo trudno, być może niemożliwe, wygrać wojnę bez atakowania kraju najeźdźcy. To tak jakby wspaniały zespół sportowy miał wspaniałą obronę, ale miał zakaz atakowania. Nie ma szans na zwycięstwo. Tak jest z Ukrainą i Rosją" – napisał Trump, dodając, że „skorumpowany i okropnie niekompetentny Joe Biden nie chciał pozwolić Ukrainie na ODWET, tylko na OBRONĘ. I jak to zadziałało?".

Trump przypomniał, że przez większą część czasu wojny Ukraińcy mieli zakaz używania zachodnich pocisków, jak HIMARS czy brytyjski Storm Shadow, do uderzeń na cele znajdujące się na terenie Rosji.

Oczywiście to błogosławieństwo udzielone eskalacji, rękami ukraińskimi, może wynikać z poczucia Trumpa, że brakuje mu środków realnego nacisku na Putina. Prezydent USA chciałby powiedzieć rosyjskiemu autokracie: „Dwóch może grać w tę grę" – co nigdy nie jest prawdą, gdy jedna strona może użyć środków kinetycznych, a drugiej pozostaje dyplomacja, ewentualnie mniej lub bardziej wiarygodne groźby sankcji.

Trump jako ojciec zjednoczonego Zachodu?

Czy zmiana nastawienia Trumpa to tylko chwilowa reakcja, odreagowanie za pomocą charakterystycznego dla niego impulsywnego wpisu w mediach społecznościowych? Jednym z najmniej oryginalnych stwierdzeń wypowiadanych przez ekspertów jest:

„Trump często zmienia zdanie". Ale bardziej trafne byłoby stwierdzenie, że obecny prezydent USA nie przywiązuje się do pojedynczych deklaracji i używa ich jako narzędzi w relacjach z innymi przywódcami.

Kim Dzong Un może utrzymać pochwałę jako „wspaniały przywódca" albo zostać nazwany „małym człowiekiem rakietą" i usłyszeć, że USA mogą zetrzeć jego kraj z powierzchni ziemi. Putin może zostać zaproszony do „Bestii", a potem dowiedzieć się, że Trump zachęca Ukrainę do uderzeń na Rosję.

Eksperci, szczególnie ci liberalni, chętnie wybierają te wypowiedzi, które pasują do ich sposobu postrzegania Trumpa, i na tej podstawie formułują diagnozy, które na koniec mają niewiele wspólnego z rzeczywistością. I tak słyszeliśmy, że spotkanie na Alasce to powtórka z Monachium, a czerwony dywan tylko to potwierdza. Tę wersję podtrzymywano, mimo że Trump powtarzał, iż „nie ma dealu, dopóki nie ma dealu", i wyglądał na zawiedzionego tym, co udało się osiągnąć. Z tego wyciągnięto dalsze wnioski: skoro Alaska to Monachium, to Trump wezwał Zełenskiego, by wymusić na nim koncesje, których już Putinowi udzielił. Z tego płynął następny wniosek: europejscy przywódcy jechali do Waszyngtonu, by ochronić Zełenskiego przed presją na ustępstwa o egzystencjalnej dla Kijowa wadze.

Tyle że dla każdego, kto nie cierpi na „syndrom antytrumpowego zaburzenia", rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Biały Dom zrobił wszystko, by spotkanie z Zełenskim było przeciwieństwem słynnej wcześniejszej kłótni. Wiceprezydent J.D. Vance powiedział nawet w późniejszym wywiadzie, że obiecał prezydentowi Ukrainy, iż tym razem nie będzie zabierał głosu, jeśli ten pierwszy „odpowiednio się zachowa".

Te starania po stronie Trumpa wybiły też z ręki argumenty tym, którzy twierdzili, że awantura sprzed kilku miesięcy była przez Biały Dom celowo zaplanowana. Podczas niedawnego spotkania Trump nie robił też wrażenia kogoś, kto europejskich przywódców przyjmuje jako wchodzących w drogę jego planu oddania Rosji Donbasu.

Eksperci, szczególnie ci liberalni, chętnie wybierają te wypowiedzi, które pasują ich sposobowi postrzegania Trumpa, i na ich podstawie formułują diagnozy, które na koniec mają niewiele wspólnego z rzeczywistością.

Było wręcz przeciwnie, prezydent USA był zachwycony. Podkreślał, jak po raz pierwszy w historii w Białym Domu znalazło się tylu przywódców, chwalił swoich gości i zachęcał do zabierania głosu.

Mit antywojennej MAGA

Jedną z przyczyn tych wszystkich błędów ekspertów jest przecenianie znaczenia i wpływów frakcji zachowawczej (ang. restrainers), dawniej nazywanej izolacjonistyczną. Tucker Carlson czy Steve Bannon to medialne potęgi, ale niekoniecznie mają przełożenie na najbliższe otoczenie Trumpa, co widać było, gdy ich krytyka uderzenia na Iran właściwie nie miała wpływu na żaden realny kryzys polityczny administracji. Starcie o wpływy z Elonem Muskiem zakończyło się ostatecznie kapitulacją tego drugiego i wnioskiem, że kontrola Trumpa nad ruchem MAGA jest dużo lepsza niż się wielu wydaje.

Eksperci wyrzucający Trumpowi częstą zmianę zdania sami mają tendencję trzymania się poglądów, które już dawno się zdezaktualizowały. Jednym z nich jest przekonanie, że ruch MAGA żąda od Trumpa wycofania Ameryki z Europy i oczekuje końca wydatków na rzecz Ukrainy. Jeśli Trump nie doprowadzi do pokoju, głosi ta mądrość, jego wyborcy tego nie zaakceptują.

To jednak przebrzmiała melodia. Ośrodek Chicago Council, który prowadzi regularne i wiarygodne badania nastawienia Amerykanów do konfliktu na Ukrainie, odnotował, że mniej więcej od początku kadencji Trumpa aż o 21 pkt proc. wzrosła liczba republikanów, którzy popierają wysyłanie wsparcia Ukrainie w formie sprzętu wojskowego (w marcu 2025 roku popierało to 30 proc., a w lipcu już 51 proc. republikanów). W sumie dalsze wspieranie Ukrainy popiera 75 proc. Amerykanów, a 77 proc. (w tym 74 proc. republikanów) popiera dalsze sankcje.

Amerykanie nie odejdą od stołu

Widać też, że przynajmniej na poziomie politycznym – co ważne także w kontekście przyszłorocznych wyborów śródterminowych – Trump wcale nie jest pod jakąś presją, by jak najszybciej osiągnąć pokój. W ankiecie zadano pytanie: „Czy dalej popierałbyś (sankcje, wsparcie sprzętowe, ekonomiczne), jeśli Rosja odrzuci propozycje pokojowe?". We wszystkich przypadkach poparcie utrzymało się na tym samym poziomie albo nieznacznie wzrosło.

Oznacza to w praktyce tyle, że – wbrew temu, co mogą myśleć Rosjanie i sugerować eksperci – Trumpowi wcale nie musi się spieszyć. Można nawet zaryzykować tezę, że jeśli Kreml przedobrzy w pokazywaniu, jak niewiele sobie robi ze wszystkich marchewek wystawianych przez Biały Dom, to może osiągnąć niezamierzony efekt zjednoczenia Amerykanów „wokół flagi" i prezydenta, który powie: „Dość tych zniewag".

Doradcy Putina mogą sugerować, że gra na czas jest korzystna, bo w końcu Trump znuży się sowiecką metodą dyplomacji i wypełni się zapowiedź wiceprezydenta Vance'a – zdegustowana Ameryka po prostu odejdzie od stołu, rozwiązanie dla Rosji idealne, bo Putin jest przekonany, że z Kijowem i samą Europą poradzi sobie dużo łatwiej.

Tymczasem spotkanie w Waszyngtonie, choć może nie przysunęło pokoju dużo bliżej, pokazało, że wspólnota interesów między Europą a USA Trumpa nadal istnieje, a irytacja przeciągającymi się negocjacjami może też obrócić się przeciw Rosji. **GP**

Wieści z UE

Najnowsze newsy i nie tylko z obszaru Unii Europejskiej



Tomasz Mysłek

Europa w skrócie

Kolejne miliardy euro dla Ukrainy 8 sierpnia państwa UE zgodziły się na czwartą wielką wypłatę dla władz w Kijowie – tym razem 3,2 mld euro „na pokrycie bieżących wydatków ukraińskiego państwa". „Celem tego finansowania jest przede wszystkim wzmocnienie finansowej stabilności Ukrainy i wsparcie funkcjonowania jej administracji" – podkreśliła Rada UE w komunikacie. Łącznie Kijów ma otrzymać do 2027 roku aż 50 mld euro: z tego 17 mld euro bezzwrotnie, a 33 mld euro władze Ukrainy otrzymają jako „tanie pożyczki gwarantowane przez państwa UE".

Zakaz organizowania modlitw muzułmanów Władze hiszpańskiej gminy Jumilla w Murcji wydały zakaz organizowania modlitw muzułmanów w miejscach publicznych, w tym w halach sportowych należących do gminy – w okresach dwóch muzułmańskich świąt. Zakaz wprowadzono z inicjatywy konserwatywnej partii Vox, którą poparli radni z centrowej Partii Ludowej. W odpowiedzi socjalistyczny rząd Hiszpanii ogłosił, że zbada tę decyzję pod względem prawnym, bo ww. zakaz „może naruszać" zagwarantowaną w konstytucji zasadę wolności religijnej. W gminie Jumilla, zamieszkanej przez około 27 tys. osób, odsetek wyznawców islamu wynosi ponad 8 proc. Wśród nich przeważają osoby z Maroka i Algierii.

W Niemczech znacznie spadła sprzedaż piwa Niemieckie Zrzeszenie Browarników podało, że sprzedaż piwa w Niemczech jest najniższa od prawie 32 lat. W pierwszej połowie br. browary sprzedały łącznie tylko 3,9 mld litrów piwa alkoholowego – w kraju (82 proc.) i za granicą. To najgorszy wynik od czasu rozpoczęcia tych statystyk w 1993 roku i o ponad 6 proc. niższy niż w tym samym okresie ubiegłego roku. Zrzeszenie przypisuje ten spadek głównie postępującym zmianom demograficznym i pogarszającej się sytuacji finansowej konsumentów.

Grecja rozbuduje barierę na granicy z Turcją Grecki „minister ochrony obywateli" Michalis Chrisochoidis zapowiedział, że Grecja rozbuduje wysokie ogrodzenie wzdłuż granicy lądowej z Turcją w regionie Ewros – dla ochrony kraju przed nielegalną imigracją. Minister nazwał tę barierę „kluczowym projektem odstraszającym", gdyż dzięki już istniejącemu ogrodzeniu (na odcinku 33 km 200-kilometrowej granicy lądowej z Turcją) liczba aresztowanych za nielegalne przekroczenie granicy w regionie Ewros spadła o 26 proc. w pierwszych siedmiu miesiącach 2025 roku w porównaniu z analogicznym okresem ubiegłego roku. Premier Grecji Kyriakos Micotakis zobowiązał się do przedłużenia ww. ogrodzenia do ponad 100 km. **GP**

NOWY NAKAZ UE

Od 30 grudnia zacznie obowiązywać nakaz UE dotyczący zapobiegania „globalnemu wylesianiu". Wprowadza on kolejne uciążliwe i kosztowne obowiązki dla setek tysięcy firm – m.in. z branży meblarskiej.

FOT. ADOBE STOCK

Prawie 118 mld euro na biurokrację UE!

Projekt budżetu UE na lata 2028–2034 zakłada aż 117,9 mld euro wydatków na unijną biurokrację (o 61,3 proc. więcej niż w latach 2021–2027). Te miliardy (zabrane europejskim podatnikom) mają sfinansować ponad 80 tys. urzędniczych i innych etatów, biura i pensje komisarzy i setek dyrektorów ponad 70 instytucji UE. Na przykład pensja brutto przeciętnego komisarza UE wynosi miesięcznie około 28 tys. euro, nie licząc różnych dodatków.



JAK ZOSTAŁEM ARESZTOWANY W AFRYCE



Tomasz **Duklanowski**

Dałem paszport i łapówkę. Urzędniczka Emigration Office zrobiła się od razu wyjątkowo miła i poinformowała mnie, że nie muszę stać w kolejce, tylko żebym poczekał i usiadł na krześle. Po 10 minutach podszedł do mnie policjant, uzbrojony w kałasznikowa. – To twój paszport i wiza, miłego pobytu w Kenii – uśmiechnął się.

KORUPCJA JAK NOWOTWÓR

Przed wielkim wieżowcem Nyayo House, w którym znajduje się Emigration Office w stolicy Kenii Nairobi, rzuca się w oczy wielki napis: „Ten budynek jest wolny od korupcji". Ale jak się okazuje, to tylko pusty slogan, bo bardzo szybko przekonuję się, że w praktyce to nie działa.

Mieszkając kilka miesięcy w Afryce co jakiś czas musiałem odwiedzać Emigration Office, żeby przedłużyć swoją wizę. Wchodząc do wieżowca, najpierw trzeba przejść kontrolę. Uzbrojeni w kałasznikowy policjanci każą przejść przez bramki, potem prześwietlają torbę. Kierują mnie na 17. piętro, bo tam jest wydział zajmujący się cudzoziemcami spoza Afryki. Wcześniej przeczytałem na oficjalnej stronie ministerstwa spraw wewnętrznych Kenii, że przedłużenie wizy jest bezpłatne. Ale gdy podchodzę do okienka, urzędniczka potwierdza, że przedłużenie wizy jest za darmo, tylko muszę mieć jeszcze wypełnioną w Cyber Office aplikację. Zanim zdążyłem zapytać, co to takiego ten Cyber Office, podeszła do mnie młoda Murzynka, która stała obok. – Jeśli potrzebujesz aplikacji z Cyber Office, to ja cię zaprowadzę, to niedaleko – powiedziała.

FOT. MONICAH MWANGI/REUTERS/FORUM



CO NISZCZY AFRYKĘ

Według raportów Transparency International, najbardziej dotkliwa korupcja w Afryce Wschodniej jest w sektorze publicznym. Nic dziwnego, że ostatnio zdesperowani młodzi ludzie coraz częściej protestują.

Apka za 30 zł

Rzeczywiście, Cyber Office znajdowało się na sąsiedniej ulicy w budynku, gdzie takich biur świadczących „pomoc" cudzoziemcom jest kilkanaście. Przypominają trochę kawiarenki internetowe z lat 90., które kiedyś były popularne w Polsce. Pomieszczenie jest niewielkie, są w nim ciasno poustawiane stare, stacjonarne komputery. Mnóstwo ludzi, hałas i zaduch.

Od Murzynki przejmuje mnie szefowa Cyber Office. Za wypełnienie aplikacji bierze 1000 szylingów (30 zł). Płacę, bo specjalnego wyboru nie mam, bez tego nie dostanę wizy. – Teraz już nie będzie problemu, dadzą ci wizę – mówi na koniec szefowa biura. I daje mi instrukcję na przyszłość. – Wizę można przedłużać dwa razy. Potem już trzeba wyjechać z Kenii. Ale jak nie chcesz wyjeżdżać, to mam znajomych na lotnisku w Nairobi. Dadzą ci pieczątkę do paszportu, że wyjechałeś i znów będziesz mógł sobie przedłużyć wizę, ale za to biorę 50 dolarów.

Wracamy do Emigration Office. W okienku daję wypełnioną aplikację i paszport. – Dzisiaj mamy awarię i system już nie działa – informuje mnie urzędniczka. – Przyjdź jutro.

Pół godziny temu system działał. A gdy wróciłem z aplikacją – już nie. – Co się dzieje? – pytam młodą kobietę z Cyber Office. – Po prostu chcą, żebyś im zapłacił – uśmiecha się Kenijka. – Włóż do paszportu 2000 szylingów (60 zł) i jej daj. Bo jutro też mogą powiedzieć, że system nie działa.

Dałem paszport i łapówkę. Urzędniczka natychmiast zrobiła się już bardzo miła i poinformowała mnie, że nie muszę stać w kolejce, tylko żebym poczekał i usiadł na krześle. Po 10 minutach podszedł do mnie policjant uzbrojony w kałasznikowa. – To twój paszport i wiza, miłego pobytu w Kenii – uśmiechnął się.

Żerowanie na cudzoziemcach

W rzeczywistości Cyber Office to prywatni pośrednicy, którzy żerują na cudzoziemcach. W Nyayo House działa bardzo sprawna sieć pośredników, którzy współpracują z urzędnikami imigracyjnymi. Pomagają w przyspieszaniu procesów wizowych w zamian za łapówki. Emigration Office słynie z tego, że jest to instytucja przeżarta łapownictwem. Dla urzędników praca tam to żyła złota, bo na cudzoziemcach można się dorobić majątku.

Teoretycznie takie sytuacje powinno się zgłaszać do Ethics and Anti-Corruption Commission (EACC), czyli kenijskiego odpowiednika CBA. Ale skuteczność EACC jest niewielka, a sama instytucja jest oskarżana o nepotyzm, faworyzowanie krewnych czy zatrudnianie za łapówki.

Pewnego razu wybrałem się do Mombasy. Od kilku lat z Nairobi można dojechać tam nowoczesnym pociągiem. Nowe tory z siecią dworców i składami kolejowymi wybudowali Chińczycy. Podróż trwa nieco ponad 5 godzin, wcześniej zajmowała kilkanaście, bo podróżowało się wąskotorówką, która pamiętała jesz-

cze czasy Karen Blixen z początków ubiegłego stulecia. Wygodne klimatyzowane wagony mają jedną wadę. Nie można w nich palić. Gdy wysiadłem na dworcu w Mombasie, zobaczyłem, że przed dworcem stoi grupka palących papierosy Murzynów. Nie zdążyłem wypalić do połowy, kiedy podeszło do mnie dwóch policjantów. – Jesteś aresztowany, tu nie wolno palić – powiedzieli i zabrali mnie na komisariat policji na dworcu. Co ciekawe, aresztowali jedynie mnie, palących Murzynów zignorowali.

– Przecież nie wiedziałem, że nie wolno tu palić, przecież inni też palili – próbowałem się tłumaczyć, w naiwności sądząc, że to przekona policjantów. – Nie respektujesz prawa! To jest Kenia, my prawo szanujemy – wrzeszczał na mnie oficer, który mnie aresztował. Trwało to kilka minut, po czym kazał mi czekać. Po jakimś czasie z pokoju komisariatu wyszedł inny policjant. Ten był miły. Szepnął mi do ucha: – Daj mu 500 szylingów (15 zł) i to wystarczy. Dałem więc łapówkę. I za chwile mogłem opuścić komisariat na dworcu w Mombasie, w którym „szanują prawo". Tak jak je rozumieją. Bo w rzeczywistości policjant, który mnie zatrzymał, nie chciał kierować sprawy do sądu. On by z tego nic nie miał. Ja z kolei musiałbym spędzić na afrykańskim dołku dwa, trzy dni do czasu rozprawy. A tego też nie chciałem.

Wszystko za łapówkę

Zresztą podobnie jest w całej Afryce Wschodniej. Na turystów czyha mnóstwo pułapek. Jedną z nich są absurdalne zakazy palenia w miejscach publicznych. Podobną przygodę miałem w Kampali, stolicy Ugandy. Gdzieś w jakiejś bocznej ulicy zapaliłem papierosa. Nagle, jak z podziemi, wyrosło czterech policjantów, jak to w Afryce – uzbrojonych po zęby. Identyczne przedstawienie jak w Mombasie. Krzyki, groźby, teksty o respektowaniu prawa. Wystarczyło 10 dolarów i szef komisariatu policji, gdzie zostałem doprowadzony, stał się moim najlepszym kolegą. – A czy mógłbyś mi pomóc i załatwić wizę do Polski? – pytał, gdy już opuszczałem komisariat.

Aby wybić się w Afryce, trzeba na przykład dostać pracę w urzędzie czy w policji. Ale lepsze życie gwarantuje także bycie księdzem.

Korupcja w Afryce Wschodniej pozostaje jednym z głównych hamulców rozwoju regionu, wpływając na gospodarkę, inwestycje i życie obywateli. Według raportów Transparency International, najbardziej dotkliwa jest w sektorze publicznym – od przetargów infrastrukturalnych, przez ochronę zdrowia, po rekrutację do administracji czy służb mundurowych. Często obywatele muszą płacić łapówki za dostęp do podstawowych usług publicznych, a młodzi Kenijczycy wskazują, że „bribery for jobs", czyli łapówka za pracę, jest powszechną praktyką. I nie chodzi tylko o instytucje publiczne. Będąc z Mombasie spotkałem chłopaka, który sprzedawał sok z kokosów na plaży. Mówił, że aby dostać pracę w jednym z licznych prywatnych hoteli, także trzeba zapłacić – najpierw równowartość miesięcznego wynagrodzenia.

Podobne problemy dotyczą sąsiadów: w Ugandzie czy Tanzanii korupcja osłabia system podatkowy i odstrasza inwestorów. W efekcie w całym regionie instytucje państwowe postrzegane są jako nieskuteczne, a obywatele często wyrażają sprzeciw w formie demonstracji ulicznych. Tak było w tym roku, gdy tysiące młodych ludzi z pokolenia Z wyszły protestować na ulicach Nairobi.

Księża też biorą

W Afryce byłem wolontariuszem wysłanym przez arcybiskupa Andrzeja Dzięgę, byłego metropolitę szczecińsko-kamieńskiego. Pracowałem przy misjach i kościołach w Kenii. Zajmowałem się między innymi pomocą materialną dla najbiedniejszych i projektami edukacyjnymi dla kenijskich dzieci, finansowanych ze zbiórek w mojej diecezji. Niestety problem korupcji i nieuczciwości dotyka także wielu tamtejszych duchownych. Korupcja jest zjawiskiem powszechnym. Dlatego doświadczone organizacje charytatywne, świeckie i kościelne, wystrzegają się bezpośredniego przekazywania pieniędzy miejscowym. Bo jest niemal pewne, że z ofiarowanych środków tylko część trafi do potrzebujących.

Któregoś razu dostałem od sponsora pieniądze na odmalowanie szkoły w jednej z niewielkich miejscowości w środkowej Kenii. Proboszcz, pod którego podlegała szkoła, na początku był zadowolony, ale gdy mu powiedziałem, że przyjadę z własną ekipą, sami kupimy farby i pomalujemy budynek, przestał być miły. Upierał się, żebym mu przesłał pieniądze i on wszystko „zorganizuje".

W jednym z miasteczek w Kenii organizowałem zbiórkę pieniędzy na zakup bucików dla dzieci z parafii. Większość z nich biega boso albo w całkowicie podziurawionych klapkach i ma poranione stopy od kamieni i kolczastych gałązek akacji afrykańskiej. Udało mi się zebrać fundusze na 150 par i poprosiłem proboszcza, aby zawiózł mnie na targowisko, żeby kupić buciki i klapki dla dzieci z jego parafii. Od razu zastrzegł, że zawiezie mnie, jeśli jemu też kupię klapki. Gdy kupowałem buciki dla dzieci, proboszcz wybrał sobie siedem par klapek i zaczął mnie przekonywać: – Weź też dla siebie, przecież to pieniądze od sponsora.

Jeden z polskich misjonarzy, który w Kenii pracuje od 30 lat, tłumaczył mi, dlaczego tak jest. – W Afryce państwa i prawa są rzeczy znacznie ważniejsze. Najważniejsza jest rodzina, klan i plemię – tłumaczył. – Jeśli ktoś z rodziny się w jakikolwiek sposób wybije, ma obowiązek pomagać całej rodzinie, bo inaczej zostanie wyklęty. A wybić się można na przykład, dostając pracę w urzędzie czy w policji. Ale także zostając księdzem. Bo to gwarantuje poprawę statusu materialnego. Dlatego w Afryce formacja księży jest wciąż słaba – wielu młodych ludzi idzie do seminariów tylko po to, aby poprawić życie swoje i całej rodziny. **GP**

ROSJA **absurdem stoi**

Wiadomości z kraju wiecznej szczęśliwości, czyli cotygodniowy przegląd ciekawostek z Federacji Rosyjskiej. Od Kaliningradu pod chińską granicę. Od Moskwy do wiosek na Przywołżu.



Feliks **Kazański**

Rosja: Horror from real Mordor

Hojność bez granic „Amerykański dziennikarz Brian Glenn był zachwycony prezentem, który dostał od rosyjskiego kolegi" – opisuje portal lenta.ru intrygujące kulisy spotkania Trump–Putin na Alasce. Jak się okazało, owym zachwycającym prezentem była… butelka wódki. Trudno byłoby wyobrazić sobie dumę rosyjskich mediów, gdyby Brianowi podarowano dwie butelki. Albo całą skrzynkę.

Do 27 razy sztuka? Uruchomienie rosyjskiej stacji międzyplanetarnej Łuna-27 przeniesiono na rok 2029, chociaż początkowo planowano je na 2021 rok. Można więc śmiało założyć, że owa liczba „27" w nazwie projektu oznacza tak naprawdę, ile razy będzie on odkładany. Zanim zostanie zamknięty ostatecznie…

RYS. MIROSŁAW ANDRZEJEWSKI

Szkoła życia… zaczyna się już w przedszkolu. Przynajmniej w Baszkirii, gdzie w jednej z placówek, z braku miejsca, maluchy układa się na leżakowanie w korytarzu. Tak więc te niegrzeczne, zamiast stawiać do kąta, powinno się teraz odsyłać na materacyk przy kibelku i wszystko będzie prawie jak pod prawdziwą, dorosłą celą.

Seans pełen wrażeń Do toalety w jednym z centrów handlowych w Kostromie klienci są wpuszczani tylko z biletem… do kina. Ciekawe, czy zanim pozwoli im się skorzystać z WC, muszą najpierw obejrzeć cały film? Przy naprawdę pilnej potrzebie może to być nieco problematyczne.

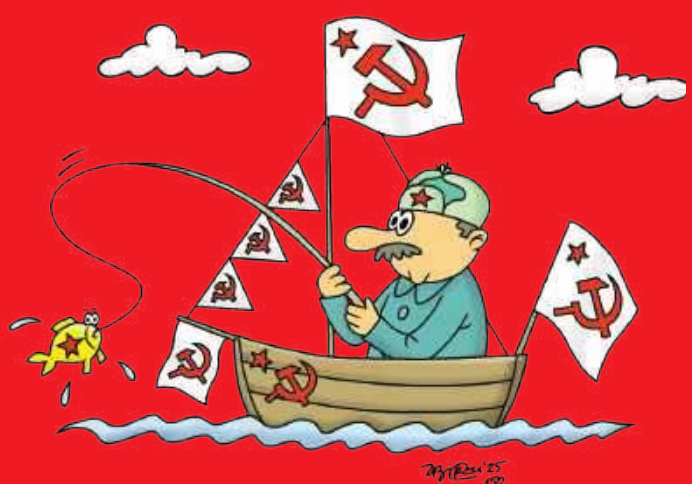
Zepsute święto Organizatorzy festynu o nazwie „Święto Siekiery" w Tomsku profilaktycznie wyjaśnili, że niestety, nie wolno na obchody przychodzić z… siekierami oraz wnosić alkoholu. No to przerąbane, bo impreza zapowiadała się naprawdę wielce obiecująco. **GP**

TOAST ZA TRADYCYJNE WARTOŚCI

Na Ałtaju teściowa zdemolowała samochód synowej za to, że ta nie chciała z nią wypić – donoszą tamtejsze media. Bo mamusię trzeba szanować!

Nie ten brzeg

Tak zwanego „rosyjskojęzycznego" mieszkańca estońskiej Narwy ukarano za wędkowanie na granicznej rzece. Ściślej, za wędkowanie z łódki ozdobionej zabronionymi przez władze w Tallinnie emblematami Armii Sowieckiej. A przecież można było tę jego łódkę tylko trochę podepchnąć do drugiego brzegu – tam już do końca życia mógłby chodzić na ryby nawet z flagą ZSRS zatkniętą na wędkę…



Czytajcie więcej na **www.facebook.com/RosjaHFRM**



Leszek
Galarowicz
albicla.com/LeszekGalarowicz

TESTY PŁCI DLA DOBRA ZAWODNICZEK

SIATKARKI CZY SIATKARZE?

Podczas rozgrywanych w Indonezji kobiecych siatkarskich MŚ do lat 21 wybuchł skandal. Okazało się, że w reprezentacji Wietnamu występują dwie zawodniczki, co do płci których są wątpliwości. Po testach chromosomowych przeprowadzonych u siatkarek z Azji reprezentacja Wietnamu, która była rewelacją turnieju, została ukarana czterema walkowerami i pożegnała się z turniejem. Wiele wskazuje, że na tym sprawa się nie zakończy, a ekipie z Wietnamu grożą surowe sankcje. Po skandalu na olimpijskim turnieju pięściarek to już kolejny przypadek afery wokół płci w sporcie. Przed najbliższymi mistrzostwami świata w lekkoatletyce World Athletics zleciła testy genetyczne rodzimym federacjom. Czy za lekkoatletyką pójdą inne dyscypliny?

Oszustwa i skandale są nieodłącznym elementem sportowej rywalizacji od jej początków. Doping, ustawianie meczów, nielegalny sprzęt – to tylko niektóre z przejawów sportowej nieuczciwości. Niektóre historie są dla fana sportu szczególnie bolesne, jak ta Lance'a Armstronga, najbardziej utytułowanego zawodowego kolarza świata, który w młodości heroicznie walczył z rakiem, był inspiracją dla wielu ludzi, a potem zamiast legendy okazał się sportowym oszustem, który stracił wszystkie tytuły. Czasem oszustwa w sporcie były częścią systemu, na które było przyzwolenie, lub nawet inspiracja ze strony państwa.

Siatkarze w przebraniu?

Co tak naprawdę wydarzyło się na mistrzostwach świata do lat 21? Azjatycka drużyna spisywała się w Indonezji nadspodziewanie dobrze, wygrywając trzy spotkania, poniosła tylko jedną porażkę. Już po spotkaniu z Serbią z ust trenerki tej drużyny padła sugestia, że w reprezentacji Wietnamu grają mężczyźni. FIVB postanowiła przeprowadzić badania chromosomowe u dwóch podejrzanych zawodniczek. Następnie siatkarskie władze wydały oświadczenie o ukaraniu Wietnamu czterema walkowerami za udział w meczach nieuprawnionych zawodniczek.

FOT. VOLLEYBALL WORLD



TESTY PŁCI

Już wkrótce testy płci w imprezach rangi mistrzostw świata czy Europy staną się normą. Dziś ich wykonanie przed 1 września to warunek konieczny dla zawodniczek, które chcą wziąć udział w lekkoatletycznych mistrzostwach świata w Tokio.

Wiele wskazuje, że sprawa na tym się nie zakończy. Wietnamska federacja zaprzeczyła sensacyjnym doniesieniom, twierdząc, że chodzi jedynie o braki w dokumentacji, choć mało kto wierzy w te wyjaśnienia. Skandal na siatkarskich mistrzostwach świata wprawdzie nie ma podobnego ciężaru jak oszustwa sportowych legend, ale budzi niepokój o to, czy podobne praktyki nie będą się powtarzały w przyszłości.

Władze siatkarskie wydały oświadczenie o ukaraniu Wietnamu czterema walkowerami za udział w meczach MS nieuprawnionych zawodniczek. Wiele wskazuje, że sprawa się na tym nie zakończy...

Testy są potrzebne

Wiele wskazuje, że już wkrótce testy płci w imprezach rangi mistrzostw świata czy Europy staną się normą. Dziś ich wykonanie przed 1 września to warunek konieczny dla zawodniczek, które chcą wziąć udział w lekkoatletycznych mistrzostwach świata w Tokio. Lekkoatletki muszą przejść test na obecność genu SRY. Jednorazowy test ma stać się przepustką do wszystkich lekkoatletycznych zawodów rangi światowej. Testy mają być przeprowadzone przez federacje krajowe. Koszt badania pokryje World Athletics. Problemy z badaniami mają reprezentantki Francji i Kanady. Reprezentantki Kanady miały wykonywane testy ze śliny (zamiast z krwi) i okazało się, że te ze śliny nie spełniają wymaganych standardów. Francuzki muszą wykonać badania poza granicami kraju, ponieważ blokuje je ustawa o bioetyce. Testom muszą poddać się też polskie lekkoatletki. Zdaniem lekarza polskiej kadry lekkoatletycznej, dr. Jarosława Krzywańskiego, dobrze że takie testy zaczynają obowiązywać. – Na pewno testy są potrzebne, żeby sportsmenkom nie działa się krzywda – mówi.

Jak ustalić płeć sportowca?

Wbrew pozorom nie jest to takie łatwe. Początkowo weryfikacja polegała na przejściu nagich zawodniczek przed komisją złożoną z mężczyzn, którzy oceniali płeć na podstawie obecności narządów płciowych. Dość szybko zastąpiono je prostym badaniem genetycznym polegającym na sprawdzeniu konfiguracji chromosomów. Naukowcy ostrzegali, że ta metoda jest niedokładna i obarczona możliwością błędu. Wkrótce się z niej wycofano. Ofiarą tej metody padła polska mistrzyni Ewa Kłobukowska, oskarżona przez działaczy NRD i ZSRS o „nieokreślony status płci". Przed zawodami w Kijowie zwrócili się oni z wnioskiem o wykluczenie Polki ze startu. Komisja, która badała sprawę, stwierdziła mozaikowatość chromosomów, co miało podważać płeć zawodniczki. W obronę Kłobukowskiej nie włączyły się wówczas polskie władze. To zakończyło karierę polskiej sportsmenki. Władze lekkoatletyczne anulowały wszystkie rekordy świata ustanowione przez nią. Dziś uznaje się to za jedną z największych pomyłek w sporcie XX wieku. W ostatnich latach władze lekkoatletyczne poszły w stronę badania poziomu testosteronu (zbyt wysoki oznaczał, że zawodniczka nie może startować w zawodach z kobietami). Wątpliwości wokół tej metody najlepiej dowodzi przypadek biegaczki Caster Semenyi, u której zdiagnozowano hiperandrogenizm, czyli nadmiar hormonów męskich. Nie znaczy to, że w związku z tym można automatycznie uznać, że jest mężczyzną. Tak czy inaczej wysoki poziom testosteronu daje jej przewagę w sportowej rywalizacji z kobietami. W 2019 roku sąd orzekł, że Semenyi nie może startować z kobietami. Jej przypadek jest skomplikowany, bo przy urodzeniu przypisano jej płeć kobiecą, choć posiada układ chromosomów męski, produkuje ponadprzeciętne ilości testosteronu, nie ma też macicy i jajników.

Dla dobra zawodniczek

Czy weryfikacja płci zawodowych sportowców stanie się normą? Przykłady pięściarskiego turnieju olimpijskiego z Paryża, w którym startowały dwie zawodniczki, wokół których do dziś są wielkie wątpliwości związane z ich biologiczną płcią, czy siatkarek Wietnamu wykluczonych z mistrzostw świata do lat 21, a największa gwiazda seniorskiej reprezentacji sama wycofała się przed startem mistrzostw, dowodzą, że powinno się tak stać w imię czystości sportu i dobra samych sportsmenek. Czy jednorazowy test SRY, które muszą wykonać wszystkie zawodniczki występujące w MŚ w lekkoatletyce, przyjmie się w innych dyscyplinach? Eksperci przestrzegają, że test może generować problemy w wypadku wąskiej grupy kobiet. Jedno jest pewne – władze sportowe muszą dziś zrobić wszystko, aby dla dobra sportsmenek, idei sportu jako szlachetnej rywalizacji, zminimalizować ryzyko oszustw i wątpliwości, także tych związanych z weryfikacją płci. **GP**



SYSTEM KAUCYJNY WCIĄŻ NIEGOTOWY DO STARTU

NOWE PRAWO JEST PEŁNE NIEJASNOŚCI

Rząd prze do uruchomienia już od 1 października tzw. systemu kaucyjnego. Dzieje się tak mimo licznych sygnałów ze strony małych sklepów i organizacji reprezentujących największe sieci handlowe, dotyczących niedostatecznego przygotowania handlu do wprowadzenia nowego rozwiązania.

Choć system ten, opracowany jeszcze pod koniec rządów Zjednoczonej Prawicy, powinien doprowadzić do uporządkowania w skali całego kraju procesu zbierania butelek i innych opakowań (w tym plastikowych) po sprzedawanych napojach, to wciąż jest on niejasny dla wszystkich uczestników programu.

Niegotowy do wdrożenia w obecnym kształcie

„Od października opakowania oznaczone symbolem kaucji będą stopniowo pojawiać się na półkach. System kaucyjny to rozwiązanie, które działa już w wielu krajach Europy i sprawdza się w praktyce. Dzięki temu wspieramy gospodarkę obiegu zamkniętego, zmniejszamy emisję CO_2 i ograniczamy liczbę porzuconych odpadów wokół nas" – chwali nowy system wiceminister klimatu i środowiska Anita Sowińska.

Tymczasem, mimo zapewnień resortu o pełnej gotowości do uruchomienia tego systemu, na przykład zdaniem Polskiej Organizacji Handlu i Dystrybucji (POHiD) – zrzeszającej największe sieci handlowe – „startujący niedługo system kaucyjny nie jest gotowy do wdrożenia w obecnym kształcie. Jego uruchomienie bez wyja-

FOT. ADOBE STOCK



Maciej
Pawlak
SZEF DZIAŁU GOSPODARKA
albicla.com/MaciejPawlak

WCIĄŻ NIE MA UMÓW

Nie ustalono ciągle treści umów między dziesiątkami tysięcy jednostek handlowych a siedmioma operatorami systemu kaucyjnego. Nie wiadomo, jak w praktyce przebiegać ma zbiórka opakowań.

śnienia wielu istniejących nieścisłości może przynieść rozczarowanie wszystkim uczestnikom – w tym konsumentom, producentom i handlowi".

Z kolei rzecznik małych i średnich przedsiębiorców Agnieszka Majewska w piśmie do premiera Tuska i szefowej MKiŚ, Pauliny Hennig-Kloski, podkreśla, iż „sygnały od przedsiębiorców wskazują, że przepisy wprowadzające system kaucyjny mogą być nieprecyzyjne, brak też wielu procedur, przez co duża część przedsiębiorców może nie być gotowa do uczestnictwa w systemie. Ma to też związek ze specyfiką branży handlu detalicznego, gdzie obok wielkich sieci działają niezależne placówki handlowe o ograniczonych zasobach finansowych i organizacyjnych. To właśnie jednostki z sektora MŚP natrafią na największe trudności z uczestnictwem w systemie kaucyjnym".

Rozbicie istniejących łańcuchów dostaw i logistyki zwrotnej

System kaucyjny będzie obejmował także zwrot butelek szklanych wielorazowego użytku o pojemności do półtora litra. Na to nie zgadza się organizacja branżowa Krajowa Izba Gospodarcza „Przemysł Rozlewniczy". Izba zaapelowała w tej sprawie do Ministerstwa Klimatu i Środowiska. Według Izby „zaprzestanie funkcjonowania dzisiejszych systemów kaucji i zwrotu i przełożenie tej działalności do ustawowego systemu kaucyjnego zniszczy najefektywniejsze systemy zwrotu" – napisała KIGPR w dokumencie, do którego dostęp otrzymał www.portalspozywczy.pl.

– Obecnie w pierwszym rzędzie powinno dojść do spotkania z firmami operatorami systemu, o którym mówimy, a więc zajmującymi się odbiorem zebranych butelek i innych opakowań podlegających systemowi – komentuje dla „GP" pos. Robert Telus (PiS), były minister rolnictwa, członek sejmowej Komisji Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa. – Powinno wówczas dojść do ustalenia, co jest najbardziej potrzebne, i jak najszybszego wprowadzenia wniosków z tych ustaleń. Jeżeli nie dojdzie do takiego spotkania czy – szerzej – konsultacji ze wszystkimi zainteresowanymi środowiskami, to samo się nie wprowadzi. Widzę potrzebę wdrożenia natychmiastowych działań w tym kierunku. Choć nie jestem specjalnie przekonany, czy obecne Ministerstwo Klimatu i Środowiska jest skłonne i zdolne do tego, by to zrobić – uzupełnia Robert Telus. – Ten ważny system jest obecnie nieprzygotowany do wdrożenia. Ubolewam nad tym, bo ministrowie zamiast zająć się tą sprawą, zajmują się na przykład walką ze środowiskiem myśliwych, leśników czy rolników, a nie tym, co jest obecnie najważniejsze – dodaje.

Projektowany kształt systemu

Według Ministerstwa Klimatu i Środowiska, mający zacząć działać w całym kraju już od 1 października system kaucyjny ma objąć opakowania po napojach oznakowane ujednoliconym systemem. Jak dalej objaśnia MKiŚ, chodzi o specjalnie oznakowane butelki i inne opakowania z tworzyw sztucznych o pojemności do 3 litrów (typu PET); puszki po napojach do 1 litra oraz szklane butelki zwrotne do 1,5 litra.

Opakowania te będzie można zwracać do sklepów dużych, o powierzchni powyżej 200 m² – szklane butelki, puszki i PET. Zaś do sklepów mniejszych, o pow. do 200 m² – obowiązkowo: szklane butelki zwrotne, a dobrowolnie: puszki i opakowania PET. W sklepach mają stanąć w tym celu specjalne automaty – recyklomaty.

System ma objąć:

- producentów opakowań – mają oni odpowiadać za oznakowanie opakowań, rejestrowanie ich w systemie oraz współpracę z jednym z 7 operatorów kaucyjnych (lista poniżej). Wspierają również odzysk i ponowne wykorzystanie opakowań szklanych;
- producentów – odpowiadają oni za oznakowanie opakowań, rejestrowanie ich w systemie oraz współpracę z operatorem kaucyjnym;
- dystrybutorów/hurtownie – odgrywają kluczową rolę w logistyce przepływu napojów i pustych opakowań – zarówno do sklepów, jak i z powrotem do systemu. Współpracują z punktami zbiórki, by usprawnić transport i magazynowanie;
- sieci handlowe – zarówno większe, jak i mniejsze sieci handlowe mogą uczestniczyć w systemie. Odpowiadają za zbieranie opakowań od konsumentów, informowanie klientów oraz wdrażanie automatów lub systemów ręcznych;
- sklepy detaliczne – mają przyjmować zwracane opakowania i wypłacać kaucję. W zależności od wielkości sklepu, mogą być do tego zobowiązane (większe, o pow. powyżej 200 m²) lub uczestniczyć dobrowolnie (mniejsze).

Na opakowaniach znajdą się oznakowania określające przynależność do systemu i wysokość kaucji. Kaucja wyniesie 50 gr na butelki PET i puszki metalowe oraz 1 zł na butelki szklane wielokrotnego użytku. Będzie ona pobierana w momencie zakupu napojów w opakowaniach objętych systemem. Za pobranie kaucji będą odpowiedzialne wszystkie punkty handlowe i sprzedające takie produkty. Odzyskamy ją przy zwrocie opakowania do punktu zbiórki.

Siedmiu operatorów systemu kaucyjnego zatwierdzonych przez MKiŚ to: Zwrotka SA; Polka SA; OK Operator Kaucyjny SA; EKO-Operator SA; Reselekt SA; Kaucja SA; Polski System Kaucyjny SA.

Nie ma umów między sklepami a operatorami

Jak zaznaczyła rzecznik MŚP Agnieszka Majewska, wiele uwag i obaw przedsiębiorców budzi logistyka i obieg opakowań w systemie. „Nie ustalono ciągle treści umów między dziesiątkami tysięcy jednostek handlowych a siedmioma operatorami systemu kaucyjnego. Nie wiadomo, jak w praktyce przebiegać ma zbiórka opakowań. Istnieje poważne zagrożenie, że do 1 października nie uda się zawrzeć umów między wszystkimi podmiotami. Mylący może być także przekaz medialny MKiŚ informujący, że do systemu nie muszą przystępować sklepy o powierzchni nie większej niż 200 m² – podczas gdy w rzeczywistości są one zobligowane do prowadzenia zbiórki opakowań szklanych wielokrotnego użytku o pojemności do 1,5 litra oraz do pobierania kaucji za opakowania PET i puszki, co oznacza, że również małe jednostki handlowe muszą zawrzeć umowy z operatorami systemu i być przygotowane do jego uruchomienia".

Ponadto – podkreśla rzecznik MŚP – konstrukcja systemu kaucyjnego może przyczyniać się do uprzywilejowania największych podmiotów handlu, dysponujących odpowiednimi zasobami finansowymi i organizacyjnymi. Dysproporcja ta może prowadzić do dalszego odpływu klientów do największych sieci handlowych i mieć negatywne konsekwencje dla gospodarki kraju.

To rząd musi podjąć działania w zakresie precyzyjnej legislacji

Jak przypomniał w rozmowie z „GP" pos. Paweł Sałek (PiS), były doradca prezydenta Andrzeja Dudy ds. środowiska i polityki klimatycznej, system kaucyjny wynika z konieczności przestrzegania wymagań prawa UE. – Co przy tym ciekawe, system ten nawiązuje do kaucji znanych nam z dawnych czasów, związanych z obowiązkiem oddawania do punktów skupu butelek po mleku, makulatury (czy szerzej: surowców wtórnych). Obecnie jednak narastają duże obawy, czy cały ten system będzie dobrze funkcjonować od strony praktycznej. Choćby dlatego, że nowe rozwiązania nakładają na przedsiębiorców kolejne zobowiązania, kolejne działania, wydatki i opłaty. Oczywiście można założyć, że początkowo system ten będzie raczkujący, przechodząc – mówiąc żartobliwie – „choroby wieku dziecięcego". Niemniej jednak oznacza kolejne zobowiązania, które będą dotykały zarówno klientów, operatorów – odbierających oddawane przez klientów opakowania, jak i podmioty – placówki handlowe, które będą musiały ten system realizować. W pierwszej kolejności to rząd musi podjąć działania w zakresie precyzyjnej legislacji i zorganizowania całego aparatu konsultacji społecznych – wyjaśnia poseł.

– Jednym z naszych głównych postulatów było przesunięcie terminu wdrożenia nowego systemu, bo do jego realizacji wciąż przedsiębiorcy nie są gotowi – dodaje Cezary Kaźmierczak, prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców. – Także duży biznes nie jest gotowy. Krótko mówiąc, czeka nas gigantyczny chaos. A w najciemniejszym scenariuszu trzeba się będzie z tego systemu wycofać. O ile jeszcze dochodziło na jego temat do naszych rozmów z poprzednimi władzami resortu klimatu i środowiska, o tyle teraz nie ma już żadnych rozmów. Po prostu ci, którzy się obecnie tym zajmują, uważają, że wiedzą wszystko najlepiej, mimo że większość z nich nigdy nie pracowała w żadnym przedsiębiorstwie. Większość rzeczy, które przeprowadzają w tym zakresie, to chciejstwo – nie kryje obaw prezes ZPP. **GP**



GOSPODARCZY FLASH

NOWE WYMOGI UE WYZWANIEM DLA BRANŻY TRANSPORTOWEJ

Polskie firmy transportu drogowego muszą dostosować się do nowych regulacji UE. Według informacji serwisu WEI Globalnie (za: businessinsider.com.pl) zgodnie z nowymi przepisami wszystkie pojazdy realizujące międzynarodowe przewozy towarów powinny być wyposażone w tachografy II generacji (G2V2) do 18 sierpnia bieżącego roku. Jednak według danych firmy Inelo aż 25 proc. polskich ciężarówek nadal nie spełnia nowych wymagań. Eksperci branżowi ostrzegają, że odkładanie modernizacji na ostatnią chwilę może prowadzić do poważnych konsekwencji.



MIESZKAŃCY KRAKOWA O PRZYSZŁOŚCI FAJERWERKÓW

Władze Krakowa prowadzą konsultacje społeczne w sprawie używania fajerwerków. Stowarzyszenie Importerów i Dystrybutorów Pirotechniki uważa, że taki dialog jest potrzebny, a poznanie zdania mieszkańców jest bardzo wskazane. Jednocześnie przypomina, że pirotechnika ma w Krakowie długą i symboliczną historię, którą warto zachować. Według danych panelu badawczego Ariadna większość mieszkańców Krakowa i Małopolski jest przeciw całkowitemu zakazowi używania fajerwerków. Największe poparcie wśród respondentów zyskują jedynie ograniczenia czasowe i przestrzenne.

FOT. YOUTUBE, FACEBOOK

www.prenumerata.swsmedia.pl

FORUM EKONOMICZNE

Główny Partner

DOLNY ŚLĄSK

XXXIV FORUM EKONOMICZNE

2-4 września
2025

Hotel Gołębiewski
Karpacz



CZAS TRANSFORMACJI
-jaka będzie Europa przyszłości?

3 dni
konferencji

500+
debat

6000+
gości

160 partnerów
biznesowych

ZAREJESTRUJ SIĘ
www.forum-ekonomiczne.pl

KLUBY GAZETY POLSKIEJ

105. rocznica Bitwy Warszawskiej – pamięć, modlitwa i duma

W całym kraju i poza jego granicami Kluby „Gazety Polskiej" uczciły 105. rocznicę zwycięskiej Bitwy Warszawskiej, jednego z najważniejszych momentów w historii Polski i Europy.



Klub „Gazety Polskiej" w Pabianicach zorganizował 11. edycję Festynu Patriotyczno-Rodzinnego.

Obchody Święta Wojska Polskiego, łączące się z uroczystościami Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, przybrały różnorodne formy: od oficjalnych ceremonii państwowych i lokalnych, przez festyny rodzinne, aż po osobiste gesty pamięci przy pomnikach poległych. Niezmiennie łączyły je duma z polskiej historii, oddanie żołnierzom i wierność wartościom: Bóg, Honor, Ojczyzna.

PABIANICE | Klub „Gazety Polskiej" w Pabianicach, pod przewodnictwem przewodniczącego Karola Jabłońskiego, zorganizował 11. już edycję Festynu Patriotyczno-Rodzinnego. Jak mówi Karol Jabłoński: – W czasach, kiedy w Polsce obowiązywała pedagogika wstydu, a co światlejsi prześcigali się w krytykowaniu świętujących ważne dla Polski rocznice, zrobiliśmy w Pabianicach festyn. Wybraliśmy sobie 15 sierpnia, dzień wielkiej chwały oręża polskiego, zwycięstwa nad bolszewikami z 1920 roku. Dzień będący dzisiaj świętem Wojska Polskiego i świętem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. To była nasza odpowiedź dla tych „intelektualistów" mówiących z przekąsem: „Co oni robią, co oni świętują? Skończeni idioci, upamiętniają nasze klęski!". Chcieliśmy pokazać, że w naszej historii, historii Polski, były dni wielkie, warte corocznego przypominania. I tak od 2015 roku Klub „Gazety Polskiej" Pabianice, organizuje 15 sierpnia Festyn Patriotyczno-Rodzinny – wyjaśnia działacz. Pomimo upalnej pogody, mieszkańcy i goście licznie zgromadzili się, by wspólnie świętować dzień zwycięstwa nad bolszewikami oraz Wniebowzięcie NMP. Wśród atrakcji znalazły się koncerty pieśni wojskowych i maryjnych, pomiary ciśnienia i cukru, strzelnica, trampoliny, a także domowe jedzenie. Na zakończenie wszyscy razem odśpiewali patriotyczne pieśni. W wydarzeniu uczestniczyły również zaprzyjaźnione Kluby „Gazety Polskiej" z Łodzi i Mierzączki Dużej.

GLIWICE | Na zaproszenie Dowódcy Garnizonu Gliwice w obchodach Święta Wojska Polskiego uczestniczyli strzelcy Rzeczypospolitej oraz gliwicki Klub „Gazety Polskiej". Uroczystość rozpoczęto mszą świętą w kościele garnizonowym. Następnie przemaszerowano pod pomnik Marszałka na capstrzyk pamięci. Po apelu pamięci przedstawiciele władz państwowych, samorządowych i wojskowych oraz strzelcy i klubowicze „Gazety Polskiej" złożyli wiązanki kwiatów.

OSLO (Norwegia) | Klubowicze „Gazety Polskiej" w Oslo przed 15 sierpnia zwyczajowo odświeżyli pomnik poległych w Norwegii w czasie wojny Polaków, wśród których było 10 oficerów i członków załogi samolotu Halifax, lecącego z misją wojskową z Londynu do Polski. Wszyscy oni zginęli w katastrofie samolotu nad terenem Norwegii. W dniu Święta Wojska Polskiego klubowicze złożyli kwiaty, zapalili znicze przy pomniku poległych żołnierzy oraz zawiesili biało-czerwoną flagę, następnie wieczorem uczestniczyli we Mszy świętej za ojczyznę w katedrze św. Olafa w Oslo.

DZIERŻONIÓW II | Klubowicze „Gazety Polskiej" Dzierżoniów II oddali hołd żołnierzom w rocznicę Bitwy Warszawskiej. Przed pomnikiem Losów Ojczyzny spotkali się radni PiS wraz z posłem na Sejm RP Grzegorzem Macko, członkowie Klubu „Gazety Polskiej" Dzierżoniów II, ORP, Ruchu Społecznego im. Lecha Kaczyńskiego, środowisk patriotycznych oraz Ruchu Narodowego Konfederacja w Dzierżoniowie, aby uczcić pamięć żołnierzy, którzy walczyli i zatrzymali rewolucję bolszewicką zmierzającą do serca Europy. Apel rozpoczęto wystąpieniem Jarosława Kresy, który przypomniał genezę i przebieg bitwy o Warszawę. Po czym nastąpiło zapalenie zniczy, złożenie wiązanek, modlitwa za zmarłych i ojczyznę.

RAWA MAZOWIECKA II | W dzień Święta Wojska Polskiego i rocznicy zwycięskiej Bitwy Warszawskiej 1920 roku klubowicze „Gazety Polskiej" Rawa Mazowiecka II wzięli udział w uroczystościach upamiętniających bohaterstwo polskich żołnierzy. Złożono kwiaty, oddając cześć tym, którzy bronili ojczyzny i zapisali się złotymi zgłoskami w historii Polski.

TOMASZÓW MAZOWIECKI II | Członkowie Klubu „Gazety Polskiej" Tomaszów Mazowiecki II udali się do Sanktuarium

FOT. ARCH.



– Wotum wdzięczności za rok 1920 do miasta Radzymin i wzięli tam udział w uroczystościach 105. rocznicy Cudu nad Wisłą.

MIECHÓW | Klub „Gazety Polskiej” w Miechowie, na czele z przewodniczącym Patrykiem Natkańcem, wziął udział w obchodach Święta Wojska Polskiego w Miechowie. Delegacja Klubu „Gazety Polskiej” złożyła wiązankę kwiatów pod pomnikiem Orła na rynku w Miechowie.

SKIERNIEWICE | Tradycyjnie w kościele garnizonowym oraz na placu św. Jana Pawła II odbyły się uroczystości z okazji Święta Wojska Polskiego, w których uczestniczyli klubowicze „Gazety Polskiej” Skierniewice. Po uroczystej mszy świętej w intencji ojczyzny delegacje złożyły kwiaty pod Pomnikiem Niepodległości.

SUWAŁKI | Klubowicze „Gazety Polskiej” Myśli Patriotycznej w Suwałkach wzięli udział w obchodach 105. rocznicy Bitwy Warszawskiej. Najpierw wywiesili biało-czerwoną flagę z godłem Polski. Następnie po mszy świętej w związku ze Świętem Wniebowzięcia NMP, zapalono biało-czerwone znicze z patriotycznym logo: Bóg Honor Ojczyzna Klub „Gazety Polskiej” Myśli Patriotycznej w Suwałkach, Strefa Wolnego Słowa, pod pomnikiem głównego ojca zwycięstwa marszałka Józefa Piłsudskiego.

RYPIN | Klubowicze „Gazety Polskiej” Rypin po mszy świętej w kościele św. Stanisława Kostki złożyli wiązankę kwiatów pod pomnikiem marszałka Józefa Piłsudskiego, aby uczcić 105. rocznicę Bitwy Warszawskiej.

NOWY SĄCZ | W Nowym Sączu obchody Święta Wojska Polskiego przy licznym udziale nowosądeckiego Klubu „Gazety Polskiej” im. Jana Olszewskiego z przewodniczącym Tomaszem Baliczkiem na czele rozpoczęły się od mszy świętej w intencji ojczyzny w kościele pw. św. Kazimierza. Po nabożeństwie przemaszerowano w patriotycznym pochodzie pod pomnik marszałka Józefa Piłsudskiego, gdzie odbyły się uroczystości z udziałem pocztów sztandarowych, kombatantów, żołnierzy, samorządowców i mieszkańców miasta. W tle powiewały biało-czerwone flagi, przypominając, że wolność to nie prezent, tylko wywalczone i utrzymane dobro, które wymaga naszej troski.

CZĘSTOCHOWA | Na Jasnej Górze, po uroczystym Apelu Jasnogórskim, podczas którego polscy żołnierze zostali zawierzeni Matce Bożej, odbyły się główne uroczystości z okazji Święta Wojska Polskiego. W wydarzeniu wzięli udział biskup polowy Wojska Polskiego Wiesław Lechowicz oraz szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, prof. Sławomir Cenckiewicz. Obecni byli również członkowie Klubu „Gazety Polskiej” z Częstochowy, którzy swoją obecnością oddali hołd polskim żołnierzom i wyrazili przywiązanie do narodowych wartości.

OLSZTYN | Członkowie Klubu „Gazety Polskiej” w Olsztynie zorganizowali obchody upamiętniające rocznicę Bitwy Warszawskiej, znanej również jako Cud nad Wisłą. W spotkaniu uczestniczył Andrzej Matyszkiewicz, którego dziadek, śp. Edward Matyszkiewicz, był bezpośrednio związany z tamtym okresem. Urodzony w 1901 roku w Warszawie, wstąpił do wojska już w 1918 roku, służąc w artylerii. W ramach uroczystości uczestnicy złożyli kwiaty i zapalili znicze, oddając hołd bohaterom, którzy walczyli o wolność Polski. **GP**

ZAPROSZENIA klubowe

BIAŁYSTOK-CENTRUM – uroczystości związane z upamiętnieniem 79. rocznicy zamordowania Danuty Siedzikówny „Inki”: 28 sierpnia (czwartek), g. 17, kościół pw. Zwiastowania NMP w Białymstoku, ul. Chetnika 80. Po mszy św. o g. 18.30 uroczystości pod pomnikiem „Inki” na Plantach.

PERTH (Australia) – obchody 45. rocznicy powstania Solidarności, 7 września (niedziela): g. 9.30 msza św., g. 10.30 film „Żeby nie było śladów”, wystawy IPN „Przełom. Sierpień 1980 i Solidarność” w jęz. polskim i angielskim, Maylands, 35 Eighth avenue.

TORONTO GTA (KANADA) – spotkanie otwarte z gośćmi (łączenie online): posłem do Parlamentu Europejskiego, Arkadiuszem Mularczykiem oraz koordynatorem zagranicznych Klubów „Gazety Polskiej” Pawłem Piekarczykiem: 7 września 2025 (niedziela), g. 2 pm (projekcja filmu), g 2.30 pm (spotkanie), Polskie Centrum Kultury im. Jana Pawła II, Mississauga, Kanada.

BYTOM – spotkanie otwarte oraz koncert. Gośćmi będą publicyści Telewizji Republika – Jakub Maciejewski, Anna Zyzek oraz bard Strefy Wolnego Słowa Paweł Piekarczyk: 8 września 2025 (poniedziałek), g. 18.00, restauracja W Starym Kinie, ul. Alojzjanów 27, Bytom.

ALEKSANDRÓW ŁÓDZKI – spotkanie otwarte z dziennikarzem śledczym TV Republika Piotrem Nisztorem: 9 września 2025 (wtorek), g. 18.00, hotel i restauracja Pelikan, ul. Wierzbińska 58, Aleksandrów Łódzki.

Kontakt dla osób, które chcą założyć klub „GP”

Tomasz Sakiewicz
REDAKTOR NACZELNY „GP”

Ewa Wójcik
PREZES KLUBÓW „GP”

Biuro Klubów „GP”: ul. Bracka 15, I piętro, 31-005 Kraków,
e-mail: klubygp@gazetapolska.pl, tel. (12) 422 03 08, 505 038 217, 609 447 449



Tomasz
Panfil

DO SZARŻY MARSZ, MARSZ...

KAWALERIA POLSKA WE WRZEŚNIU 1939 ROKU

Obywatele II Rzeczypospolitej zachwycali się maestrią lotników, kochali marynarzy za ich wolę obrony polskiego morza, podziwiali odwagę czołgistów. Lecz najcieplejsze uczucia rezerwowali dla kawalerii. Bo przecież to polska jazda pisała rozdziały chwały polskiego oręża: niszczyła przeważające siły Szwedów pod Kircholmem, rozbijała zastępy Turków pod Wiedniem, w 400 jeźdźców zwyciężała czterdziestotysięczny czambuł Tatarów pod Hodowem, szarżowała pod Somosierrą, a w Olszynce Grochowskiej powstrzymywała rosyjską piechotę. W czasie Wielkiej Wojny polscy ułani przebijali się przez potrójne linie okopów pod Rokitną, a pod Krechowcami rozsiekali szablami zasieki z drutu kolczastego, by wyciąć schowanych w okopach piechurów niemieckich i austro-węgierskich. W wojnie z idącymi na podbój Europy bolszewikami to polscy jeźdźcy pod Komarowem, w największej bitwie kawaleryjskiej XX wieku, rozbili w proch i pył niepokonaną dotychczas Konarmię Siemiona Budionnego.

We wrześniu 1939 roku Wojsko Polskie dysponowało 11 brygadami kawalerii, liczącymi 37 pułków, w tym 8 pułków strzelców konnych, 3 pułki szwoleżerów i 26 pułków ułanów. Pułk kawalerii liczył 850 żołnierzy i składał się z pocztu dowódcy pułku, 4 szwadronów liniowych, szwadronu ciężkich karabinów maszynowych, plutonu łączności, plutonu pionierów, plutonu kolarzy, plutonu armatek przeciwpancernych oraz jednostek logistycznych. Na szczeblu brygady kawalerii stan bojowy uzupełniały jeszcze dywizjon artylerii konnej, dywizjon pancerny, pluton armat 40 mm oraz batalion strzelców pieszych. Kawaleria polska, licząca półtora tysiąca oficerów oraz 34 tysiące podoficerów i uła-



FOT. ARCH.

nów, stanowiła zaledwie 8 proc. polskich sił zbrojnych. Lecz to w niej najbardziej uosabiała się tradycja najwspanialszego wojska na świecie. Tradycji tej kawaleria polska okazała się w pełni godna jesienią 1939 roku, nadziejom jednak, mimo wszelkich wysiłków i starań, sprostać nie była w stanie.

Przyszła wojna

Taki tytuł nosiła prorocza wręcz książka generała Władysława Sikorskiego. „Przyszła wojna. Jej możliwości i charakter oraz związane z nim zagadnienia obrony kraju" ukazała się w 1934 roku. Generał prognozował, że już w niedalekiej przyszłości armie się zmotoryzują, a jednocześnie sądził, że kawaleria wciąż będzie miała do odegrania ważną rolę: „Szwadrony konne przystosowują się wciąż najłatwiej do bezdrożnego terenu i są zdolne do szybkiego angażowania się w bitwę regularną. Mogą one najdokładniej przeszukiwać zakryte obszary i podejmować skutecznie tzw. działania opóźniające". Przewagę kawalerii dawać mogła pogoda, bowiem w latach 30. techniczne środki prowadzenia nowoczesnej wojny wciąż jeszcze były bardzo podatne na zjawiska klimatyczne. Niestety, we wrześniu 1939 roku niemieckim najeźdźcom pogoda sprzyjała, bezchmurne niebo szybko opanowały maszyny z czarnymi krzyżami na skrzydłach, suche trakty i płytkie rzeki nie były przeszkodami nawet dla najcięższych czołgów.

Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię, najeźdźco,
a droga, którą Jaś i Małgosia dreptali do szkoły,
nie rozstąpi się w przepaść.

Rzeki nazbyt leniwe, nieskore do potopów,
rycerze śpiący w górach będą spali dalej,
więc łatwo wejdziesz, nieproszony gościu.

Gdy rycerze spali pod Giewontem, Ojczyzny próbowali bronić bezsenni ułani, maszerujący nocami, walczący dniami.

Lance na armaty

Już dawno minął czas, o którym pisał Wincenty Pol w swej słynnej pieśni „Niemasz pana nad ułana, a nad lancę niemasz broni". Wspomnieniem o starciach z czerwoną jazdą w czasie wojny 1920 roku była też znana „Piosenka Strzelców Konnych" Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego:

To rozkosz jest, o której strzelec tylko marzy
I głębszy wstrząs niż pocałunków szał,
Kiedy sto lanc pochyli się do szarży
I na „Marsz! Marsz!" szwadrony ruszą w cwał...

W 1939 roku lance najczęściej spoczywały bezczynnie w wozach taborowych. Główną bronią polskich ułanów, szwoleżerów i strzelców konnych były karabinki, rusznice przeciwpancerne i doskonałe armatki Boforsa. To walcząca w szyku pieszym polska kawaleria (konie służyły do przemieszczania się) zniszczyła w 1939 roku jedną trzecią straconych przez Niemców czołgów – dzięki będącej na jej wyposażeniu broni przeciwpancernej,

Sztukę walki polskiej kawalerii zademonstrowała Niemcom już 1 września Wołyńska Brygada Kawalerii dowodzona przez płk. dypl. Juliana Filipowicza, wspierana przez pociąg pancerny „Śmiały". Walcząc od świtu Brygada powstrzymała pięć uderzeń niemieckich czołgów. Gdy wieczorem ułani i strzelcy konni przechodzili na drugą linię obrony, na polach koło wsi Mokra zalegało ponad 100 rozbitych pojazdów pancernych wroga.

Taktykę walki w szyku pieszym z użyciem broni przeciwpancernej świetnie zademonstrował 1. Pułk Ułanów Krechowieckich: najpierw 11 września pod Choromanami i dwa dni później pod Długoborzem. W tym drugim starciu ułani szczelnie zaryglowali szosę Zambrów–Czyżew, ogniem armatek Bofors niszcząc w ciągu godziny blisko 20 czołgów, ciężarówek i innych pojazdów Wehrmachtu. Gdyby nie splot nieszczęśliwych wypadków i śmierć dowódcy ppłk. Jana Litewskiego, straty niemieckie byłyby jeszcze większe.

Wspomnieć należy również o największej bitwie stoczonej z Armią Czerwoną. W nocy z 22 na 23 września to polscy ułani walczyli we wsi Kodziowce z siłami 15. korpusu zmechanizowanego komdiwa Michaiła Pietrowa. I chociaż 101. rezerwowy pułk ułanów dysponował tylko improwizowaną bronią przeciwpancerną, ułani w całonocnym boju zniszczyli 22 sowieckie czołgi.

Szarże mimowolne i umyślne

W trakcie walk wrześniowych kilkakrotnie zdarzyło się, że jednostki jazdy polskiej działając w szyku konnym „zderzały się" niespodziewanie z siłami wroga. 1 września 21. Pułk Ułanów Nadwiślańskich wjechał niespodziewanie w kolumnę pancerną niemieckiego 35. pułku. Ułani tylko przebili się przez wroga, nikt nie wyciągał szabli, zaskoczeni Niemcy nie strzelali.

Polscy kawalerzyści dwa razy szarżowali na Niemców z premedytacją. 1 września pod Krojantami, nieopodal pomorskich Chojnic, dywizjon 18. Pułku Ułanów Pomorskich uderzył na biwakujący batalion ze składu zmotoryzowanej 20. DP. Szarża po przejściu przez biwakujących grenadierów załamała się w ogniu karabinów maszynowych niemieckich transporterów,

poległo 25 ułanów, wśród nich dowódca pułku płk Kazimierz Mastalerz. Wedle dowodzącego 2. szwadronem rotmistrza Jana Ładosia, w szarży brało udział nieco ponad 300 ułanów i „około dwóch Niemców każda szabla miała na rozkładzie. Nie było ułana, którego szabla nie byłaby zbroczona krwią nieprzyjaciela". Szarża osiągnęła efekt niezwykły: wstrzymała na cały dzień aż dwie niemieckie dywizje piechoty. Gen. Guderian zapisał: „Zmotoryzowana dywizja piechoty zameldowała o północy, że naciskana przez polską kawalerię zmuszona jest cofać się. (...) W pierwszej chwili po prostu oniemiałem, potem jednak wziąłem się w garść i zapytałem dowódcę dywizji, czy słyszał kiedykolwiek o tym, aby pomorscy grenadierzy uciekali przed nieprzyjacielską kawalerią…". Zanim Niemcy otrząsnęli się z przerażenia, oddziały Zgrupowania „Chojnice" wycofały się za rzekę Brdę.

Druga szarża – ostatnia w dziejach Wojska Polskiego szarża całego pułku kawalerii – miała miejsce 19 września koło Wólki Węglowej. Atakował 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich, walczący w składzie Grupy Operacyjnej Kawalerii generała Romana Abrahama i przebijający się do Warszawy. Ułani Jazłowieccy w ogniu broni maszynowej i dział ponieśli wprawdzie wysokie straty, jednak wyrąbali w pozycjach niemieckiej 1. Dywizji Lekkiej przejście do broniącej się Warszawy. Z emfazą południowca opisał tę szarżę włoski korespondent wojenny Mario Appelino: „Nagle bohaterski zespół kawalerzystów w sile około paruset koni wyłonił się w galopie z zarośli. Nacierali oni, mając w środku rozwinięty sztandar. Tak piękna była ta ostatnia ofiara, że wszystkie niemieckie karabiny maszynowe umilkły, a tylko działa strzelały. Ich ogień stworzył zaporę ogniową na przestrzeni 300 metrów przed liniami niemieckimi. Polscy kawalerzyści nacierali całym pędem, jak na średniowiecznych obrazkach! Na czele wszystkich galopował dowódca z podniesioną szablą. Widać było, jak malała odległość pomiędzy grupą polskich kawalerzystów a ścianą niemieckiego ognia. Szaleństwem było kontynuować tę szarżę na spotkanie śmierci! A jednak Polacy przeszli!". Dopiero po wojnie Appelino przyznał się, że widział niewiele i zmyślił większość relacji gwoli zadowolenia czytelników. Bardziej rzeczowo przedstawił szarżę dowódca GOK generał Roman Abraham: „Na czele cwałuje 3. szwadron porucznika Mariana Walickiego, bohatera dnia, który w tym starciu pada śmiertelnie ranny. Za nim na stanowiska niemieckie wypadają dalsze szwadrony – rąbiąc i tratując stawiających opór Niemców, którzy zaskoczeni nie wytrzymują szarży, porzucają stanowiska, chroniąc się wśród zabudowań. (…) Deszcz pocisków rwie w strzępy ludzi i konie, nie zdołał jednak zatrzymać ułanów, którzy wraz z symbolem swej chwały i ofiary – sztandarem pułku – przebijają się przez rygle stanowisk oraz czołgów i baterii niemieckich. Szarża trwała 18 minut. 14. Pułk Ułanów Jazłowieckich – dzięki męstwu wszystkich ułanów – jako pierwszy oddział Armii »Poznań« osiągnął Warszawę. Pułkownik Edward Godlewski i porucznik Marian Walicki zapisali piękną kartę w historii polskiej kawalerii. Nocą z 19 na 20 września 1939 roku Grupa Operacyjna Kawalerii, wraz ze wszystkimi oddziałami swojej artylerii, przebiła się prawie bez dalszych strat do stolicy – w gotowości do dalszej walki".

Sztukę walki polskiej kawalerii zademonstrowała Niemcom już 1 września Wołyńska Brygada Kawalerii, dowodzona przez płk. dypl. Juliana Filipowicza, wspierana przez pociąg pancerny „Śmiały".

Jedyne kawaleryjskie starcie polskich ułanów z jeźdźcami niemieckimi zdarzyło się 23 września koło Krasnobrodu: tam szwadron 25. Pułku Ułanów Wielkopolskich natknął się na niemiecki pododdział rozpoznawczy. Polacy atakowali w niekorzystnej pozycji, w górę po zboczu wzgórza, jednak ich nieporównanie lepsze wyszkolenie w walce na broń białą przyniosło efekt, zamigotały szable „sztuką krzyżową", niemieccy kawalerzyści zaczęli spadać z koni. Gdy ścięty został nieprzyjacielski dowódca, Niemcy rzucili się do ucieczki. Niestety, gdy polski szwadron ruszył w pościg, dostał się pod ogień broni maszynowej od strony nierozpoznanego wcześniej lasu i stracił 50 proc. stanu wyjściowego.

Fałszywe mity i czarne legendy

Opowieści o ułanach atakujących lancami i szablami czołgi są czarną legendą stworzoną przez Niemców, w celu ukazania armii polskiej jako wojska niepoważnego, a ukochanych przez Polaków kawalerzystów – jako oderwanych od rzeczywistości szaleńców. Hitlerowski mit o „tępych" ułanach podtrzymywały ochoczo komunistyczne władze PRL-u. To wówczas czarną legendę polskiej kawalerii jeszcze mocniej nasycono barwą i utrwalono – nie tylko w historiografii marksistowskiej, lecz także w publicystyce i twórczości. Andrzej Wajda gwoli zadowolenia czerwonych patronów ówczesnego kina, wprowadził do swego filmu „Lotna" scenę, której nie było w literackim pierwowzorze Żukrowskiego: polski ułan w nonsensownym geście uderza szablą w lufę niemieckiego czołgu. Szabla pęka, tak jak marzenie o mocarstwowej Polsce.

Wroga Polsce propaganda stale stara się podważać godnościowe fundamenty polskiej tradycji i dumy, wielkie czyny polskiego żołnierza nazywając głupotą – jak Powstanie Warszawskie – czy (jak niedawno działania w obronie granicy z Białorusią) okrucieństwem. Przy tych – niestety licznych – okazjach przypominajmy sobie konstatację Gilberta K. Chestertona: „Doszedłem mianowicie do niezawodnego wniosku, że nieprzyjaciele Polski są prawie zawsze nieprzyjaciółmi wielkoduszności i męstwa. Ilekroć zdarzyło mi się spotkać osobnika o niewolniczej duszy, uprawiającego lichwę i kult terroru, grzęznącego przy tym w bagnie materialistycznej polityki, tylekroć odkrywałem w tym osobniku, obok powyższych właściwości, namiętną nienawiść do Polski". **GP**

FELIETON

{ PRZESZŁOŚĆ POWRÓCI IDEĄ }

DOGADYWAĆ SIĘ Z PUTINEM



Tadeusz **Płużański**

26 sierpnia 1943 roku pierwszy polski oddział partyzancki Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej ppor. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica" został podstępnie rozbity nad jeziorem Narocz przez sowieckich dywersantów. Podstępnie, bo wcześniej sowieci udawali współpracę w walce ze wspólnym wrogiem – Niemcami. Sowieci zamordowali „Kmicica" i około 80 polskich niepodległościowców. Taki był efekt gwarancji bezpieczeństwa ze strony Stalina. Antoni Burzyński, urodzony w 1911 roku w Wilnie, przedwojenny oficer Wojska Polskiego, od 1943 roku stacjonował w rejonie jeziora Narocz ze swoim oddziałem – w sile około 200–300 ludzi. W akcjach przeciwko Niemcom współpracował z sowieckimi dywersantami z grupy Fiodora Markowa. Rozkaz wymordowania polskich żołnierzy przyszedł z sowieckiego sztabu partyzanckiego – Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii (bolszewików) Białorusi. Sowieci nie życzyli sobie polskiego wojska na polskich Kresach. Do likwidacji oddziału „Kmicica" wyznaczono oddział Markowa. 26 sierpnia 1943 roku Antoni Burzyński został zwabiony wraz z obstawą do sowieckiego obozu pod pretekstem omówienia wspólnej akcji przeciwko Niemcom. Z wyprawy już nie wrócili, zostali bestialsko zamordowani. Sowieci otoczyli następnie obóz „Kmicica", a żołnierzy rozstrzelali lub siłą wcielili do swoich formacji. Niektórym udało się uciec. Niewiele brakowało, aby los „Kmicica" i jego żołnierzy podzielił Zygmunt Szendzielarz. Kiedy „Łupaszko" podążał do partyzantów, dotarła do niego wiadomość o wymordowaniu części oddziału Antoniego Burzyńskiego. Z resztek oddziału „Kmicica" sowieci utworzyli oddział partyzantki „ludowej" im. Bartosza Głowackiego, pod sowieckim dowództwem. Już wtedy ćwiczyli scenariusze Polski „lubelskiej". Ten oddział się rozpadł, a Szendzielarz zbudował z ocalonych partyzantów „Kmicica" 5. Wileńską Brygadę AK, która stanie się Brygadą Śmierci – jako doświadczona śmiertelnie przez sowietów będzie im zadawać zabójcze ciosy. Ta historia to też memento dla tych wszystkich, którzy chcą dziś dogadywać się z następcą ruskiego najeźdźcy Józefa Stalina – Władimirem Putinem. **GP**

FELIETON

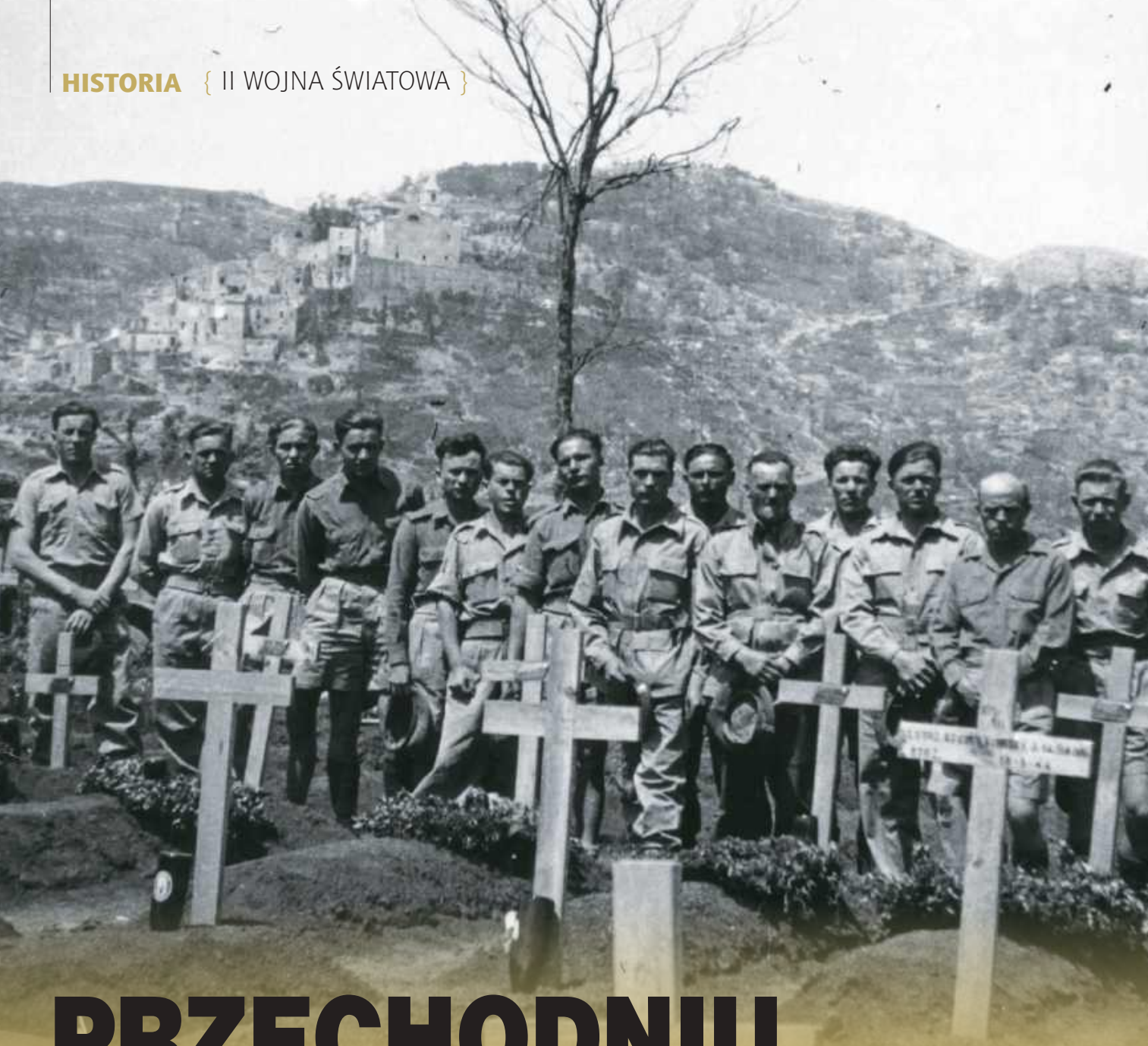
{ PLAGI AKADEMICKIE }

NIEUCZCIWOŚĆ NIEPOŻĄDANA?



Józef **Wieczorek**

Przez lata w domenie akademickiej nieuczciwość bywała trampoliną do kariery, a aprobata nikczemnych praktyk – regułą. Walczący z nieuczciwością często byli eliminowani z domeny. Doszliśmy do takiego punktu, że szkody powodowane przez nieuczciwych naukowców zdają się przewyższać korzyści z uprawiania nauki. W każdym razie często jest tak, że jeśli się nie wyrzuci do kosza takich produktów, straty byłyby oczywiste. Coraz trudniej odróżnić, co jest prawdą, co fałszem, a naukowcy coraz rzadziej nad tym się zastanawiają. Jak wypełnią urzędnicze normy liczby i cytowalności ich prac, mogą się wywindować na szczyt dr(h)abiny akademickiej. Celem nauki nie są już odkrycia naukowe, które by przynosiły korzyści zarówno dla społeczeństwa, jak i dla naukowców (docelowo samofinansowanie nauki), ale pozycja w rankingach ilościowych. Jakość nie ma znaczenia, a na drodze do wskaźników ilościowych dynamika oszustw jest zatrważająca. Zgodnie z prawem, nadanych profesur nie można było jednak odbierać. Paleoprofesorowie (sprzed 2023 roku), nawet jak byli plagiatorami, mają prawa nabyte zarówno do tytułu, jak i oszukiwania. W gorszej sytuacji są neoprofesorowie, którym profesurę można już odebrać, ale nie ma baz danych w tej materii. Ministerstwo powołało kolejny zespół uczonych do walki z patologiami, ale tylko publikacyjnymi i tylko do końca tego roku! Zespół rekomenduje „zakaz pracy w uczelniach czy instytutach dla naukowych oszustów" i bezwzględne eliminowanie oszustów ze środowiska. Zespół nie ma jednak mocy decyzyjnej, a tylko doradczą, i może sobie dobrać kolejnych doradców, aby mu doradzali. Trudno traktować poważnie walkę z nieuczciwością, skoro w zespole są członkowie Rady Doskonałości Naukowej, która sama ma problemy z uczciwością i nie ma woli, aby zwalczać nieuczciwość swoich członków. Kiedy jeden z członków RDN zarzucił mi, że nie pouczyłem go, jak ma postępować, więc postąpił jak postąpił (nieuczciwie), to jako niedoskonały przedłożyłem temat Radzie Doskonałości. Reakcji nie było i nie zauważyłem, aby RDN weszła na drogę samodoskonalenia. Czy jest szansa, aby nieuczciwość była niepożądana? **GP**



PRZECHODNIU, POWIEDZ POLSCE...

W bitwie o Monte Cassino wzięło udział, w ramach kilku armii, ponad 20 narodów. Historycy obliczają liczbę żołnierzy, którzy bili się w tej najkrwawszej i najdłuższej bitwie frontu zachodniego, na 400 tysięcy. Poległych pochowano na wielu, położonych w okolicy Cassino, cmentarzach. Jednak tylko jeden z nich został zbudowany bezpośrednio przez żołnierzy – to cmentarz polski leżący blisko klasztoru i samego pola bitwy. 1 września obchodzimy równą, 80. rocznicę jego otwarcia.

80. ROCZNICA UTWORZENIA CMENTARZA POLSKIEGO POD MONTE CASSINO



Tomasz
Łysiak
SZEF DZIAŁU HISTORIA
albicla.com/TomaszLysiak

POLSKA SPRZEDANA

15 marca 1945 roku w Cassino odbywała się wielka uroczystość związana z odbudową miasta. Zaproszeni byli wszyscy, ale nie zaproszono Polaków, którzy w tym właśnie czasie odbudowywali tereny wokół miasta…

FOT. ARCH.

18 maja 1944 roku nad ruinami klasztoru załopotała polska flaga, znak zwycięstwa odniesionego przez Polaków po tygodniowym, ciężkim boju. Radio BBC już tego samego dnia poinformowało o tym cały świat, dodając ciekawe szczegóły, takie jak historię meldunku wysłanego z pola bitwy przez urodzonego w małopolskich Kętach porucznika Drabczyńskiego, który na kartce z bloczku meldunkowego napisał jedną literę – „V" jak „Victory" – po czym karteczkę z meldunkiem wysłał gołębiem pocztowym do generała Władysława Andersa.

Zwycięstwo pamięci

Zanim nad gruzami pojawiła się Biało-Czerwona, załopotał na wietrze proporczyk 12. Pułku Ułanów Podolskich, wywieszony przez patrol ppor. Kazimierza Gurbiela. W południe rozległ się hejnał zagrany przez plutonowego Emila Czecha. Jednak melodia ta mieszała się jeszcze z dalekimi odgłosami strzałów i wybuchów – bowiem ciągle gdzieniegdzie trwały walki. Bitwa o Monte Cassino była bitwą górską – rozgrywała się o wzgórza otaczające wzniesienie klasztorne: 593, Widmo, San Angelo czy 575. I właśnie o część z nich jeszcze bili się żołnierze Dywizji Kresowej. Już wtedy też zapadła decyzja o utworzeniu w Dolinie Śmierci cmentarza wojennego – generał Anders wiedział, że poległych trzeba nie tylko pochować, ale też zapewnić takie miejsce ich wiecznemu spoczynkowi, żeby po wiek wieków ich ofiara była świadectwem ich niezwykłej ofiarnej służby. Do dzisiaj, gdy turyści z całego świata przybywają do założonego w 529 roku klasztoru św. Benedykta i zwiedzają przepiękne opactwo, widzą z niektórych okien lub z tarasu zwanego rajem, polski cmentarz. Przewodnicy opowiadający o dziejach klasztoru wplatają więc w narrację historię o Polakach walczących o przełamanie linii Gustawa w maju 1944 roku. Każda taka opowieść, każda zasłuchana w nią grupa turystyczna – z Holandii, Szkocji, Stanów Zjednoczonych czy Japonii – to w jakiejś mierze kolejne małe zwycięstwo pamięci odniesione przez generała Andersa i jego żołnierzy, gdyż wiadomość o ich poświęceniu dociera raz za razem, dzień po dniu, do różnych ludzi z całego świata.

Góra Ofiarna

Jedna z dwóch Dolin Śmierci na terenie walk w rejonie masywu Monte Cassino to obniżenie terenu, które znajdowało się wewnątrz okręgu tworzonego przez wzgórza 593, 569, Grzbiet i Głowę Węża (znajduje się tam słynny Domek Doktora) oraz Colle Maiola, Colle d'Onofrio i samą górę klasztorną. To miejsce położone dosłownie pomiędzy samym klasztorem a wzgórzami 593 i 569, o które już od początku bitwy toczyły się najkrwawsze walki – zaś zbocza tych wzniesień i skał usiane były nieuprzątniętymi jeszcze trupami poległych żołnierzy ze wszystkich kolejnych natarć, licząc od stycznia, od kiedy bili się tu Amerykanie z 34. dywizji Red Bull. Monte Calvario – Góra Ofiarna – tak już w średniowieczu nazywano wzgórze 593, gdyż to na niej mnisi z klasztoru odprawiali wielkanocną drogę krzyżową. Ze skalistych zboczy tego szczytu spadały w dół ciała zabitych Niemców, Amerykanów, Hindusów, Brytyjczyków czy w końcu także Polaków. Polscy żołnierze wspominali, że gdy walczyli, czuć było potworny smród rozkładających się ciał. Odór powodował, że ciężko było oddychać, a roje much stanowiły dodatkową uciążliwość – to z tego powodu żołnierze owijali twarze i usta siatkami i szalikami (widać je na niektórych filmach i zdjęciach znajdujących się w archiwum Muzeum Sikorskiego w Londynie). Śmierć i cierpienie spowijały cały teren bitwy potwornym, dantejskim płaszczem…

Odór śmierci

Generał Władysław Anders zdawał sobie doskonale sprawę ze znaczenia pamięci i kwestii czegoś, co obecnie nazywamy „polityką historyczną". To z tego powodu w Sekcji Oświaty 2. Korpusu Polskiego zgromadził najlepsze pióra i najlepszych autorów – Józefa Czapskiego, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego czy Melchiora Wańkowicza – by jeszcze w trakcie działań wojennych pisali artykuły i reportaże o czynie żołnierza polskiego. Ale generał zadbał także o godne upamiętnienie na polu bitwy. Początkowo naszych poległych żołnierzy chowano na prowizorycznych cmentarzach w Acquafondata i San Vittore del Lazio, a stamtąd dopiero przetransportowano ciała na cmentarz pod Monte Cassino. Najpierw na cmentarzu spoczęło 923 bohaterów 2. Korpusu, potem ta liczba, po latach,

wzrosła do 1054 i wreszcie do 1072. Poległych szukano wszędzie, a nie było to łatwe zadanie, gdyż ciała były czasem przysypane kamieniami, leżały w rozpadlinach, często były w strasznym stanie.

Zamknięci w dolomit, w trawertyn, w beton…

Pracami nad budową cmentarza kierował inż. Tadeusz Muszyński, zaś projekt stworzyli architekci Wacław Hryniewicz i Jerzy Skolimowski. Hryniewicz sam bił się o Monte Cassino, zmarł w Londynie, lecz został pochowany na cmentarzu, który zaprojektował.

Pięknie pisał o tej nekropolii w swoim nieśmiertelnym reportażu Melchior Wańkowicz. W pierwszym wydaniu znajdziemy taką oto modlitwę: „Wieczne odpoczywanie/ Leżącym szeregiem w grobach/ Pod piaskiem, pod kamieniami/ W obcej ziemi chwałą okrytej,/ Zabitym cekaemami,/ Zmarłym z wojennych ran,/ Żołnierzom Rzeczypospolitej/ Raczyłeś dać Panie./ I raczyłeś wysłuchać litanii/ Imion i nazwisk, które/ ze szwadronów, baterii, kompanii/ Wypisane na krzyżach/ W górę płonącym zniczem,/ Ciszy minutą się stały”. I rzeczywiście nazwiska układają się w swego rodzaju litanię, a ponieważ pod nimi widnieją także nazwy miejscowości i powiatów przedwojennej Polski, zatem cmentarz staje się też swoistą mapą II Rzeczypospolitej. Spoczywają tu żołnierze 2. Korpusu pochodzący ze wszystkich zakątków ojczyzny – od dalekich Kresów, przez Wilno, Lwów, po Warszawę i Kraków. „Nasi zmarli leżą zamknięci w dolomit, w trawertyn, w beton. Trumna nie pęknie łaskawie sokom ziemi na wiosnę, nie wkradnie się do prochów poległych korzeń chciwego ziela, by ciągnąć utajone siły na słońce. Omknęliśmy naszych zmarłych w trawertyn, w beton, w dolomit. Nie mogą protestować na kłamstwa, nie mogą żywić ziemi”.

To wy przelewaliście tu krew

Na jakie kłamstwa nie mogli protestować żołnierze? Na te sowieckie, moskiewskie i na zapomnienie, ominięcie przez aliantów, którzy na ateistycznym ołtarzu dealu ze Stalinem położyli jagnię ofiarne – Polskę sprzedaną, Polskę zdradzoną, Polskę oddaną Sowietom. W dniu 15 marca 1945 roku w Cassino odbywała się wielka uroczystość związana z odbudową miasta. Zaproszeni byli wszyscy – przedstawiciele rządu włoskiego z premierem Bonomim, ambasador Stanów Zjednoczonych Kirk, brytyjski minister Hopkinson, ambasador francuski de Mousville i – uwaga – ambasador sowiecki Kostylew. Ale nie zaproszono Polaków, którzy w tym właśnie czasie odbudowywali tereny wokół miasta (na przykład Domek Doktora został odbudowany właśnie przez żołnierzy polskich). Keren Rita, młoda dziewczyna z pobliskiego Rocca San Casciano – pisze Wańkowicz – była wtedy na miejscu budowy polskiego cmentarza pod Monte Cassino. Podeszła do sapera z 2. Korpusu, chwyciła go za rękaw ze łzami w oczach i zaczęła mówić – jak to możliwe, że was nie zaprosili? Przecież to wy się tu biliście, wy przelewaliście tu krew, wasza flaga zawisła nad gruzami klasztoru. Jak wspomina Wańkowicz, ani słowo nie padło o Polakach w przemowach ambasadorów – amerykańskiego i sowieckiego. Tymczasem we włoskiej gazecie „Il Tempo”, na pierwszej stronie krzyczał tytuł o proteście rządu polskiego w Londynie, w sprawie braku zaproszenia dla nas na konferencję w San Francisco. A dopiero miał nadejść czas, gdy rok później w trakcie parady zwycięstwa w Londynie, także miało nas nie być.

{ Do dzisiaj, gdy turyści z całego świata przybywają do założonego w 529 roku klasztoru św. Benedykta i zwiedzają przepiękne opactwo, widzą z niektórych okien lub z tarasu zwanego rajem, polski cmentarz.

Wejścia pilnują dwa orły

Już w czasie budowy cmentarza było więc gorzko, dlatego tak ważnym stawał się symbolem w samym sercu pola bitwy. Podobnie było z naszymi pomnikami – z wielkim obeliskiem upamiętniającym walki 3. Dywizji Strzelców Karpackich na wzgórzu 593 czy też z pomnikiem i krzyżem na wzgórzu 575 (tam, gdzie walczyła Dywizja Kresowa). Te pomniki były wznoszone z inicjatywy i rękami żołnierza polskiego. To bardzo ważne – bo nikt inny niczego podobnego nie zrobił. Gdyby nie decyzja generała Andersa i żołnierzy 2. Korpusu – nikt o pamięć o Polakach by nie zadbał, nie byłoby tu żadnego po nich śladu. W Cassino i w okolicy znajdują się inne cmentarze – brytyjskiej Wspólnoty Narodów, gdzie snem wiecznym spoczywają Anglicy, Nowozelandczycy, Kanadyjczycy, Hindusi, niemiecki w Caira, francuski w Venafro, amerykański w Anzio-Nettuno. Jednak wszystkie one były budowane później, kilka lat po wojnie. Jedynie Polacy zadbali o to, by pochówek naszych bohaterów odbył się od razu.

Pisze Wańkowicz: „Schodami wchodzimy na wielkim łukiem zatoczone plateau, kryte trawertynem (co to z niego zbudowane jest Koloseum). Wejścia pilnują w trawertynie rzeźbione przez profesora Cambelottiego dwa ogromne orły na trzymetrowych pilastrach, o potężnych szponach, o skrzydłach husarskich, przypominające Szukalskiego. Pośrodku liczącego tysiąc czterysta metrów kwadratowych plateau szesnastometrowy krzyż Virtuti Militari z wiecznie płonącym zniczem. Plateau otacza amfiteatr dziewięciu tarasów ułożonych z wapiennych głazów. Na każdym tarasie w dwuszeregu groby – na każdym krzyż z szarokremowego trawertynu i płyta z głęboko wkutym napisem... Idzie się ku nim z dołu, od tego wielkiego krzyża Virtuti Militari monumentalnymi białymi schodami czterdziestosiedmiometrowej szerokości. Na najwyższym tarasie bryła głazu – ołtarz – i po murze oporowym kute godła oddziałów. A wyżej, na zboczu wznoszącym się ku 593 – krzyż z żywopłotu; ramię jego – pięćdziesiąt metrów; środek jego – orzeł, płaskorzeźba w kamieniu montecassińskim o wymiarach sześć na siedem metrów…”.

A gdy wznieść się wysoko w górę, lotem orła, zobaczyć można wielki napis niczym na termopilskiej przełęczy: PRZECHODNIU, POWIEDZ POLSCE, ŻEŚMY POLEGLI WIERNI W JEJ SŁUŻBIE… **GP**

GAZETA POLSKA



Ponad 300-letni list odsłonił zaginione miasto

SŁYNNA KRAINA BIAŁEGO JAGUARA ZLOKALIZOWANA

Nie tylko w filmach przygodowych jeden list lub starożytna mapa potrafią odsłonić zapomnianą przez wieki tajemnicę. W świecie archeologii takie sytuacje zdarzają się naprawdę. Dzięki zapiskom zakonnika sprzed ponad 300 lat naukowcy z Meksyku, USA i Japonii odnaleźli właśnie legendarne miasto Majów Sak-Bahlán, zwane również Krainą Białego Jaguara. Ośrodek ten uznawany jest za jeden z ostatnich bastionów oporu przeciwko hiszpańskiej kolonizacji.



Jan **Przemyłski**
albicla.com/JanPrzemylski

Archeologia niemal co miesiąc zaskakuje nas nowymi odkryciami, ale ostatnie tygodnie przyniosły prawdziwy wysyp rewelacji pozwalających odsłonić część białych plam w historii ludzkości. W zeszłym tygodniu informowaliśmy o ruinach chrześcijańskiego miasta odkopanych w centralnym Egipcie, a w podobnym czasie świat nauki zelektryzowała wiadomość o odnalezieniu innej zapomnianej metropolii, tym razem na pograniczu Meksyku i Gwatemali. Chodzi o legendarne Sak-Bahlán, znane również jako „Kraina Białego Jaguara". Założone zostało przez plemię Lacandon-Ch'ol po upadku ich pierwotnej stolicy, Lakam-Tún, którą Hiszpanie opanowali w 1586 roku. Przez ponad wiek mieszkańcy tej osady rozwijali ją, prowadzili handel z sąsiadami oraz opierali się licznym próbom podboju. Jednak pod koniec XVII wieku także Sak-Bahlán zostało podporządkowane Koronie Hiszpańskiej, co zapoczątkowało proces rozkładu metropolii. Część ludności przyjęła chrześcijaństwo, inni natomiast udali się w głąb dżungli, aby szukać nowego miejsca do życia. Miasto systematycznie się wyludniało, a ostateczny jego upadek nastąpił około 1721 roku. Szybko też zostało zapomniane, a jego ruiny przykryła gęsta roślinność.

Przez dekady archeolodzy natrafiający w źródłach historycznych na wzmianki o Krainie Białego Jaguara próbowali ustalić lokalizację tego miejsca, jednak bezskutecznie. Przygotowywano również ekspedycje terenowe, a najsłynniejsza odbyła się w 1999 roku. Jednak mimo wysiłków nie odnaleziono śladów cywilizacji prekolumbijskich. Przełom nastąpił tego lata. Naukowcy z Narodowego Instytutu Antropologii i Historii w Meksyku (INAH), amerykańskiego Uniwersytetu Winthrop oraz japońskiego Uniwersytetu Rissho jeszcze raz przeanalizowali dostępne dane, a szczególną uwagę skupili na listach zakonnika Diego de Rivas z 1698 roku. Duchowny opisał dokładny przebieg trasy do Sak-Bahlán, zamieszczając takie informacje, jak czterodniowy marsz z jednego punktu do drugiego czy dwudniowy spływ kanoe konkretną drogą rzeczną. Połączenie tych wskazówek z modelowaniem terenu i analizą tego, jak mógł się on zmienić w ciągu ponad trzech wieków, pozwoliło uczonym zawęzić obszar poszukiwań. Niezwłocznie zorganizowana została wyprawa terenowa, której efektem było odnalezienie legendarnej krainy. Pierwsze badania ujawniły, że pod dżunglą kryją się monumentalne budowle, domostwa, rozległe place ceremonialne, a także ruiny kościoła wzniesionego już przez Hiszpanów.

W najbliższym czasie zaplanowane są analizy laboratoryjne umożliwiające dokładne datowanie odnalezionych obiektów.

GP

FOT. MAT. PRAS.



Grzegorz
Wszołek
albicla.com/GrzegorzWszolek

„MILLENIUM KORONACJI BOLESŁAWA CHROBREGO” – dużo hałasu i mało patriotyzmu

Wielka inscenizacja obchodów koronacji Bolesława Chrobrego w Gnieźnie była pokazem alternatywnej historii – niewiele mając z nią wspólnego. Oczywiście, wielu widzom spektakl zorganizowany z rozmachem bardzo się podobał. Zdaniem naszych rozmówców nie miał on waloru edukacyjnego, a w dodatku pominął rolę chrześcijaństwa w budowaniu podwalin państwa polskiego. Dopełniał też koszmarnego obrazu, jaki pozostawił po sobie rząd, przypominając sobie o 1000. rocznicy polskiej koronacji w ostatniej chwili.

ARTYSTYCZNY SĄD NAD KORONĄ

Na Wzgórzu Lecha przed katedrą gnieźnieńską w dniach 1–3 oraz 8–10 sierpnia, a także dwukrotnie pod koniec lipca, odbyło się blisko dwugodzinne widowisko pt. „Millenium Koronacji Bolesława Chrobrego”. Organizatorami wydarzenia było miasto przy wsparciu wielkopolskiego samorządu. Łączny koszt imprezy wynosił 2,5 mln zł – z czego 2 mln zł wyłożył Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego, a pół mln zł przeznaczyło miasto Gniezno. Za ten koszt można było stworzyć patriotyczny spektakl na scenie z elementami nowoczesnej sztuki. Niestety, postawiono na swobodną interpretację dziejów autorstwa reżysera Roberta Czechowskiego. Walorem inscenizacji był na pewno mapping wyświetlany na murach katedry, dotyczący życia króla Bolesława Chrobrego. Z pewnością cena – 20 zł – przyciągała widzów, których zjawiło się ponad 10 tys. Jeśli ktoś lubi fajerwerki i sztuczne ognie, też znalazł coś dla siebie. Trudno jednak odszukać w obchodach millenium historycznej logiki, spójności i opowieści, co tak naprawdę ta koronacja znaczyła dla Polski.

Nieścisłości historyczne

Bardziej przypominało to samosąd nad Chrobrym, który otrzymał koronę od Ottona III i ruszył na podbój Rusi Kijowskiej. Jak jednak wiemy, koronacja miała miejsce w 1025 roku i uczestniczył w niej przynajmniej arcybiskup gnieźnieński Hipolit, prawdopodobnie wraz z innymi duchownymi. Ten wycinek z historii został pominięty w obchodach. Zjazd Gnieźnieński to z kolei rok 1000 i ważne spotkanie Bolesława Chrobrego z Ottonem III wraz z ustanowieniem arcybiskupstwa w Gnieźnie i podległymi biskupstwami, ale wyrażało dopiero aspirację polskiego władcy do objęcia tytułu średniowiecznego monarchy. Tymczasem w „Millenium Koronacji Bolesława Chrobrego” „wygumkowano” rolę Kościoła, a natychmiast po tym wieko-

FOT. MAREK ŁAPIS/FORUM



ZARZUTY KRYTYKÓW

Każdy twórca ma prawo do alternatywnego spojrzenia, ale zaprezentowana w Gnieźnie wersja scenariusza „Millenium Koronacji Bolesława Chrobrego" zdaniem ekspertów nie pasowała do rangi obchodów 1000-lecia.

W obchodach millenium trudno jednak szukać historycznej logiki, spójności i opowieści, co tak naprawdę koronacja Chrobrego znaczyła dla Polski.

pomnym akcie wojacy króla wyruszyli na Ruś Kijowską. Tamta wyprawa miała miejsce w 1018 roku, 7 lat przed koronacją. Na historyczne przekłamania zwracają uwagę rozmówcy „Gazety Polskiej. – Rozumiem, że każdy twórca ma prawo do alternatywnego spojrzenia, ale zaprezentowana w Gnieźnie wersja scenariusza nie nadawała się do rangi obchodów 1000-lecia. To było coś w rodzaju sądu nad Bolesławem Chrobrym, dokonywanym przez pogańską wróżkę. Chrobry wychodzi na niezwykle kontrowersyjnego władcę. Publiczność musi się zmierzyć z przedstawieniem go jako kogoś żądnego władzy nawet za cenę krwi. Ponadto postacie krążące dookoła sceny przypominały członków chóru greckiego. Co to więc mało być? Symbol przemijających dziejów? Nagle pojawia się też osoba ze skrzydłami husarskimi. Narracja przedstawienia była kompletnie nielogiczna – krytykuje gnieźnieńskie obchody millenium historyk Marek Szczepaniak, wieloletni nauczyciel, niegdyś kierownik Archiwum Państwowego w Poznaniu oddział w Gnieźnie.

Za dużo pogaństwa, za mało historii

– Pytania w spektaklu zadaje postać żywcem wzięta z czasów pogańskich. Koronacja Chrobrego, główny punkt przedstawienia, zniknęła w gąszczu wątków z osądzeniem tego władcy. I została umieszczona w kontekście wyprawy na Ruś Kijowską. Otton III w inscenizacji wręczył sam koronę, bez jakiejkolwiek roli Kościoła. To pomniejszenie zasług chrześcijaństwa w budowie polskiej państwowości. Wyprawa na Ruś Kijowską nastąpiła według autorów widowiska rzekomo po koronacji, tu z kolei można wytknąć niezgodną z faktami chronologię. I pojawia się też Mieszko I, widzimy przyjęcie chrztu, ale przekaz narracyjny jest zaczerpnięty z historiografii komunistycznej, w której tylko polityka miała dla Mieszka I znaczenie, a nie to, że mógł się nawrócić – wymienia Marek Szczepaniak. – Moim zdaniem celem takiego przedstawienia powinno być przybliżenie panowania Chrobrego szerszemu gronu odbiorców. Powinniśmy przecież odczuwać dumę z tego powodu. A w tym wypadku zostało przedstawione na zasadzie dylematu: warto było się koronować czy nie warto. Osobiście odradzałbym obejrzenie tego spektaklu – dodaje.

Polskie państwo abdykowało

Krytycznie obchody 1000-lecia koronacji w Gnieźnie ocenia również Robert Gaweł, radny miasta, były kurator wielkopolskiej oświaty. – Gdybym nie znał języka polskiego, to pewnie miałbym lepsze wrażenie niż po tym, gdy obejrzałem całość pokazu – mówi. – Z jednej strony mamy niezłą warstwę związaną ze scenografią, z efektami dźwiękowymi, ogniowymi, pojawiają się dobrze wytresowane konie, bez wątpienia imponujący mapping z piękną Katedrą Gnieźnieńską w tle, więc musiało to robić na widzach pozytywne wrażenie. Ale jeśli ktoś oczekiwał czegoś więcej, to musiał go razić supermarket artystyczny, czerpiący z teatru ulicznego. To, co raziło, to również niesforny język w dialogach. Widać było – w moim przekonaniu – że nie pisał tych tekstów ktoś z doświadczeniem literackim. Padają sformułowania takie, jak „Nie chodzi o to, w co i jak wierzysz, ale o to, czy twoi ludzie mają za co żyć", przypominające powiedzenia znane z komentarzy w sieci. Poza tym zbyt dużo było dla mnie elementów pogańskich na scenie – ocenia Robert Gaweł. – Państwo polskie absolutnie nie zaangażowało się w obchody 1000-lecia koronacji. Ani na szczeblu centralnym, ani miejskim. A mowa o historycznym Gnieźnie, które przecież było stolicą, gdzie koronował się Chrobry. Powiem wprost: to kompromitacja dla klasy rządzącej – uważa nasz rozmówca.

Gabinet Donalda Tuska przypomniał sobie o obchodach millenium, gdy trwały już przygotowania do oddolnej inicjatywy „Tysiąclecie Korony Polskiej" w Warszawie. Koszt koncertów w TVP i pikniku z udziałem premiera pod koniec kwietnia wynosił około 20 mln zł. Jak podawały media, organizatorem imprezy był znajomy szefa gabinetu, szara eminencja PO, Andrzej Moebus. O obchodach historycznego wydarzenia dla polskiego państwa już nikt nie pamięta. **GP**

ZACISZE MELOMANA



★★★★★★

NA OTARCIE ŁEZ

Radiohead, HAIL TO THE THIEF (LIVE RECORDINGS 2003-2009)
XL Recordings

Fani Radiohead chyba już stracili nadzieję na powrót ich ulubionego zespołu do studia. Tymczasem na pocieszenie otrzymujemy koncertowy krążek, choć z utworami doskonale już znanymi. Jak sugeruje tytuł płyty, nagrania pochodzą z trasy koncertowej po wydanym przed 20 laty albumie „Hail To the Thief". Radość publiczności połączona z pierwszymi dźwiękami perkusji piosenki „There, There" do dziś wywołuje ciarki na plecach, bo oto z sekundy na sekundę cała sala zamienia się w jeden, prowadzony wręcz nieziemską energią, muzyczny organizm. Wrażenie potęguje znakomita jakość dźwięku zmiksowanych i zremasterowanych na nowo nagrań.



★★★★★★

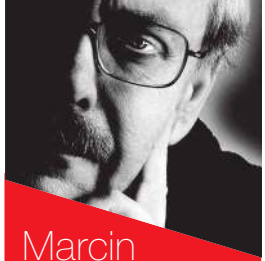
PEREŁKI Z BAROKU

Fabio Biondi. Europa Galante, LOCATELLI: 6 INTRODUTTIONI TEATRALI
Naive Classiques

Wielbicieli muzyki klasycznej, a zwłaszcza jej historycznych wykonań, czeka uczta wyjątkowa. Fabio Biondi i jego znakomity zespół Europa Galante to przecież absolutna gwarancja jakości, potwierdzona ogromną dyskografią, w tym bestsellerowym albumem „Czterech Pór Roku". Przed nami ich nowa płyta z opracowaniem utworów Pietra Locatelliego, kompozytora może mniej dziś rozpoznawalnego, ale w swej epoce jednego z największych. Album otwierają krótkie utwory napisane na potrzeby teatru, kryjące wiele miłych dla ucha niespodzianek, a punktem centralnym okazuje się arcytrudny koncert skrzypcowy, przez który Biondi wręcz płynie z właściwą sobie lekkością i wirtuozerią.

Przygotował
Marek **Kalinowski**

KSIĄŻKA { HISTORIA }



Marcin **Wolski** poleca

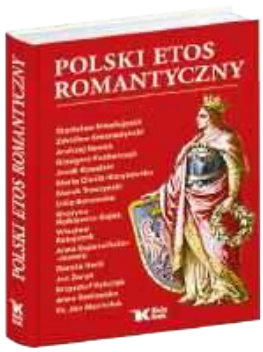
★★★★★★

Nieuleczalni romantycy

„Polski etos romantyczny"

Zbiorowe
Biały Kruk, Kraków 2025

Historia to nieustannie przeplatająca się sztafeta pokoleń – zapaleńców i realistów, klasyków i romantyków. Romantyzm w naszej tradycji zajmuje miejsce szczególne – nie tylko dlatego, że w jego szeregach znaleźli się najwięksi z wielkich. Był on jednym ze sposobów na nasze narodowe przetrwanie. Pozytywiści mówili, co robić, żeby być Polakami, romantycy pytali: po co?



Na „Polski etos romantyczny" składa się zbiór 16 esejów różnych autorów (m.in. Zdzisław Krasnodębski, Grzegorz Kucharczyk, Jan Żaryn czy Krzysztof Dybciak) poświęconych fenomenowi wyróżniającemu nas wśród innych nacji, nienawistnemu dla postępowców i drogiemu sercu polskich patriotów. Materiał to bogaty, choć szczególne wrażenie robi artykuł prof. Andrzeja Nowaka, poświęcony Mickiewiczowi i Krasińskiemu, nadzwyczajnym wizjonerom, a jednocześnie trafnym obserwatorom współczesnego świata. Ich obsesją jest Rosja. Sformułowania na jej temat brzmią tak aktualnie, jakby pisano je wczoraj – dla Mickiewicza zestawienie historii Polski i Rosji pokazuje, że nasze dzieje były wiekami dążenia do wolności, podczas gdy rosyjska despotia doskonaliła jedynie metody skutecznego zniewolenia. Jeszcze bardziej profetycznie brzmi hrabia Krasiński, rysujący wizje przyszłości, w której car stanie się przywódcą światowego ateistycznego komunizmu.

Wizja Polski Chrystusa Narodów rzucona przez mistrza Adama może niektórych bawić, a przecież znalazła ona kontynuację w słowach Jana Pawła II o naszej roli w rechrystianizacji dzisiejszej Europy, ale też w idei Międzymorza prezentowanej przez polską prawicę jako alternatywa dla dekadenckiego Zachodu i barbarzyńskiego Wschodu. Potrzeba być za młodu romantykiem, by móc realizować jego pomysły już jako dojrzały realista. **GP**

Zamów w naszym sklepie pod adresem sklep.gazetapolska.pl | tel. 722 111 655, 887 885 577

MIX **Kulturalny**



wspomnij

SOYKĘ
Odszedł Stanisław Soyka, wokalista, pianista, skrzypek i kompozytor. Był jednym z najważniejszych artystów polskiej sceny ostatnich dziesięcioleci. Autor przeboju „Tolerancja (Na miły Bóg)". Miał 66 lat.



wypatruj

REKORDU
Kopalnia Soli w Wieliczce ma szanse w tym roku pobić rekord odwiedzin! Dotychczasowy został ustalony w 2019 roku. Kopalnię odwiedziło wtedy 1 862 000 turystów! Wiele wskazuje na to, że w tym roku wynik może być większy!

www.prenumerata.swsmedia.pl

GAZETA POLSKA

★★★★★★

Innego końca świata nie będzie

„Życie Chucka”

Dramat, reż. Mike Flanagan,
USA 2024

Łukasz **Czarnecki**

Goszcząca na ekranach polskich kin adaptacja opowiadania Stephena Kinga jest filmem niezwykłym i trudnym w interpretacji, a zarazem dającym widzowi ogromną satysfakcję, gdy uda mu się rozszyfrować tę metafizyczną łamigłówkę. Choć oglądając otwierający obraz Akt III (wydarzenia przewijają się przed naszymi oczyma w sposób odwrotny do ich chronologii), myślimy, iż oglądamy produkcję katastroficzną, kolejne części wciągają nas w gąszcz. Odnalezienie właściwej ścieżki, prowadzącej do rozwikłania fabuły, wymaga wysiłku intelektualnego i czujności potrzebnej, by zauważyć rozsiane w następujących po sobie aktach wskazówki. Zrozumienie przychodzi nagle niczym oświecenie w buddyzmie zen. Świadomie przeżyty seans „Życia Chucka” jest przeżyciem duchowym.

Choć tytułowemu bohaterowi twarz daje Tom Hiddleston, tego brytyjskiego gwiazdora jest tu relatywnie mało. Za to Akt II stanowi popis możliwości fizycznych aktora, prezentowanych w olśniewającej scenie tanecznej, wzbudzającej zachwyt nad niesamowitą koordynacją Hiddlestona wykonującego sekwencje choreograficzne o nieprawdopodobnej złożoności. Akt ten jest hołdem dla radości życia i spontaniczności, które drzemią głęboko w każdym z nas, nawet jeśli jesteśmy typowymi białymi kołnierzykami. Za to wieńczącemu film Aktowi I nadaje tragicznego wyrazu legendarny Mark Hamill, wcielający się w postać obciążonego wiedzą o rzeczach przyszłych dziadka wychowującego osieroconego małego Chucka.

„Życie Chucka” jest lirycznym arcydziełem, udowadniającym, że współczesne kino, zdominowane przez niewymagającą intelektualnie rozrywkę, potrafi jeszcze od czasu do czasu dać nam film przynoszący katharsis.

GP



FOT. FILIP BŁAŻEJOWSKI/GAZETA POLSKA, YOUTUBE, MAT. PRAS.

Mike Flanagan świetnie przełożył na język filmu głębię prozy Stephena Kinga. Tu dostajemy wstrząsający jestestwem cios w psyche, po którym wychodzimy z kina pogrążeni w refleksji nad swoim życiem i wartością czasu, jaki dano nam na tym świecie.



ORWELLA

Obchodzimy 80. rocznicę wydania „Folwarku zwierzęcego” George’a Orwella. Opowieść o gromadzie zwierząt, która wywołuje bunt w folwarku dworskim, przestrzega przed systemami totalitarnymi. Powieść zdobyła uznanie na całym świecie.



PODRÓŻNIKIEM

To przewodnik, który pomoże przetrwać w najtrudniejszych zakątkach. Książka „150 kluczowych zasad przetrwania” jest niezbędnikiem entuzjasty survivalu. Książka Cliva Johnsona na sklep.gazetapolska.pl i pod nr tel. 722-111-655.



NA HULLER

Trwają zdjęcia do nowego filmu Pawła Pawlikowskiego „1949”. Akcja rozgrywa się w czasach zimnej wojny i ma pokazywać relacje pomiędzy niemieckim pisarzem Thomasem Mannem a jego córką Eriką. W roli głównej Sandra Huller.

Ponura rosyjska dystopia

WZNOWIENIE POWIEŚCI SŁYNNEGO ROSYJSKIEGO AUTORA

Gdybyśmy żyli w spokojnych czasach, Dmitry Głuchowski (Glukhovsky) byłby znany przede wszystkim jako autor kultowej postapokalipycznej serii „Metro". Od kilku lat rosyjski pisarz ścigany jest listem gończym w swoim ojczystym kraju za krytykę putinowskiego autorytaryzmu i coraz bardziej niepokojących zmian społeczno-politycznych. W Polsce ukazało się właśnie wznowienie „Outpost", przerażająca opowieść o „russkim mirze" czy raczej złowrogim horrorze, jaki narodził się na jego ruinach.

LEKCJA ROSYJSKIEGO

Czy rosyjską literaturę należy czytać jako ostrzeżenie? Na pewno jako punkt wyjścia do głębszych, szerszych refleksji.

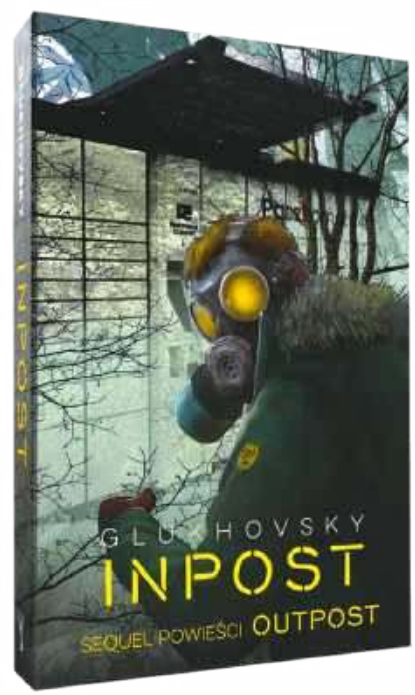


Krzysztof **Wołodźko**

Polscy fani twórczości Głuchowskiego znają już dwuczęściową powieść „Outpost" („Posterunek") także w wersji słuchowiska czy – jak się to dzisiaj mówi – audiobooku. Dylogia najwyraźniej cieszy się znaczną popularnością, bo wydawnictwo Insignis wznowiło ją w jednym tomie. Rosyjski pisarz zdecydował się na postapokaliptyczną opowieść z mocnymi wątkami horroru i thrillera politycznego.

„Outpost" Głuchowskiego – wizja Rosji postapo

O ile w popularnym „Metrze" nie było jeszcze do końca jasne, kto sprowadził na świat atomową zagładę, o tyle „Outpost" to głośne oskarżenie Moskwy o krwawe bestialstwo, skutkującą rozpadem państwa wrogość, nienawiść i terror wobec wszystkich narodów, które znalazły się pod rosyjskim panowaniem. Spotworniałe ludy, żyjące za rzeką Wołgą, pragną zemsty na swoich ciemiężycielach. Głuchowski,



przetwarzając stare ojczyste religijne, ludowe, państwowe mity i rytuały, szkicuje źródła ich znikczemnienia, nie może się pogodzić z tym, że Rosja znów wybrała drogę wojny, przemocy, podboju. Wieszczy straszliwą zemstę tych, którzy zostali podbici. I pyta: czy jest nadzieja?

Kto zna „Metro" nie tylko jako komputerową grę, ale jako pierwotny cykl powieści, ten doskonale wie, że Głuchowski osadził całość w typowych dla Rosjan ideowych sporach. Nie tylko nawiązywał do sowieckiej przeszłości, dziedzictwa bolszewizmu / komunizmu, ale i do konfliktów ideowo-politycznych sprzed wieków. W Polsce niestety nie doczekaliśmy w III RP tak ambitnej literatury popularnej – łączącej rodzimą perspektywę z uniwersalnymi wyzwaniami. Z drugiej strony „Outpost" pokazuje, że Rosja przeraża dziś nawet uczciwie myślących Rosjan. W „Posterunku" widzimy rozpad właściwie wszystkich idei, władza to czyste okrucieństwo i przemoc, ślepe przekonanie, że tylko terror, kłamstwo, izolacja mogą utrzymać przy istnieniu resztki rozpadającego się imperium.

Społeczeństwo łagrowe

Nie mniej ponury obraz Rosji – tyle że realnej, putinowskiej – Głuchowski zawarł w powieści „Tekst". To literacka analiza systemu władzy, opowiedziana za pomocą zmyślnej intrygi, wykorzystującej najnowsze technologie i cyfrową kradzież tożsamości. To także opowieść łagierna czy postłagierna – pisarz pokazuje, że „archipelag Gułag" to wcale nie jest zagrzebana przeszłość, że

skorumpowane putinowskie elity przywróciły logikę państwa jako obozu koncentracyjnego. I że dla tych, którzy dostaną się w tryby coraz bardziej rozbudowanego aparatu przemocy, nie ma już żadnej nadziei.

Głuchowski posługuje się nie tylko metaforą. W cyklu esejów i felietonów „My. Kronika upadku" (Insignis, 2024) bez cienia złudzeń analizuje procesy zachodzące w ojczystym kraju. Pierwsze teksty w zbiorze pochodzą z 2012 roku („Bądź przeklęty, towarzyszu Stalin", „Dlaczego zgasłem ja i dlaczego zgasła rewolucja"), ostatnie z 2023 roku („List do sądu Basmannyj", „Czekając na cud"). W jednym ze wspomnianych wyżej artykułów nie chodzi o rewolucję październikową, lecz protesty moskiewskiej klasy średniej, żegnającej się stopniowo z demokratycznymi złudzeniami, pocieszającej się myślami, że „wciąż można jechać do Europy". Wyjątkowo przejmująco brzmią krótkie odautorskie komentarze pisarza do własnych tekstów sprzed dekady: „Ruch protestu jest całkowicie zdemoralizowany i, jak się zdaje, został zniszczony. I nie wiem, czy w putinowskiej Rosji kiedykolwiek się odrodzi".

Michnik nie czytał Głuchowskiego?

Zwracam na to uwagę, bo Głuchowski pisał cytowany felieton w czasie, gdy w Polsce liberalne środowiska celebrowały szopkę z polsko-putinowskim resetem. A przecież ludzie tacy jak Adam Michnik musieli się domyślać, co w trawie piszczy. Wiem, to tekst do działu KULTURA, ale co poradzić, że w naszych rejonach Europy inteligenckie życie od zawsze jest miksem polityki i kultury. Czasem miksem śmiertelnie niebezpiecznym – zabija ciała, morduje dusze. Kto czytał „Hańbę domową" Jacka Trznadla lub „Czerwoną mszę" Bohdana Urbankowskiego dobrze wie, w czym rzecz.

„Outpost" to głośne oskarżenie Moskwy o krwawe bestialstwo, skutkującą rozpadem państwa wrogość, nienawiść i terror wobec wszystkich narodów, które znalazły się pod rosyjskim panowaniem.

Znany w naszym kraju z sagi o Wielkim Guslarze Kir Bułyczow w biograficznej książce „Jak zostać pisarzem fantastą", u progu rządów Władimira Putina stwierdził, że niepokoi go rozwój sytuacji w Rosji. W 2001 roku nieżyjący już pisarz, analizując trendy w rosyjskiej popkulturze, pisał: „Faszyzm wyrósł z poniżeń pierwszej wojny światowej i niepewności światowego kryzysu. Nie chcę być prorokiem i nie wierzę w przepowiednie, ale tkwi we mnie niepokój. Mam nadzieję, że szowinizm i imperialna nostalgia nie określą oblicza naszej literatury". Stało się coś znacznie gorszego – rosyjska polityka i kultura zrosły się na nowo w imperialne, raszystowskie ciało. Znakomitym tego przykładem jest ideowa postawa Zachara Prilepina, wybitnego pisarza stamtąd, ciałem i duchem oddanego budowie mocarstwowej, autorytarnej Rosji.

Z pozoru daleko odbiegłem od powieści „Outpost" Głuchowskiego. Nauczono mnie jednak czytać rosyjską literaturę jako ostrzeżenie. Punkt wyjścia do głębszych, szerszych refleksji. Szkoda, że muszą to być refleksje coraz bardziej gorzkie. I że tak mało po rosyjsku tekstów równie prawdziwych jak publicystyka i proza pisarza fantasty. **GP**

REKLAMA

FUNDACJA „POMNIK OFIAR KATYNIA"

Zbudujmy Sanktuarium Narodowej Martyrologii

FUNDACJA POMNIK OFIAR KATYNIA
KATYŃ
CUM IACENT CLAMANT

PKO Bank Polski

78 1020 2906 0000 1102 0218 1915 (PLN)



PROSIMY O WSPARCIE IDEI BUDOWY POMNIKA

www.pomnikofiarkatynia.pl

KOMBAJN DO MRÓWEK

Surrealistyczny czworonóg

CIEKAWOSTKI
O MRÓWKOJADACH

Niech Was nie zmyli ten gapowaty sznyt! Mrówkojady są świetnie przygotowane, by tępić mrówki



DŁUGI PYSK

Mają wyjątkowo długi pysk. Trochę tak jakby na nos ktoś założył mu końcówkę do odkurzacza, którą ma wtykać w mrowiska. Ich język może osiągać nawet 60 cm długości i jest lepki, co pomaga w łapaniu owadów.



KOMBAJN DO MRÓWEK

Mrówkojady żywią się głównie mrówkami i termitami, zjadając nawet do 35 tys. owadów dziennie. Ich żołądki są podobne trochę do ptasich, bo mają stwardniałe fałdy do miażdżenia pokarmu. Jest tam też piasek ułatwiający trawienie.

Świat jest pełen różnych dziwactw. Zwierząt, które w wyścigu ewolucyjnym wygrywają, chociaż nie imponują siłą, szybkością czy rozumem. Jedną z takich najbardziej absurdalnych istot jest mrówkojad. Są one tak dziwne, że stały się nawet natchnieniem dla surrealistów.



Jacek **Liziniewicz**
albicla.com/JacekLiziniewicz

FOT. ADOBE STOCK

POLUB NAS /GazetaPolskaPL

Zdjęcie Salvadora Dali z mrówkojadem z 1969 roku wywołało olbrzymie zainteresowanie mediów. Fotografia wydaje się dziwaczna. Artysta wychodzi z metra w Paryżu, a na smyczy ma olbrzymiego mrówkojada. Stolica Francji, która nie taką już ekstrawagancję widziała, wygląda jednak na zaskoczoną. Paryżanie wpatrują się w dziwne zwierzę, a kontrolę nad sytuacją wydaje się mieć sam artysta. Do dzisiaj komentatorzy ścigają się w domysłach, o co chodziło z tym zwierzęciem.

Kosmiczny wygląd

Pierwsza odpowiedź wydaje się oczywista. Zwierzę to stanowi po prostu czysty surrealizm. Jeśli chodzi o głowę, to sprawia ona wrażenie, że składa się tylko z długiego nosa. Tak jakby ktoś stworzył mrówkojada, aby pomagał hydraulikom przeczyszczać rury albo dokonywać przeszukiwań studzienek ściekowych. Dodatkowo mrówkojad – przynajmniej ten olbrzymi pochodzący z Ameryki Południowej i Środkowej – porusza się dość absurdalnie. Ma przednie łapy dłuższe, a tylne krótsze, więc jego chód sprawia wrażenie dość śmiesznego. Jakby tego było mało, to przednimi łapami nie opiera się on jak większość ssaków, ale chodzi na knykciach. Wszystko dlatego, by chronić trzy w każdej łapie długie pazury, których używa do poszukiwania ofiar. Gdyby przyszło Państwu spotkać się kiedyś z mrówkojadem, zwracajcie uwagę na jego pazury i raczej unikajcie tego, by pokazywał Wam ten środkowy. Nie chodzi o w tym wypadku o politykę, ale raczej zagrożenie. Czasami bowiem zdarzają się przypadki… śmierci ludzi zaatakowanych przez mrówkojady. To dziwne, bo ssaki te wyglądają trochę jak dziwaczne ptaki.

> Czy taki groteskowy wygląd nie jest wystarczającym wyjaśnieniem tego, że mrówkojad stał się obiektem zainteresowania Salvadora Dali?

Szczególnie podobne wrażenie robi ich absurdalny ogon. Równie odjazdowy jak u pawi. Najważniejszy jest jednak długi jęzor, i to z niego słynie to zwierzę. W skrajnych wypadkach może mieć on nawet 60 cm długości. Mrówkojad porusza nim z wielką gracją i potrafi mlasnąć nawet 150 razy na minutę. Do tego jego język służy oczywiście do łapania termitów i mrówek – przylepiają się do niego. Następnie zwierzak językiem rozgniata owady o podniebienie. Obok mrówkojada nie da się więc przejść obojętnie!

Inne wytłumaczenia

Czy taki groteskowy wygląd nie jest wystarczającym wyjaśnieniem tego, że mrówkojad stał się obiektem zainteresowania Salvadora Dali? To jednak było za słabe wytłumaczenie. Część znawców kultury sądzi, że chodziło o drobny żart i jednocześnie wspomnienie. Zwierzę ma bowiem



NIE GRYZIE

Mrówkojady nie mają zębów. Zamiast tego rozcierają pokarm w żołądku za pomocą mięśni i drobnych kamieni, które czasem połykają. Brak zębów nie czyni go bezpiecznym. Do obrony używa ostrych pazurów.



NOS PRZEDE WSZYSTKIM

Naukowcy twierdzą, że zmysł węchu mrówkojada jest 40 razy silniejszy niż ludzki, co pozwala mu lokalizować gniazda mrówek i termitów nawet pod ziemią. Ale ma gorszy słuch i wzrok.



PAZURY

Najgroźniejsza broń mrówkojada. Są po trzy na przednich łapach i służą do rozkopywania mrowisk i dobierania się do termitów. W razie czego potrafi nimi zranić przeciwnika. Zdarzają się też śmiertelne ataki na ludzi.



nawiązywać do twórcy surrealizmu André Bretona. To właśnie ten pisarz w latach 20. stworzył manifest surrealizmu. Początkowo ruch był obecny w literaturze, ale z czasem przeszedł do innych kategorii sztuki. Breton dostał od swoich kolegów surrealistów ksywę „Mrówkojad", a sam Salvador Dali stworzył mu exlibris, który nawiązywał do tego zwierzęcia. „Weźmy teraz pod uwagę fakt, że zdjęcie z 1969 roku zostało zrobione trzy lata po śmierci Bretona i być może uda nam się odczytać w nim hołd. Możecie zapytać, jakie przezwisko Breton nadał Dalemu? »Dolary Avida«. Anagram słowa »Salvador Dali«, »Avida Dollars« tłumaczy się jako »chętny na dolary«. Całkiem trafne" – czytamy na stronie openculture.com. Można więc sądzić, że artyście chodziło o coś więcej. Najprawdopodobniej nie jest również tak, że Dali trzymał mrówkojada w swoim domu. Większość osób twierdzi, że wypożyczał on osobniki na różne wydarzenia. Rzeczywiście do studia w programie „The



DZIWNE ŁAPY

Mrówkojady mają dziwną budowę ciała. Ewidentnie słabsze tylne nogi sprawiają, że ich chód wydaje się nieco śmieszny. Do tego przednie łapy zawijają tak, że chodzą na knykciach, aby nie uszkodzić pazurów.



SAMOTNICY

Ludy Ameryki Południowej uznawały mrówkojady za zwierzęta nieszczęśliwe i czasem przynoszące pecha. Miały się one błąkać bez celu samotnie i nie posiadać rodziny. Rzeczywiście mrówkojady prowadzą samotny tryb życia.



TEMPERATURA

Jak na ssaki mają niską temperaturę ciała. Oscyluje ona przy wartościach 32–34 stopni. Dlatego też zwierzęta te nie są aktywne całą dobę. Najczęściej większość czasu schodzi im na odpoczynku.



UWAGA NA CZŁOWIEKA

Największym zagrożeniem dla mrówkojadów jest jednak człowiek. Ludzie polują na nie dla skóry, pazurów i mięsa.

Dick Cavett Show" przyniósł inny – mniejszy – gatunek mrówkojada. Może to i lepiej, bo po wejściu do programu cisnął zwierzę na kolana gwiazdy kina niemego Lillian Gish. Scena nie wydaje się wyreżyserowana. Każdy z Państwa może zobaczyć ten odcinek. Zwierzę cały czas kręci się wokół gości i prowadzącego, niepokojąc wszystkich oprócz samego Dalego. Odcinek rzeczywiście surrealistyczny.

Zagrożone

Mrówkojady to dziwaki, których teoretycznie nie da się nie lubić. Przede wszystkim zwalczają one organizmy, za którymi człowiek nie przepada. Mrówki i termity dają się przecież ludziom we znaki. Tymczasem mrówkojady potrafią ich zjadać olbrzymie ilości, nawet do 35 tys. dziennie. Niestety ten pozorny sojusz nie oznacza, że ludzie zostawili mrówkojady w spokoju. Po za tym, że ciągają je na sesje i do programów telewizyjnych, to również często redukują ich liczbę. Najbardziej spektakularne mrówkojady olbrzymie zabija się dla ich skóry. Ponoć wyrabia się z niej tradycyjne elementy do sprzętu jeździeckiego. W Boliwii poluje się na nie zarówno dla trofeum, jak i dla pożywienia. Cenionym przez myśliwych trofeum jest oczywiście pazur. Ale zmniejszająca się liczba tych zwierząt doprowadza do reakcji władz. Coraz częściej mrówkojady są brane pod ochronę i zapewnia się im spokój. To dla nich kluczowe, bo mają dość duże zdolności adaptacyjne. W zasadzie odnajdują się w każdym środowisku, w którym pojawia się ich baza pokarmowa. To wielki atut, który pozwala patrzeć z optymizmem w przyszłość. Inna sprawa, że zwierzęta te nie budzą też specjalnego zainteresowania świata nauki i badaczy. Nie jest to zwierzę emblematyczne, które chętnie bierze się na sztandary. Ot, taki dziwak. Gdy wyginie, to za kilka pokoleń nikt nie uwierzy, że w ogóle był zdolny do życia. **GP**



DŁUGOWIECZNE

W hodowli mrówkojady mogą dożywać 25 lat. Dużo krótsze jest ich życie na wolności, gdzie muszą mierzyć się z drapieżnikami. Największym zagrożeniem dla mrówkojadów jest jednak człowiek.



GATUNKI

Na świecie żyją cztery gatunki mrówkojadów: mrówkojad wielki (Myrmecophaga tridactyla), tamandua północna (Tamandua mexicana), tamandua południowa (Tamandua tetradactyla) i mrówkojad karłowaty (Cyclopes didactylus).

FOT. ADOBE STOCK, WIKIPEDIA, FACEBOOK



PRZYRODNICZY FLASH

CO Z ROWERAMI ELEKTRYCZNYMI?

„W związku z publikacjami, które pojawiają się w ostatnich dniach w mediach oraz w Internecie na temat uruchomienia programu »Mój rower elektryczny«, Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW) informuje, że obecnie nie prowadzi naboru wniosków w ramach tego programu. Publikacje zachęcające do składania wniosków mogą wprowadzać opinię publiczną w błąd. Prosimy o korzystanie wyłącznie z oficjalnych źródeł informacji – strony internetowej www.nfosigw.gov.pl oraz oficjalnych kanałów w Social Mediach" – poinformował Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Program „Mój rower elektryczny" jest po konsultacjach społecznych i trwają uzgodnienia jego założeń z Ministerstwem Klimatu i Środowiska.

ŚMIERĆ NA POLOWANIU

W sobotę (16 sierpnia) w godzinach nocnych na terenie gminy Michów (pow. lubartowski, woj. lubelskie), trzech myśliwych zorganizowało polowanie na dziki. Skończyło się tragicznie postrzeleniem osoby postronnej, która wyszła przed własny dom. „Jak wynika ze wstępnych ustaleń, 40-letni mieszkaniec gminy Puławy podczas polowania oddał strzał, w wyniku którego śmiertelnie postrzelony został 60-letni mieszkaniec gminy Michów, który w tym czasie wyszedł przed swoją posesję. Do sprawy zatrzymano trzech mężczyzn biorących udział w polowaniu. Po wstępnych czynnościach dwóch z nich zwolniono" – poinformowała podkom. Jagoda Maj, oficer prasowy Komendy Powiatowej Policji w Lubartowie.



Iwona
Balcerak
TEKST I ZDJĘCIA

Złote skarby lasu

Kurki to nie tylko piękne, złociste grzyby z polskich lasów, ale też niezwykle wdzięczny składnik kulinarny. Ich uniwersalność, delikatny smak i wartości odżywcze sprawiają, że od lat cieszą się niezmienną popularnością. Niezależnie od tego, czy podamy je w prostym sosie ze śmietaną, czy w wyrafinowanej tarcie, zawsze wniosą do potrawy odrobinę leśnej magii.

TARTA Z KURKAMI I POREM

- 1 opakowanie gotowego ciasta francuskiego
- 1 średni por
- 200 g świeżych, oczyszczonych kurek
- 2 ząbki czosnku
- 20 g masła
- 2 jajka
- 50 g startego parmezanu
- 100 ml śmietany 18%
- 1 pęczek szczypiorku
- sól, pieprz

Rozgrzej piekarnik do 180°C. Formę na tartę posmaruj cienko masłem i wyłóż ciastem francuskim, dociskając do brzegów. Podpiecz spód około 10 minut z obciążeniem (kulki ceramiczne lub sucha fasola), następnie zdejmij obciążenie i piecz jeszcze 10 minut. W tym czasie na patelni rozpuść masło, dodaj pokrojony w plastry por oraz



CZAS	**45 minut**
KOSZT	**25 zł**
STOPIEŃ TRUDNOŚCI	**łatwe**
PORCJI	**4**

posiekany czosnek, po chwili wrzuć kurki i podsmaż na średnim ogniu, doprawiając solą i pieprzem. Posiekaj szczypiorek. W misce roztrzep jajka ze śmietaną, szczypiorkiem i parmezanem. Na podpieczony spód wyłóż farsz z kurek i pora, zalej mieszanką jajeczno-śmietanową, a następnie zapiekaj około 15 minut, aż brzegi będą złociste i chrupiące. Podawaj od razu, posypaną świeżym szczypiorkiem.

Po upieczeniu przełóż na deskę i pokrój w plasterki. Ponownie oprósz przyprawami. Podawaj z sosem porzeczkowym na ciepło lub na zimno. **GP**





CZY WIESZ, ŻE...

Kurki, znane również jako pieprzniki jadalne (Cantharellus cibarius), to jedne z najbardziej rozpoznawalnych i cenionych grzybów w polskich lasach. Ich charakterystyczny, złocistożółty kolor i delikatny, owocowo-korzenny aromat sprawiają, że trudno je pomylić z innymi gatunkami. Są do tego bezpieczne dla grzybiarzy, ponieważ w Polsce niemal nie mają trujących sobowtórów.

Dziś kurki przeżywają renesans także w kuchniach świata – w restauracjach można spotkać kremy z kurek, pierogi z musem kurkowym, a nawet „kurkowe cappuccino", czyli aksamitny bulion z pianką mleczną.

Kurki zawierają sporo białka, witaminy z grupy B oraz witaminę D. Są źródłem potasu, żelaza i cynku. Ciekawostką jest obecność naturalnych substancji o działaniu przeciwpasożytniczym (m.in. chitynozy) – choć w kuchennych ilościach to atut symboliczny.

W baśniach z Kaszub i Warmii kurki pojawiały się jako „ogniki leśnych duszków" – miały wskazywać drogę zagubionym wędrowcom. W niektórych wsiach Małopolski i Podkarpacia kurki nazywano „złotkami" i wierzono, że pierwszy znaleziony w roku okaz przynosi szczęście i dostatek.

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl



Stefan
Czerniecki
CZERNIECKI.NET

ZA BARDZO NOWOCZESNA

Stolica Chile sprawia, że nastawiony na egzotykę turysta mocno się tu rozczaruje. A potem? A potem będzie już tylko gorzej, szczególnie dla spragnionych prawdziwie latynoskiego świata.

Santiago de Chile, czyli Europa po latynosku

SMUTNA TĘSKNOTA ZA ZACHODEM

Dopiero z bezpiecznej perspektywy wzgórza San Cristóbal miasto jawi się nieco spokojniej. Stąd już „nie gryzie". Stąd już nie atakuje. Nawet iście manhattańska sylwetka najwyższego budynku na kontynencie, Gran Torre Santiago, sprawia stąd wrażenie ciut łagodniejszej.

Najpierw jednak na San Cristóbal trzeba się wdrapać. Bo trafić nietrudno, wszak szczyt położony jest praktycznie… w centrum miasta – w jego północno-wschodniej części, na styku dzielnic Bellavista i Patronato. Do znajdującego się na szczycie góry parku co bardziej wygodni dojadą miejscowym autobusem. Z najbliższej stacji metra Baquedano też nie będzie daleko. Istnieje jeszcze najbardziej spektakularny sposób, czyli chilijska funicular – kabinowa kolejka linowa. Dla tych jednak, którzy chcą zaoszczędzić kilkaset peso na drogą kawę na wzgórzu, pozostaje opcja dotarcia na szczyt pieszo. Na wzgórzu San Cristóbal znajduje się nie tylko metropolitalny park miejski, ale także zoo, dwa baseny miejskie, mały japoński ogród botaniczny i specjalne miejsce na rodzinne grillowanie. Pewnie dlatego tak tu tłoczno. Zwłaszcza w upalne, wolne od pracy dni.

W Chile powoli kończy się zima – ostatnio sierpniowe noce wiązały się z rzadko tu pojawiającymi się mrozami – więc gdy wreszcie nadejdą cieplejsze dni (a te już w październiku) siłą rzeczy rodzinne wycieczki na najsławniejsze wzgórze w Santiago ponownie staną się modne. O ile więc wizyta standardowej chilijskiej rodzinki na San Cristóbal staje się oczywistą formą wypoczynku, o tyle można się zastanawiać, dlaczego tak ważne jest to miejsce również dla przejezdnego. Już tłumaczę…

Stolica Chile nieco kąsa. Po trosze otumania umysł. Zwłaszcza ten spragniony zobaczenia tu prawdziwie latynoskiego świata. Miasto sprawia, że nastawiony na egzotykę turysta mocno się tu rozczaruje. A potem? A potem będzie już tylko gorzej. Pamiętam reakcję mojego przyjaciela, którego po kilku latach udało mi się namówić na podróż na południowoamerykański kontynent – w jego przypadku odwiedzany po raz pierwszy w życiu.

– I to ma być ta słynna Ameryka Południowa?! – oburzył się, gdy akurat staliśmy na środku wielkiego skrzyżowania w oczekiwaniu na zielone światło dla pieszych.

– To nie Ameryka Południowa, Paweł. To Chile – odpowiedziałem wówczas zupełnie szczerze.

– Przecież to czysta Europa… – kontynuował smutny wywód Paweł. A na jego twarzy widać było rozczarowanie. Bo rzeczywiście idąc choćby sławnym pasażem Estado trudno dziś odnieść wrażenie, że to nadal latynoski świat. Pasaż „zdobią" czerwone słupki mające uniemożliwiać swobodną jazdę samochodów. Kierowcy mają tu bezwzględny zakaz wjazdu. To w końcu świątynia konsumpcji. Tylko dla spacerowiczów. Z obu stron porośniętego





Na ulicy, pod galerią handlową, pucybuty czyszczą obuwie co bardziej eleganckich panów w garniturach.



Biała figura Niepokalanej Dziewicy (Virgen de la Concepción) wita z góry wszystkich odwiedzających to miasto.

O TAKIM SANTIAGO CI NIE POWIEDZA

TRZĘSIENIA Mówi się, że aby móc zamieszkać w Santiago na dłużej, trzeba się nauczyć życia z perspektywą przetrwania trzęsienia ziemi. Miasto jest nawiedzane przez nie wyjątkowo często. Właśnie w stolicy Chile odnotowano najsilniejsze trzęsienie ziemi w historii pomiarów (9,5 w skali Richtera) – miało miejsce w 1960 roku.

PAJĄK Poza trzęsieniami w Santiago dobrze jest przestać się bać pająków. Tym bardziej że – jak wskazują statystyki – w jednym na trzy tutejsze domostwa żyje jadowity Araña de rincón. To najprawdopodobniej najbardziej jadowity pająk świata. W dodatku bardzo szybki.

NOCNE ŻYCIE To w Santiago zaczyna się bardzo późno, bo dopiero około 1 w nocy. Chilijczycy po prostu sypiają mniej.

KATEDRA Znajdująca się przy Plaza de Armas katedra Metropolitalna była już odbudowywana... pięciokrotnie. Pierwszą spalili Indianie Mapuche, chcąc obronić się przed najazdem Europejczyków. Kolejne burzyły już potężne trzęsienia ziemi (w latach 1552, 1647 i 1730). Oglądaną dziś wersję katedry zaprojektował w 1745 roku włoski architekt Joaquin Toesca y Ricci.

karłowatymi drzewkami pasażu widać odrapane stare bloki. Lepiej nie zadzierać głowy. Wyżej jest już tylko gorzej. To, co ma przyciągać wzrok, znajduje się na parterze. „Te quenda bien” – zachęca biało-czarny halogen nad salonem fryzjerskim dla pań. „Loca por los zapatos” – to z kolei baner mający skusić do wejścia wszystkich szalejących za butami. Mnóstwo tu wszelkich salonów odzieżowych, butików ze słodyczami i – rzecz jasna – banków. Te pojawiają się przynajmniej raz na przecznicę. Miejsce to absolutnie niczym nie różni się od centrów Paryża, Mediolanu, Madrytu czy Berlina. Szkoda. O tym, że znajdujemy się na drugiej półkuli, może nam przypominać jedynie fakt, że zamiast obowiązującej jesienią w Polsce kurtki, tutaj już zaczyna się nosić koszule. Do-

Santiago jest największym miastem Chile, mieszka tam 1/3 ludności państwa – to około 6,76 mln osób.

FOT. STEFAN CZERNIECKI

piero spacer w mniej wystawne części miasta przypomni nam o tym, że to jednak nadal Ameryka Łacińska. Odrapane bloki, wałęsający się bezdomni. Biedni ludzie szukający kawałka trawy, aby się położyć i zasnąć na kawałku kartonu. I wszechogarniająca kakofonia klaksonów. Tak, jednak jesteśmy w Ameryce...

Szkoda mi troszkę tych Latynosów. Można odnieść wrażenie, że bardzo chcieliby mieć wszystko tak jak w zachodnim świecie. Wzniesiony w 2013 trzystumetrowy wieżowiec Gran Torre Santiago to jednocześnie najwyższy budynek na kontynencie. Do złudzenia przypominający drapacze chmur Manhattanu. Tak zresztą ma być. Nawet nazwa tej biznesowej części Santiago brzmi jakoś tak podobnie – Sanhattan. Tam wysoko w przeszklonej przestrzeni budynku mieszczą się siedziby największych instytucji finansowych. Nieco niżej znajdują się restauracje i kino. Jeszcze niżej galeria handlowa, do której wstęp ma każdy. A jeszcze niżej, już na samej ulicy, pucybuty czyszczą obuwie co bardziej eleganckich panów w garniturach. Jeden z pucybutów dostrzega, że robię mu zdjęcie. Nie wygląda na zachwyconego. Uciekam dalej, nie patrząc mu w oczy.

W Santiago łatwo można się zgubić. Wieczny harmider, tłok na ulicy. Potrącenia przez innych przechodniów. Pośpiech. Oczekiwanie w tłumie na zmianę światła na pasach. By po chwili znów móc wziąć udział w odwiecznym wyścigu. I właśnie dlatego w odróżnieniu od innych latynoskich aglomeracji w przypadku Santiago dobrze jest odejść od centrum, wybierając opisane na wstępie wzgórze San Cristóbal. Charakterystyczną białą figurę Niepokalanej Dziewicy (Virgen de la Concepción) widać już z dołu. Dobrze tu być zwłaszcza o wschodzie słońca. Gdy nad oddalonym ledwie 40 kilometrów pięciotysięcznym Cerro El Plomo pojawi się czerwonawo-żółtawa łuna. Gdy ośnieżone wierzchołki Andów będą jawić się ciut mniej groźnie. Już nie tak surowo. Oswojone przez bliską obecność piątego pod względem liczby mieszkańców miasta całej Ameryki Południowej. Tego samego, które w tej chwili jawi się nam pod stopami. I podobnie jak Andy, także już nie tak agresywnego jak zdawało się tam, na dole. GP



Położony w pobliżu stacji metra Inés de Suárez plac Pedro de Valdivia zapewnia łatwy dostęp do restauracji, barów i środków komunikacji miejskiej.



Szkoda, że miejsce to niczym nie różni się od centrów Paryża, Mediolanu, Madrytu, czy Berlina.

NOWA ODSŁONA PORTALU



ZMIENIAMY SIĘ DLA CIEBIE

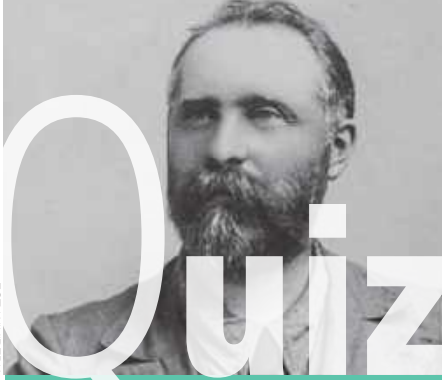
ZAUFANE INFORMACJE W NOWOCZESNEJ FORMIE

niezależna.pl

Listy

LISTA NARODOWEJ HAŃBY

Tych, którzy godzą w powagę Rzeczypospolitej Polskiej, a także szkodzą żywotnym interesom naszego państwa i polskich patriotów, możemy zaliczyć do następujących grup: 1. zdrajcy, puczyści, warchoły, konfidenci i skarżypyty – to ci, którzy są gotowi sprzedać interes narodowy nie tylko za garść srebrników czy teczkę z donosami, ale nawet za klepnięcie po plecach, fotkę w prestiżowym magazynie czy chusteczkę otrzymaną od wrażych Polsce „kumpli" na otarcie łez; 2. oprawcy – to ci, którzy są w stanie posunąć się do politycznego użycia przemocy, czyniąc to na własną rękę lub zainspirowani przez szkodników opisanych w punkcie następnym; 3. wpływowi podżegacze – to ci, którzy jawnie, publicznie i bezczelnie nawołują do dorzynania watah [...] patriotycznych środowisk; 4. mierni i wierni, choć nie zawsze bierni wykonawcy poleceń podżegaczy – to ci, którzy w trymiga i bez słów [...] wykonają ochoczo wszystko, czego tylko zażyczą sobie ich mentorzy; działają w białych rękawiczkach [...], niszczą polskich patriotów podpisami, podejmowanymi decyzjami itd.; 5. hejterzy – to ci, którzy swą rozrabiacką, antypaństwową, antypolską działalność uprawiają na forach dyskusyjnych, siejąc tam zatrute ziarna nienawiści wobec partii i środowisk patriotycznych; 6. zawalidrogi – to ci, którzy próbują zatrzymać radosny pochód patriotyczny, obniżać patriotyczne morale, zohydzać Polskę, polskość i Polaków, wmawiać, że „polskość to nienormalność", „Polska to dziki kraj" itp.; 7. turkucie podjadki – to ci, którzy sączą w sposób zawoalowany, skryty, a zarazem systematyczny i wytrwały, dokonując systematycznej manipulacji, niechęć do polskich imponderabiliów narodowych; 8. trutnie – to ci, którzy mimo krótkiego stażu pracy otrzymują nie wiedzieć czemu ekstraemerytury, a uczciwym Polakom, na których koszt żyją, każą pracować aż do grobowej deski [...]. Należy rozpoznawać postawy antypaństwowe i antypolskie, sporządzając „Listę hańby narodowej". Na liście warto byłoby zgromadzić wszystkie wypowiedzi i czyny, które godziły w Rzeczpospolitą Polską, naród polski i polskość.



FOT. WIKIPEDIA

Quiz

GAZETA POLSKA

1. Urodził się w Połoneczce koło Nowogródka. Był aktorem, poetą, prozaikiem, satyrykiem, współtwórcą krakowskiej „Piwnicy pod Baranami", autorem tomu opowiadań „Słońce wschodzi raz na dzień" czy powieści „Droga na dziki zachód". O kim mowa?

2. 21 lutego 2005 roku w Warszawie zamordowany został malarz, fotograf, rzeźbiarz; jego obrazy pokazywane były w prestiżowych galeriach na całym świecie. Jako jedyny Europejczyk ma stałą ekspozycję w muzeum sztuki w japońskiej Osace. Kto to?

3. Jak miał na imię brat Józefa Piłsudskiego, etnograf, lingwista, muzeolog; za udział w przygotowaniach do zamachu na cara Aleksandra III w 1887 roku skazany został na 15 lat zesłania i ciężkich prac na Sachalinie.

4. Jak nazywał się malarz, pisarz, dramaturg, filozof, fotograf, autor m.in. „Nienasycenia", główny teoretyk awangardowej grupy malarzy formistów? Założył w Zakopanem Teatr Niezależny. 18 września 1939 roku popełnił samobójstwo w Jeziorach – kresowej wiosce.

ODPOWIEDZI:
1. WIESŁAW DYMNY; 2. ZDZISŁAW BEKSIŃSKI; 3. BRONISŁAW; 4. STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

Adres redakcji:
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Tel. (+48 22) 290-29-58
redakcja@gazetapolska.pl

redaktor naczelny Tomasz Sakiewicz, zastępcy redaktora naczelnego Katarzyna Gójska i Piotr Lisiewicz, sekretarz redakcji Martyna Hajdo-Trolińska (kier.), Małgorzata Wiankowska

kraj Piotr Lisiewicz (kier.), Piotr Nisztor, Hubert Kowalski, Grzegorz Wierzchołowski, Grzegorz Broński, świat Maciej Kożuszek (kier.), kultura Sylwia Krasnodębska (kier.), gospodarka Maciej Pawlak (kier.) Marcin Wolski, historia Tomasz Łysiak (kier.), publicystyka Piotr Grochmalski, Joanna Lichocka, Grzegorz Wszołek, Konrad Wysocki (Obronność), Jacek Liziniewicz (Środowisko), Stefan Czerniecki (Podróże), Jan Przemyłski (Technika), Iwona Balcerak (Kulinaria), Ryszard Kapuściński (kluby), stali felietoniści Krzysztof Karnkowski, Tadeusz P. Płużański, Michał Rachoń, Józef Wieczorek, Dawid Wildstein

projekt layoutu i logotypu Mariusz Troliński

nadzór Mariusz Troliński, Krzysztof Lach-Kubica
DTP Paweł Chrzanowski, Aleksander Razcwarkow, Paweł Pawluszek, Grzegorz Lipka

sekretariat redaktora naczelnego Anna Kazimierczuk
Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o., Wyszków

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie zwraca niezamówionych materiałów.

Kontakt z czytelnikami, interwencje w godz. 9–13:
Anna Kazimierczuk, tel. 603 117 483;
tel. 505 942 224; e-mail: kontakt@gazetapolska.pl
WYDAWCA
Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
Kontakt z działem reklamy:
e-mail reklama@gazetapolska.pl,
tel. (+48) 603 117 134
Kontakt z działem promocji:
e-mail promocja@gazetapolska.pl,

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

GAZETA POLSKA
www.gazetapolska.pl

PRENUMERATA

Ceny prenumeraty papierowej „Gazety Polskiej": rok – 460 zł, pół roku – 244 zł; kwartał – 129 zł; miesiąc – 45 zł.

Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl
www.prenumerata.swsmedia.pl
Tel.: **605 900 00w2, 22 336 79 06**
Konto do wpłat: Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
konto: Bank PEKAO SA
Nr konta:
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelewy z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW IBAN: PL)

Zamówienia książek na:
sklep.gazetapolska.pl
lub tel.: 722 111 655
Nr konta:
61 1240 6003 1111 0010 7516 5807

WESPRZYJ DZIENNIKARZY
mediów Strefy Wolnego Słowa
Fundacja Niezależne Media · Gazeta Polska · niezależna.pl · Nowe Państwo
Zachęcamy wszystkich do wpłaty na FUNDACJĘ NIEZALEŻNE MEDIA
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Nr konta: 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
TYTUŁEM – DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI NIEZALEŻNE MEDIA
www.fundacjaniezaleznemedia.pl

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

GAZETA POLSKA



OKONIEM

Katarzyna
Gójska
albicla.com/KatarzynaGojska

KOALICJA CHĘTNYCH NA WIELKIE ZYSKI

Wizja wysłania polskich żołnierzy na Ukrainę budzi ogromne emocje – trudno nie odnieść wrażenia, iż część polityków dała się zagonić w tej sprawie do narożnika, z którego nie potrafi lub boi się wydostać. Temat został wprowadzony do naszej debaty publicznej tak, by nim straszyć, a nie by o nim rozmawiać. Tymczasem jest o czym rozmawiać – a nawet więcej: sprawa dotyczy wielkich pieniędzy i wielkich szans.

Na początku jednak kilka faktów. Polskie wojsko od początku III RP uczestniczy w misjach zagranicznych (czasy PRL pomijam, bo kategorycznie odrzucam koncepcję, byśmy wiązali się kontynuacją z tym podporządkowanym Moskwie parapaństwowym tworem), w tym takich, które oznaczały po prostu udział w działaniach militarnych na wielką skalę oraz realne zagrożenie zdrowia i życia. Przez Afganistan przewinęło się ponad 33 tys. (to dane oficjalne) żołnierzy, a przez Irak – kilkanaście tysięcy. To najliczniejsze ekspedycje, ale oczywiście niejedyne.

Ówczesne władze – różnych opcji – uznawały, iż wysłanie Wojska Polskiego nawet w egzotyczne i dalekie rejony jest dla nas opłacalne. Zacieśnia więzy sojusznicze, pozwala ulokować w miejscowych realiach polski biznes oraz oczywiście jest dla naszej armii unikatowym szkoleniem. Co się zatem wydarzyło, że w kontekście ewentualnego projektu wysłania wojsk sojuszniczych na Ukrainę oceniamy go – bez dyskusji – jako mniej opłacalny niż wysłanie naszych chłopców 60 km na północ od Kabulu?

Może jednak warto sprawę rozważyć, przeanalizować na zimno, a nie kierować się emocjami związanymi choćby z tym, co myślimy o zachowaniu prezydenta Zełenskiego wobec Polski (ja oceniam je skrajnie źle) lub jak patrzymy na decyzje Kijowa wobec sprawy ekshumacji Polaków, ofiar ludobójstwa wołyńskiego (te z kolei postrzegam jako haniebne). Dlaczego? Bo ewentualne wysłanie polskich żołnierzy jako część misji stabilizacyjnej po podpisaniu umów pokojowych to nie działanie humanitarne, ale zabezpieczenie naszych polskich interesów. I nie chodzi tylko o bezpieczeństwo, lecz przede wszystkim o interesy gospodarcze.

Naiwnością jest myślenie, iż kanclerz Niemiec planuje wysłanie Bundeswehry w odruchu serca, bo tak wzruszył się trwającą od lat wojną. Tak zwana koalicja chętnych to nie kółko zbawców Ukrainy. Jej nazwę można rozwinąć: koalicja chętnych do skorzystania z profitów związanych z odbudową Ukrainy. Jeśli niemieccy żołnierze znajdą się za naszą wschodnią granicą, to nie po to, by bić się z ruskimi, ale po to, by dopilnować odpowiedniego poziomu zakupów z niemieckich firm i skubnąć jak najwięcej z zasobów, jakimi dysponuje Kijów. Bezduszne i cyniczne? Na pewno, ale tak właśnie to najczęściej wygląda.

I oto w tej rzeczywistości, w której inni gotują się do zabezpieczenia obecnością wojskową swoich wielkich interesów, wychodzimy my, Polacy, z wypowiedzianą od razu deklaracją, iż nigdzie się nie wybieramy. Nawet nie sprawdziliśmy potencjalnych profitów, nie oceniliśmy, ile by można na tym zarobić, ale krzyczymy „nie", by za jakiś czas biadolić, iż zostaliśmy na lodzie. A jakim cudem miałoby być inaczej, skoro nawet nie podejmujemy gry?

W poprzednim numerze „GP" Tomek Sakiewicz napisał: musimy być w tej grze. Tak! Musimy, bo to gra o wielkie wpływy i wielkie pieniądze, zatem zbrodnią jest wypisywanie się z niej na samym starcie. I żeby była jasność – inni będą tylko zacierać ręce, gdy Polacy będą utwierdzani w przekonaniu, że nie możemy wziąć udziału w rywalizacji o zyski z odbudowy Ukrainy. Tak, to jest rywalizacja, tak wielka, iż wiele państw chce zabezpieczyć swoje szanse w niej, wysyłając żołnierzy. Zatem jeśli nie weźmiemy w niej udziału, to przejdą nam koło nosa ogromne szanse na rozwój gospodarczy, wzmocnienie pozycji międzynarodowej czy bezpieczeństwo energetyczne. Naprawdę tego chcemy? GP

REPUBLIKA

Najlepsi goście, gorące dyskusje, ostre i ciekawe spory.
Ruszamy z nowym formatem programu! Wszystko
przy udziale publiczności i w nowym studiu Republiki.
Zachęcam do wyrażania opinii, zamieszczania komentarzy
i zadawania pytań **#KlubRepubliki** – zaprasza **Adrian Klerenbach.**



RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA